



BŁAŻEJ DZIKOWSKI

# STRAŻNIK PARKU

SUPERBOHATER  
Z BLOKOWISKA

Świat Książki

BŁAŻEJ DZIKOWSKI

# STRAŻNIK PARKU



Świat Książki

Redaktor prowadzący  
*Monika Koch*

Redakcja  
*Dominika Cieśla-Szymańska*

Redakcja techniczna  
*Lidia Lamparska*

Korekta  
*Maciej Korbasiński*

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegolwiek podobieństwo do zdarzeń, miejsc i osób  
(żywych czy umarłych) jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © by Błażej Dzikowski, 2010  
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki  
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

Skład i łamanie  
Akces, Warszawa

Druk i oprawa  
Nasza Drukarnia Sp. z o.o.

ISBN 978-83-247-1986-0  
Nr 7788

*Mam takie marzenie. Śnię taki sen. Dobrzy ludzie złapią wszystkich złych ludzi i zamkną ich w sali tortur. I dobrzy ludzie będą skakali złym po karkach, będą ich bili metalowymi pałkami, będą ich gazowali, razili prądem. A potem dobrzy ludzie zabiją wszystkich złych ludzi. Jakąś brutalną metodą, na przykład w wielkiej kuchence mikrofalowej. Żli będą umierali w męczarniach, gotując się żywcem, od środka. I na świecie zostaną tylko dobrzy ludzie. I będzie spokój.*

*Grzeszniku, dokąd uciekniesz?  
Grzeszniku, gdzie się ukryjesz  
w ten fatalny dzień?*

*Pobiegłem do skały, proszę, ukryj mnie  
czy nie widzisz, że jestem w potrzebie  
w ten fatalny dzień.*

*Ale skała powiedziała: nie ukryję cię  
powiedziała skała: nie schowam cię, człowieku  
w ten fatalny dzień.*

*Więc pobiegłem do rzeki, a rzeka krwawiła  
więc pobiegłem do morza, a morze krwawiło  
w ten fatalny dzień.*

*Więc pobiegłem do rzeki, a rzeka zawrzała  
więc pobiegłem do morza, a morze zawrzało  
w ten fatalny dzień.*

*Pobiegłem do Pana, proszę, ukryj mnie  
czy nie słyszysz mojej modlitwy?  
W ten fatalny dzień.*

*Ale Pan powiedział: odejdz do Diabła  
idź do Diabła  
w ten fatalny dzień.*

*Więc pobiegłem do Diabła, a on czekał.  
Pobiegłem do Diabła,  
czekał na mnie w ten fatalny dzień.*

Nina Simone, *Sinnerman*

Strażnik Parku, chłopiec legenda, naprawdę nazywał się Gabriel Róziewicz. Zupełnie jak pewien ważny anioł. Z tą różnicą, że anioł nie miał nazwiska, a nawet jeśli miał, na pewno brzmiało subtelniej i bardziej niezmiernie.

W roku 2009, kiedy wydarzyła się ta historia, reporterzy gazet i stacji telewizyjnych oddaliby wszystko za prawdziwe imię i nazwisko Strażnika. Ale w jego życiu słowa „Gabriel Róziewicz” niewiele znaczyły.

Rzadko je wypowiadał. Po pierwsze, w ogóle mało mówił, a po drugie, nie miał komu się przedstawiać. Unikał ludzi. Nawet gdyby już miał komu się przedstawić, rozmówca nic by nie zrozumiał. Gabriel mówił cicho i niewyraźnie.

Dla nauczycieli był numerem 23 z klasowego dziennika. „Numer dwadzieścia trzy do tablicy”, mówili i czekali, aż wypowie się na temat mejozy i mitozy.

Kiedy gonili go koledzy, aby zanurzyć jego głowę w muszli klozetowej, nazywali go ciotą lub cwelem. Dowcipniejsi mówili „Gejbriel”.

A rodzice nazywali go synkiem.

## Rozdział 1

Chudy, prawie osiemnastoletni chłopiec w bluzie z kapturem jechał na rowerze przez park. Była siódma rano. Czuł na twarzy chłodny dotyk wiatru. Ciężyły mu książki w plecaku. Biały i odrapany rower skrzypiał.

Chłopiec skręcił w aleję i zobaczył na odległej ławce dwóch pijaków, którzy albo wcześniej zaczęli pić, albo jeszcze nie skończyli i ranek zaskoczył ich jak boski policjant. Chłopiec zatrzymał się, a po chwili zawrócił i wybrał drugą, równoległą aleję.

Między alejami był skwer, a na nim, wśród trawy i chwastów, stał pusty postument pomnika. Czy figurę ukradziono, żeby sprzedać na złom, czy też zdjęto, kiedy zmienił się polityczny klimat, nikogo to nie obchodziło.

Ludzie mijali skrzący się w słońcu granitowy postument, nie zwracając na niego uwagi. Czasem wspinały się na niego dzieci, kiedy już znudziła je gonitwa po zaśmieconych trawnikach.

Przejeżdżając obok skweru, chłopiec podniósł głowę i spojrzał na postument. Kaptur zsunął się, odsłaniając bladą twarz. Okulary. Długie, ciemne włosy, założone za uszy.

Chłopiec uśmiechnął się. Śmieszyło go, że podstawa jest pusta. Nietrwałość ludzkich zamierzeń. Centrum parku było zwichnięte i jałowe.

Nagle rozległo się jazgotliwe szczekanie i coś uderzyło w przednie koło. Chłopak ruszył kierownicą, żeby odzyskać równowagę, ale nie wyszło. Zobaczył, jak horyzont przekrzywia się, i upadł z rowerem na ścieżkę.

Niewielki pies nieokreślonej rasy, o podłym wyglądzie, wyszedł ze zderzenia bez szwanku. Pędził ku jamnikowi spokojnie załatwiającemu się na trawę. Zanim babcia właścicielka zdążyła cokolwiek zrobić, torpeda wpadła na jamnika, wbijając wyszczerzone kły w tłusty, lśniącobrazowy kark. Przewrócony pies, choć krępowała go smycz, wciąż łącząca go z jego panią, nie poddał się tak łatwo. Pysk zmarszczyła mu żądza krwi. Wśród latających strzępów sierści i chmur rozdzieranego pazurami piachu wgrzyzione w siebie, pokrwawione psy wirowały na trawie, a w ich gardłach bulgotała wściekła śmierć.

Na trawnik wbiegła druga staruszka, krzyknęła:

- Brutus! Brutus!

Kundel odskoczył od ofiary, uchylił się przed ciosem pani i uciekł w krzaki. Staruszka spojrzała na właścicielkę jamnika, wykonała rozpaczliwy gest i pobiegła za Brutusem.

- Policja! - krzyknęła za nimi babcia od jamnika, kiedy już upewniła się, że jedyny towarzysz życia w kawalerce i współkonsument skromnej renty żyje, choć spływa krwią.

Chłopiec, który obserwował całe zajście, nie wstając z chodnika, podniósł się. Teraz wyraźnie było widać



niezdarność długich rąk i nóg. Wyglądał, jakby nieustannie musiał łapać równowagę, której zagraża nieistniejący wichler. Pochylił się i podniósł rower. Skrzywione szprychy. Podwinął nogawkę i dotknął bolącego miejsca. Między białymi strzępkami otartej skóry perliły się piękne, okrągłe krople krwi.

Z gardła chłopca wydobył się dźwięk jak z zatkanej rury odkurzacza. Wyjął z plecaka plastikowy dysk, przyłożył do ust i wciągnął chmurę kredowego, duszącego pyłu.

- Ty to widziałeś! Poświadczysz!

Babcia płakała. Chłopiec opuścił wzrok i schował inhalator do plecaka. Odpowiedział coś cicho i niewyraźnie.

- Nic nie rozumiem! Widziałeś bandytyzm?

- Psy czasem tak się zachowują, w domu też mamy takiego - wymamrotał chłopiec, pocierając oczy długimi palcami, żeby nie musieć patrzeć na obcą babcie.

- Chodź na policję ze mną.

- Muszę do szkoły.

- Co mówisz? Jak się nazywasz?

- Gabriel.

- Wawrzyn?

- Gabriel - powtórzył i wsiadł na rower.

- Idziemy na policję.

Ale Gabriel już odjeżdżał, choć płacząca babcia wołała za nim. Jechał zgarbiony, patrzył w ziemię i myślał o szkole. Bolała go noga. Rower skrzypiał jeszcze bardziej niż przed wypadkiem.

W domu rodzice pytają, czy ma wreszcie listę gości na osiemnaste urodziny.

W klasie odbyło się już kilka osiemnastek, na żadną nie dostał zaproszenia, ale kiedy wspomniał o tym ojcu, ten powiedział, że nie należy siedzieć na tyłku i narzekać, tylko samemu wyciągnąć rękę. „Moja osiemnastka to było coś, szkoła huczała o niej jeszcze długo po maturze”.

Gabriel mało wychodził z mieszkania. Nigdy nie był na żadnej imprezie u rówieśników, a na szkolne zabawy bał się chodzić. Brał więc książkę, siedział parę godzin w kawiarni i po powrocie opowiadał rodzicom, jak się bawił. Ale wyobrażał sobie czasem taką świetną imprezę. Gdzieś tam jest, legendarna i odległa, świecąca stałym światłem, ale wciąż ukryta, dobra impreza. Trafia tam z ulicy i klatki i windy i nagle: Ooooooch. Pokoje, gdzie wśród obcych, ale uśmiechających się ludzi są też te znane, drogie osoby. Jacek, przyjaciel z podstawówki, który wyjechał i już nic o nim nie słyszał. Ta dziewczyna, którą kiedyś spotkał i nie mógł wydobyć z siebie słowa, a teraz już może. Nikt go nie przezywa i nie goni. Ludzie rozmawiają z nim przyjaźnie i słuchają, co ma do powiedzenia.

Te obszerne wnętrza są nieznane, ale mają w sobie coś z domu, i możesz nawet powiedzieć: dom. I idziesz przez tę imprezę, jakbyś tańczył.

Przesunąłem osiemnastkę, żeby nie kolidowała z Tomkiem - powiedział Gabriel.

Trzej trzecioklasiści zawsze stali przy tym samym oknie licealnego korytarza. Jeden był gruby, spocony i nosił sweter w pasy, drugi - krzywy strach na wróble, trzeci mały i podskakujący jak pokręcony zajęc z ADHD. We

trójkę skrycie wyśmiewali dręczących ich kolegów, stanowili bezpieczne imperium niedołęstwa.

- Ojej, ale dziwne zdarzają się przypadki na tym świecie - powiedział gruby, który był imperatorem. Mały zaśmiał się piskliwie, pokazując wielkie trzonowce zająca.

- Bo Tomek też przesunął, właśnie na tę samą datę.

- Niesłychany fenomen synchroniczności - stwierdził strach na wróble, unosząc do góry żółty palec.

Gabriel stał przed nimi z opuszczoną głową. Poczul się zmęczony, ciemny korytarz pulsował wrzaskiem i śmiechem.

- No to przepraszam, że zawracałem głowę - powiedział, odwrócił się i ruszył do klasy.

- Miałeś zapytać.

- Zapytaj!

- Gabryjelu, a będziesz rozdawał gościom zatyczki do dupy?

Chichotali za jego plecami. Wreszcie oni też mogli być dla kogoś niemili. Najwidoczniej nie zajmowali miejsca na samym dole szkolnego łańcucha pokarmowego. Ich oczy pojaśniały. Patrzyli w przyszłość z nową nadzieją.

Gabriel nie obejrzał się, ale odpowiedział.

- Nie rozważałem jeszcze tego pomysłu.

**W**szedł do klasy, popatrzył po kolegach i koleżankach.

To zwierzę weszło na terytorium obcego stada.

- Pani do kogo? - spytał ktoś spod okna.

Koledzy w większości byli ostrzyżeni albo bardzo

krótko, albo modnie, z zawijasem, mieli na sobie dresy albo koszulki polo i spodnie z niskim krokiem. Rozmawiali o siłowni i samochodach i mówili „kurwa”.

Większość koleżanek była ciemno opalona w solarium, miały tlenione grzywki, różowe bluzki, białe spodnie, znad których wystawały stringi. Pokrzykiwały i śmiały się, pokazując sobie coś na telefonach komórkowych, i też mówiły „kurwa”. Pożądał ich za te majtki na wierzchu. Nienawidził za to, że są takie głupie i kiedy zwracają na niego uwagę, to tylko po to, żeby się kpiąco uśmiechnąć. I kiedy myślał o którejś, onanizując się pod prysznicem, na przykład o Jolce z równoległej klasy, która kusiała świat, ukazując ściśnięte stanikiem cycki, to po orgazmie dziwił się sobie i ubolewał, że ma taki fatalny gust.

Było też trochę grubasów i szarych myszek, kilkoro wyrosniętych, przetrąconych dzieci, którym szkoła i strach przed klasówką czy wyśmianiem na zawsze zgasiły światło w oczach. Gabriel nauczył się z nimi nie rozmawiać, bał się ich tchórzliwej zdrady, martwoty ich dusz.

Nikt w klasie specjalnie go nie prześladował. Może dlatego, że wiedzieli, jak się nazywa, a łatwiej dręczyć anonimowe ofiary. Ale też nikt się do niego nie odzywał, znajomość z Gabrielem była jak piętno wieczystego ośmieszenia. Mniej wiedział o kolegach z własnej klasy niż o tych, którzy bawili się w wrywanie mu plecaka i wyrzucanie przez okno.

Kiedy doszedł do swojej ławki, przy szafie pełnej zakurzonych, nieaktualnych map, zobaczył, że drugie krzesło jest zajęte. Siedziała na nim nieznajoma dziewczyna w za

dużej, męskiej koszuli. Koszula była rozpięta, pod nią czarny podkoszulek z głowami wilków. „Wolne, dzikie, piękne - GINĄCE”. Nosiła dredy, w które wplotła dziesiątki wstążek i wisiorków. W ogóle nie miała makijażu. Czytała książkę, wsunęła paznokieć między blade wargi i miarowo go nadgryzała. Gabriel stanął nad nią.

- Ja tu siedziałem - powiedział w końcu.

Dziewczyna podniosła na niego wzrok i obejrzała od góry do dołu z wyrazem wielkiego zmęczenia światem.

- Nie rozumiem.

- Ja tu siedziałem.

- I co, za włosy mnie wywleciesz?

Gabriel zamrugał oczami.

- Jesteś nowa w klasie?

Dziewczyna westchnęła i wróciła do lektury. Usiadł obok niej. Znowu go dusiło. Wciągnął pył z inhalatora, a dziewczyna, nie przestając czytać, zrobiła wielkie oczy, jakby chciała powiedzieć: rany boskie, gdzie ja jestem.

- I nowa koleżanka, Sonia Drożyńska - przeczytał książdz, a wtedy dziewczyna obok Gabriela od niechcenia uniosła rękę.

- Dzisiaj będzie sesja pytań i odpowiedzi. - Książdz Dariusz był młody, tyczkowaty i łatwo się czerwienił. - Żeby zachować anonimowość, żeby nikt się nie wstydził, dostaniecie identyczne kartki, na których zapiszecie pytanie.

Gabriel pochylił się nad swoją kartką. Poskrobał róg długopisem, jakby sprawdzając, czy dobrze działa, zastanowił się i w końcu napisał: „nie mam pytań”.

Po oddaniu kartek w klasie robiło się coraz głośniejsze, ktoś rozmawiał przez komórkę, ktoś powtarzał rytmicznie: „Jep, jep, jep. Jep, jep, jep”. Ksiądz Dariusz czytał pytania i odpowiadał.

- „Czemu ksiądz chodzi w czarnej szacie...”. - Na kartce tak naprawdę było napisane „szmacie”, ale ksiądz udał, że tego nie widzi. - No to parę słów o historii sutanny.

Katecheta zagryzał usta przy niektórych karteczkach i bez słowa odkładał je na bok. Sonia czytała dalej, od czasu do czasu tylko wzdychała i kręciła głową na słowa księdza. Wygląda, jakby wiecznie stała na scenie i ani na chwilę nie mogła przestać grać, pomyślał Gabriel.

- A więc, jeśli chodzi o masturbację, seksualność jest darem od Boga, problem w tym, że trzeba godnie korzystać z tego daru - powiedział ksiądz.

- Czyli jak, lewą ręką? - mruknęła Sonia.

Ożywiła się tylko, kiedy przeczytał jej pytanie - jeśli Bóg ma być dobry, skąd obozy koncentracyjne? - ale ksiądz tak mętnie mówił coś o tajemnicach, że szybko straciła zainteresowanie i wróciła do lektury.

Do końca lekcji został kwadrans. Ksiądz wziął kolejną kartkę, przeczytał ją, zamrugał oczami, górne rejony policzków zalała mu buraczkowa czerwień, w końcu rzucił papier na biurko, wstał i wyszedł. Więc młodzi ludzie też zaczęli wychodzić, dzięki temu mieli dłuższą przerwę.

Przechodząc obok biurka, Gabriel rzucił okiem na zostawioną przez księdza kartkę.

„Jak często Jezus wali konia?”.

Dziwnie jest stać w korytarzu podczas lekcji. Nie oglądając się na kolegów, Gabriel poszedł na drugie piętro, gdzie nikogo jeszcze nie było. Szedł przed siebie, słysząc przytłumione głosy nauczycieli za drzwiami klas, mijając wielkie kaloryfery w drewnianych obudowach, porysowanych długopisami: Gośka Waszczuk się puszcza, k.o.c.h.a.m. Robercika. Na ścianach wisiały tablice i gazetki. Skomplikowany i niezrozumiały plan ewakuacji. Warszawa, jakiej nie znamy, uczniowie kładą kwiaty na grób bohaterów, London Trip 2008 - zdjęcia z wycieczki kółka miłośników angielskiego do Londynu. Do kółka należały same snoby, rozmawiali tylko ze sobą. Żeby dodać splendoru, zdjęcia podpisano po angielsku. „The weather was rather unstable,..”, przeczytał Gabriel. „We relax ourselves in a real pub”. Elitarne anglojęzyczne kółko. Banda niedouczonych kretynów. Dalej zatrzymał się przed tablicą o pomocy zwierzętom, stworzoną przez dwie natchnione pierwszoklasistki. „Przygarniając jednego psa, nie zmienimy świata, ale świat zmieni się dla tego jednego psa”.

Na końcu korytarza zauważył sprzątaczkę, czterdziestoletnią, wysuszoną od nikotynowego nałogu kobietę. Miała na sobie niebieski fartuch w jasne cętki. Niosła plastikowy wór, do którego zbierała śmiecie. Podniosła spod kaloryfera opakowanie po batoniku, cicho złorzecząc gówniarzom i nowemu porządkowi, wrzuciła papier do worka.

Wtedy rozległ się przerażający, ogłuszający dźwięk dzwonka, i od razu hurgot, jakby nadchodziła burza: licealiści wypadali z klas. Otworzyły się chmury i spada ciężki

grad. Ostrzyżony na łyso chłopak w okularach śpiewał: „na chuj nam to, na chuj nam to...”.

Śmierdziało butami i młodym potem.

Z tajemniczego powodu podczas przerwy nie wolno było zostać w pustej klasie. Gabriel najczęściej siadał w podziemnej szatni i wśród kurtek i worków na buty czytał albo po prostu myślał. Kiedy szatnia rozbrzmiewała okrzykami i śmiechami, co słyszał już na schodach, wracał na górę i chodził korytarzami bardzo szybko, jakby musiał coś załatwić. Trzeba było tylko uważać, żeby nie potknąć się o czyjeś nogi. Grupy uczniów koczowały przy drzwiach do każdej klasy, siedzieli na zielonym linoleum oparci o ścianę, z wyciągniętymi kopytami, jedli kanapki. Kiedy szybko szedł, nikt go nie mógł zaczepić, przecież śpieszył się w ważnej sprawie. Gdy mijał kolegów, od których spodziewał się napaści, wyjmował z kieszeni telefon komórkowy i udawał, że właśnie z kimś rozmawia.

Nie wchodził do szkolnych łazienek, bał się. Pamiętał, jak próbuje na czworakach, z opuszczonymi spodniami, uciec od śmiejącej się grupy, a nagle czuje na plecach but, który przygniata go do kafelków. Zamyka oczy i wdycha zapach chloru.

Kiedyś wszedł do szatni i zobaczył swoją kurtkę rozpostartą na podłodze, ktoś się na nią wysrał. Materiał przesiąkał ciemnym płynem. Na szczęście w domu nie było rodziców; mył kurtkę szczotką pod prysznicem, łyzy mieszały się z brązową wodą w brodziku i spływały do kanalizacji.

Nie umiał się bronić i nie mógł nic powiedzieć rodzicom. Ojciec złościł się i krzyczał, że daje sobą pomiatać.



Nie wiedział, kto wtedy nasrał na jego kurtkę, w szatni nikogo nie było. Ale podejrzewał, że ten fizjologiczny żart powstał w głowie szkolnego podrywacza Kacpra i jego kolegów, bo kiedy parę dni później przechodził obok nich na dziedzińcu, jeden zawołał: „Gejbrielu, kurtka dziwnie ci wonieje”.

Tęsknił za podstawówką. Miał wtedy przyjaciela, niskiego, grubego Jacka. Kiedy po raz pierwszy przyszedł do szkoły z mamą, bał się obcych dzieci, biegających i krzyczących starszaków. Przed klasą ustawiła się kolejka przyszłych kolegów i koleżanek i mama po prostu podeszła do stojącego na uboczu grubaska i powiedziała Gabrielowi, żeby stanął razem z nim. Stali i trzymali się za ręce, jak kazała mama, nie patrzyli na siebie i milczeli. Tylko od czasu do czasu grubasek wydawał dziwny dźwięk, jakby pykał nosem. Potem usiedli w tej samej ławce i zaczęła się pierwsza lekcja w jego życiu. I szybko okazało się, że umie z Jackiem rozmawiać i bawić się, choć grubasek nie chciał biegać, bo z jakiegoś powodu bał się spocić. Gabriel i Jacek odwiedzali się w domach, oglądali filmy na wideo, skarżyli się sobie na głupich i okrutnych kolegów. A potem w trzeciej klasie Jacek powiedział, że wyjeżdża do Ciechocinka, bo jest chorowity, i będzie tam się uczył, bo tam wyzdrowieje. I Gabriel został sam.

Pod koniec czwartej klasy podstawówki pani powiedziała, że odwiedzą ich dzieci, które jesienią rozpoczną naukę. Każdemu z uczniów przydzielono jedno z nowych dzieci, któremu miał pokazać szkołę. Gabriel wciąż wyobrażał sobie, jak oprowadza przyszłego pierwszaka, pokazuje

mu szatnię, klasy, drzwi do pokoju nauczycielskiego. I mówi mu, żeby niczego się nie bał, że teraz jest już przygotowany, że wszystko będzie dobrze. Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień i przed Gabrielem stanął przydzielony mu chłopiec.

- Ja już wszystko wiem, mój brat tu chodzi i wszystko mi pokazał - powiedział znudzonym tonem.

Gabriel czuł się, jakby ktoś go oszukał.

Zadzwonił dzwonek, którego koledzy nienawidzili, a Gabriel kochał. Oznaczał koniec korytarzowego chaosu. Kiedy szedł do klasy, usłyszał rozmowę:

- Widziałeś, z kim siedzi Gejbriel? To siostra Drozia podobno.

- Pierdolisz.

Podczas reszty lekcji Sonia przeczytała całą książkę. Kiedy skończyła się matematyka, dziewczyna wstała i wyszła, nie odzywając się do niego ani słowem. Gabriel nawet tak wołał. Kiedy ludzie tylko patrzą na siebie, taka rozmowa jest subtelna i otwarta, a kiedy zaczynają mówić, wyrasta między nimi mur zbudowany ze słów.

Po lekcjach szedł przez gwar i słońce dziedzińca do stojaka na rowery, gdy nagle ktoś go popchnął i przyparł do ściany.

- A ty dziewczyna, że takie włosy? - zagadnął Mariusz i stuknął go wyprostowanymi palcami w brzuch. Mariusz miał wielkie cielsko i małą głowę, ogoloną na

łyso, na grubej szyi napinał się złoty łańcuszek. Ubrany był w białą koszulkę polo w szare pasy, na słupowatych nogach miał krótkie spodenki i białe sportowe buty. Jego dwaj koledzy wyglądali jak katastrofy genetyczne, krzyżówki ludzi z wieprzami i wilkami i małpami, produkty gorsze i upośledzone. Szczyrzyli słabe, spiczaste zęby, zanosząc się od małpiego śmiechu.

- Nie jestem dziewczyną - odpowiedział Gabriel i osłonił brzuch. Wtedy Mariusz zaczął go stukać w pierś.

Kiedyś Mariusz był postrachem podstawówki, ale Gabriel wcześniej nauczył się szczerzej taktyki przemykania się przy ścianach, przesiadywania w osłoniętych kątach i nie doznał od niego wiele złego. Mariusz dotknął go tylko raz, ale nie fizyczną napaścią. Kiedyś Gabriel zobaczył, jak w pustej klasie chłopiec trzyma na stole zółwia, wyjętego z akwarium. Mariusz wykrawał go nożem ze skorupy. Oddzielał ostrzem twarde płytki, które miały chronić delikatne ciało od niebezpieczeństw. Skorupa okazała się niewystarczającą ochroną przed dziesięciolatkiem, który chciał sprawdzić, co w środku.

Ten widok wtrącił Gabriela w czarną strefę. Zapada się serce. Wiedza o świecie poszerza się. Wiesz, co może się na nim zdarzyć. Gorzej, że nie umiesz tego zrozumieć. Nie umiesz wnikać w umysł tego chłopca. Wydaje ci się, że świat nie może być dobrym miejscem, dopóki ktoś ma inne wnętrze, uczucia i motywy niż ty sam. „Zostaw zółwia”, powiedział słabo Gabriel. „Spierdalaj, chcę zobaczyć, jak wygląda”, odpowiedział Mariusz. I Gabriel poszedł. Nie mógł w nocy spać i nigdy tego nie zapomniał.

Mariusz chyba nie pamiętał Gabriela. Tłusty chłopak

zakończył edukację na szóstej klasie, ale czasem z nudów zaglądał na dziedziniec liceum. Może chciał sprawdzić, czy ominęło go coś ciekawego.

Teraz uderzał go wierzchem dłoni na zmianę w brzuch i w twarz. Gabriel zasłaniał brzuch i wtedy Mariusz celował w nos. Gabriel zasłaniał twarz, a Mariusz uderzał go w brzuch. Nie bił mocno. Raczej szturchał. Zza tęgiej postaci co chwila wyskakiwała twarz jednego z popleczników, który wykrzykiwał coś do Gabriela.

- Co byś zjad, z pizdy gnat?

- Bardzo zabawne - odpowiadał Gabriel. Nie wiadomo czemu skupiał się na tych subtelnych uwagach. Miał przed sobą bezpośrednie zagrożenie w postaci tłustego Mariusza. Mimo to zwracał się do zaplecznego żartownisia. Rozmawiać potrafił, a nie potrafił się bić.

I nie bał się. Strach istnieje tylko wtedy, kiedy nie ma zagrożenia. Kiedy jest zagrożenie, po prostu chcesz, żeby się skończyło.

I skończyło się. Z kieszeni Mariusza dobiegła stłumiona rytmiczna muzyka. Kiedy wyjął telefon, uwolnione dźwięki rozbrzmiały po dziedzińcu. „Rucham kurwę, wciągam kreskę, na ulicy kroję leszcze”, informował piosenkarz przez buczący głośniczek.

Mariusz jakby zapadł się w siebie, spojrzął na ekran telefonu, wcisnął przycisk, przyłożył aparat do czerwonego ucha, odwrócił się i odszedł. Jego koledzy pośmiali się jeszcze trochę i ruszyli za przewodnikiem stada.

Gabriel nie rozplakał się. Ojciec dużo mówił w domu o honorze. Dopiero kiedy wsiadł na rower, zauważył, że trzęsą mu się ręce.

W parku wiał przyjemny wiatr. Po oceanie nieba powoli płynęły chmury. Małe, szczęśliwe wieloryby. Na horyzoncie ocean stawał się czerwony.

Osiedle składało się z pięciu wysokich, jasnych bloków, które widziane z lotu wrony tworzyły prawie równy krąg. Krąg ten wyznaczał granice świata wewnętrzznego, naszej ziemi. Niby jesteśmy na zewnątrz, a jednak wciąż w domu.

Na środku kręgu znajdowało się trawiaste wzniesienie, a na nim rósł jeden jawor i dwa świerki, oddzielone od siebie chodnikiem. Chodnikowe płyty były kiepsko dopasowane i kiedy podnosiło się jedną z nich, widziało się biegające robaki i białe, sprasowane korzenie trawy.

Z jakiejś przyczyny chodnik nie stanowił wygodnej drogi dla mieszkańców. Buty porannych pracowników, staruszek z siatkami, uczniów z tornistrami wydeptały w trawie jeszcze dwie dodatkowe ścieżki, bardziej uczęszczone niż ta wskazana przez państwo. Najtęższa głowa z wydziału planowania mogłaby latami studiować mapę osiedla i nie odkryłaby, czemu wygodniej i szybciej iść amatorską ścieżką i czemu trasa oficjalnego chodnika jest chybiona.

W porze deszczowej ścieżki stawały się gliniaste i miękkie.

Za wzgórzem, chronione daszkiem i ażurowym murem z cegieł, stały w swoim smrodzie trzy kontenery na śmiecie. Obok tego pawilonu nieczystości sterczał trzepak na dywany, najczęściej używany przez dzieci, które

zwieszały się do góry nogami z chropowatej metalowej rury niczym kolorowe, wrzaskliwe nietoperze.

Gabriel przejechał przez wzgórze i skierował się do swojego bloku.

Do kolacji zasiedli w składzie rozszerzonym. Ojciec, mama, pięcioletnia Ola i Gabriel, a także matka ojca - babcia Wala, czyli Babcia Dawne Czasy. Akurat wracała od jednej z kum, jakiejś Bunci czy Stefy, i postanowiła ich odwiedzić. Babcia cały czas trzęsła głową, nawet kiedy jadła. Wyglądało to, jakby wyrażała wieczny sprzeciw wobec współczesności. Trzeba było ją upominać, by nie próbowała odpowiadać na pytania, kręcąc głową na „nie” i kiwając na „tak”, sygnały te ginęły bowiem w permanentnym drzeniu.

Gabriel nic nie mówił, jadł cicho i patrzył w stół. Myślał o tłustym chuliganie, który parę godzin temu trącał go paluchami. Słyszał śmiechy dwóch zwierzolutdzi.

- Przyjaźniłam się z Mistrzem Amejką - zwróciła się do niego babcia, oddzierając skórkę od chleba. - Był on wielkim znawcą numerologii i innych sekretów. Powiedział mi kiedyś, żeby broń Boże nie nazywać dziecka na literę G, bo to najgorsza litera alfabetu.

Babcia narysowała palcem na obrusie złą literę.

- Widzisz, jest okrągła, więc ściąga wszystko co złe dookoła, a potem tą poziomą kreską skierowuje całe otaczające zło na siebie.

- A czemu nie ściąga tego, co dobre? - spytał ponuro ojciec, który wiele już razy wysłuchiwał tej tyrady.

- Odradzałam Gabriela twoim rodzicom, oni nic. No i oczywiście, kiedy się urodziłeś, od razu musiałeś zostać w szpitalu. Potem co dwa tygodnie gorączki, wymioty. Znowu szpital. Mówiłam: jeszcze macie czas, zmieńcie mu imię. Oni nic, mów do słupa, a słup jak dupa. No i proszę, na jakiego chwata wyrosłeś. Błady i chudy, astma.

- Strach pomyśleć, do czego doszliby George Bush i George Clooney, gdyby nie nazywali się na G - powiedział Gabriel do talerza.

- Mów wyraźnie - upomniał go ojciec.

Babcia zaśmiała się złowieszczco i podniosła szklankę z herbatą do cienkich warg.

- Jest taki, jaki miał być - stwierdziła mama. Przechyliła się w stronę chłopaka i pocałowała go w skroń, na co on tylko uniół brwi.

- Za cicho i niewyraźnie mów, przez życie trzeba iść z podniesioną głową - powiedział ojciec.

- Gucio też nazywa się na G! - zawołała siostrzyczka.

- No i właśnie, chore zwierzę - mruknęła do siebie babcia, ale już nikt jej nie słuchał.

Gucio był yorkshire terrierem. Jest to ozdobny gatunek psa, zwierzątko drobne, chuderlawe, nieustannie drżące, obdarzone długą jasną sierścią i wylupiastymi oczami. Często na czubku głowy zawiązuje się yorkom kokardki, aby uwypuklić ich urodę maskotki.

Pomimo ujmującego wyglądu Gucio zachowywał się jak oszalały wampir. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć, bo zaczynał przeraźliwie ujadać i próbował kąsać buty ostrymi ząbkami. Szarża na nogi wyglądała za każdym razem jak ostatni, desperacki lot kamikaze. Nienawiść i

agresja Gucia nie znały granic. Z filuterną kitką, związaną różową wstążką, jazgotał na wszystkich spod kudłów, siejąc strach wśród intruzów.

Gabriel dostał Gucia od rodziców na Gwiazdkę. Czuł, że powinien go lubić, ale temperament niewielkiego zwierzęcia bardzo to utrudniał. Dnie spędzał Gucio wciśnięty w przestrzeń między oparciem kanapy a ścianą, zwrócony tyłkiem do świata, i naprawdę nie znalazł się w rodzinie śmiełek, który wetknąłby rękę do jaskini bestii.

Kiedy Babcia Dawne Czasy została po raz pierwszy przedstawiona Guciovi, a on z blaskiem wściekłego szału w wylupiastych oczach przegonił ją po całym mieszkaniu, oznajmiła, że albo Róziewiczze się go pozbędą, albo jej noga więcej u nich nie postanie. Na twarzy ojca pojawił się cień pełnego nadziei uśmiechu, ale mama zaproponowała, żeby zamykać Gucia, kiedy przychodzą goście. Za pomocą siatki na motyle, pamiątki po dziecięcej pasji Gabriela, zakończonej odkryciem, że w mieście nie ma motyli, ojciec holował Gucia do łazienki. Uwięziony w siatce, którą próbował przegryźć, zapierając się drobnymi łapkami o deski parkietu, piesek jechał dupą po podłodze i przeźliwie ujadał. Przystawał szczeakać, kiedy ojciec zamykał drzwi łazienki, ale była to cisza złowróźbna.

W odwecie Gucio szarpał papier toaletowy na drobne cząstki.

Teraz szczeakał w łazience na wyimaginowanie groźny cień, ale nikt z jedzących kolację nie zwracał już na niego uwagi.



- Spróbuj no wreszcie tej kiełbasy, to od Janci z Wielgoniów. - Babcia podsunęła Gabrielowi talerz.

- Dziękuję, babciu - powiedział Gabriel i położył sobie na kanapkę plaster żółtego sera i krążek pomidora.

- Gabriel wierzy, że pomidor mniej cierpi od świni, kiedy go kroić - powiedział ojciec.

- Pomidor nie ma układu nerwowego, tato - odparł Gabriel.

- Bo ty wiesz, co ma pomidor.

- Gabriel jest najlepszy z biologii - powiedziała Ola.

Może dlatego bał się śmierci. Pewnego dnia zrozumiał, że ludzie są zwierzętami, a cywilizacja powstała przez sublimację podstawowych popędów. Nasza droga prowadzi z ciemności w ciemność.

- Weź ty się nie wygłupiaj z tym mięsem, mózg ci skarleje! - zdenerwowała się babcia.

- To przesady, babciu. Jak nie chce, niech nie je - powiedziała mama.

- Obliczyłem, że potrzeba dwadzieścia litrów wody, żeby podlać rośliny na balkonie - ojciec zmienił temat. - Tyle wody utrzymałoby przy życiu dwudziestu Murzynów z Afryki.

- Uważasz, że balkon wyglądałby ładniej, gdyby stało na nim dwudziestu Murzynów? - spytał Gabriel.

Siostrzyczka mało nie zachłysnęła się ze śmiechu herbatą i mama musiała ją klepać po plecach.

- Trochę jesteś bezczelny, wzięwszy pod uwagę, że kiedyś byłeś moim plemnikiem - odpowiedział ojciec.

- Oj, no nie przy Oli! - zawołała mama.

- Co to plemnik? - spytała dziewczynka.

- Powinna się dowiedzieć, zanim będzie za późno - mruknęła Babcia Dawne Czasy, żując pozbawiony skóry chlebowy miękisz. - Idę do domu, nie da się z wami wytrzymać.

Po kolacji Gabriel poszedł do kuchni, wypadła jego dyżur przy zmywarce. W dużym pokoju włączyli telewizor.

- Osesek orangutana musi mieć kocyk, który zastąpi mu matkę - mówił telewizor. - Nie da go sobie odebrać, wciąż go ściska łapami i nogami.

Gabriel zaczął wyładowywać czyste naczynia ze zmywarki. Na początek sztucce. Wszystkie były odwrócone użytkowymi czubkami do dołu, tak się lepiej zmywały. Ale w pojemniku na zlewie powinny stać czubkami do góry, żeby można było poznać, co jest widelcem, a co łyżką - poza nożami, te musiały być ostrzami do dołu, bo dłoń szukająca w pośpiechu łyżeczki mogła ulec skaleczeniu. Wyjmował więc naręcza lśniących, brzęczących sztucców, odwracał widelce, łyżki i łyżeczki czubkami do góry, noże zostawiał, jak były, i wkładał do stojaka.

Do kuchni wszedł ojciec i położył talerz na blacie.

- Noże stanowią jedną czwartą zastawy - powiedział. - Zajęłoby ci mniej czasu, gdybyś odwracał noże, następnie przekręcał cały pęczek i tak wkładał do pojemnika.

- Nie pomyślałem - odparł Gabriel.

- Nic nie szkodzi, na przyszłość tak rób, to zajmie ci mniej czasu. Pomogę.

- Nie trzeba, lubię.

Ojciec oparł się o framugę i patrzył na chudego chłopaka. Gabriel upuścił szklankę na podłogę i błyskawicznie się po nią schylił, nie stłukła się, była z duraleksu, a kiedy ją podnosił, potrącił ramieniem patelnię. Ojciec nie mógł powstrzymać zniecierpliwionego sapnięcia nosem, ale widać od razu tego pożałował i spytał przyjaźnie:

- Jak tam w szkole?
- Super.
- Masz listę gości?
- Jeszcze nie, jutro zrobię.
- Mówiłem ci o mojej osiemnastce?
- Cała szkoła o niej huczała.

Ojciec pokiwał głową z nietrwałym, odruchowym uśmiechem na twarzy. Potem wyszedł.

Ojciec starał się nauczyć Gabriela angielskiego, kiedy syn jeszcze chodził do przedszkola. Może tak wyglądał ostami strzęp marzenia o emigracji do Stanów Zjednoczonych, z której nic nie wyszło, marzenia o filmowym życiu za oceanem, o domu na przedmieściu przy ulicy identycznych, ładnych domków, z koszem do koszykówki przy drzwiach do garażu, w którym stoją dwa samochody. Ten obraz pozostał w sercu ojca po oglądanym kiedyś serialu *Cudowne lata*.

Nauka angielskiego wyglądała tak: kiedy wychodzili z domu, ojciec mówił do Gabriela tylko w tym języku i udawał, że nie słyszy, kiedy pięciolatek odpowiadał po polsku. W ten sposób sprawiali wrażenie niecodziennych turystów, połączonych zamorską tajemnicą.

Nauka skończyła się tak: byli w magazynie artykułów do wyposażenia domu. Mały Gabriel z podnieceniem wchodził do ustawionych jedna obok drugiej łazienek, podziwiał całą ścianę wiertel, bawił się śrubkami. Nie zwracał uwagi, że jest mu za gorąco w zimowym kombinezonie. Wdychał podniecający zapach farby i boazerii. Ojciec chodził zamyślony, z notatnikiem, zdejmował z regału to czy inne okucie, krzywił się i odkładał z powrotem.

Wreszcie zebrał na dnie koszyka parę najbardziej zadowolających go artykułów. Haczyki do betonu, nowa kłódka do wynajmowanego garażu i paczka śrub średnicy sześciu milimetrów. Stanęli w kolejce do kasy. Czekają przed nimi sześć osób. Nudny i mokry luty obudził w sercu rodaków małego budowniczego.

Nagle Gabriel poczuł, że nie może tak długo czekać.

Musiał skrzyżować nogi, co nie uszło uwagi inżyniera.

- *You want pee-pee?*

Gabriel kiwał głową. Bał się odezwać, żeby nie powiedzieć czegoś złe.

- *Please answer, son.*

- *Yes.*- Tego słowa był pewny.

- *There's no pee-pee here, you'll have to keep it.*

Gabriel nie zrozumiał. Wiedział tylko, że bardzo chce mu się siusiu, że poci się pod kombinezonem, a kobieta przed nimi strasznie długo gada z kasjerką. Nie wytrzymał.

- Tatusiu, ty za szybko mówisz! - zawołał i rozplakał się.

I ludzie w kolejce zorientowali się, że nie są cudzoziemcami, tylko Polakami, są tutejsi, zwyczajni. Ojciec był przekonany, że nawet zobaczył kilka złośliwych uśmiechów. Skrzywił się, szybkim ruchem, jakby chciał kogoś uderzyć, odstawił koszyk na taśmę, złapał Gabriela za rękę i nic nie mówiąc, wyprowadził ze sklepu.

Długo stali przy pisuarze, Gabrielowi odechciało się ze strachu, ale ojciec nie odezwał się ani słowem. Chłopak starał się wydusić choć parę kropli, ale nic nie leciało. Wreszcie zapiął spodenki, nie podnosząc głowy. Poszli do samochodu. Ojciec wciąż nic nie mówił. Gabriel był przekonany, że zrobił coś strasznego, ale nie wiedział, jak przeprosić. I już nigdy tata nie przemówił do niego po angielsku.

Nastawił zmywarkę, żeby włączyła się o szóstej rano. W ten sposób budzący się domownicy rozpoczną dzień od luksusu czystych naczyń. Mama kąpała Olę i z łazienki dochodził głos dziewczynki opowiadającej coś o przedszkolu.

- Nie ma wprost wątpliwości, że jest zdecydowanie moją najlepszą przyjaciółką, założyłyśmy tajny klub.

- No proszę, a mnie wolno do niego przystąpić? - spytała matka.

Matka Gabriela, Klaudia Rózewicz z domu Głogowska, zanim musiała się zadowolić członkostwem w tajnym klubie przedszkolaków, miała kiedyś widoki na karierę piosenkarki. W rodzinnych Kielcach była solistką w harcerskim chórze, wystąpili parę razy w telewizji. Kariera jednak

zwlekała, więc Klaudia pojechała na studia pedagogiczne do Warszawy, żeby w razie czego mieć wyższe wykształcenie. A poza tym gdzie lepiej rozpocząć drogę do sławy niż w stolicy. Na studenckiej zabawie spotkała ojca. Na pedagogice było więcej dziewczyn, na politechnice więcej chłopaków, więc wspólna impreza w zamierzeniach przypominała rolniczy zabieg rozplodowy.

Ojciec trzymał się na uboczu i ponuro obserwował zabawę. Wśród śmiejących się studentek zobaczył jedną, która śmiała się najgłośniej. Śpiewała niskim głosem *Hej, sokoły*, wystukując rytm na puszcze od piwa. Na zasadzie przyciągania się przeciwieństw naukowy chłód, który stanowił trzon jego osobowości, pożył tej nieodpowiedzialnej i lekkomyślnej dziewczyny. Więc zaczęli się spotykać, a w końcu zmieszali materiały genetyczne. Z takich połączeń intelektu z artystyczną duszą często rodzą się dzieci wybitne. Może Ola będzie wybitna, pomyślał Gabriel. Nie wiedział, że to on z dwójki rodzeństwa zapisze się na kartach historii.

Gdy urodził się Gabriel, o karierze piosenkarki nie mogło już być mowy. Nie stać ich było na opiekunkę, babcia Wala stwierdziła, że dość się w życiu nawąchała obsranych pieluch, w dodatku synek często chorował. Zaczynały się lata dziewięćdziesiąte, rozwarły się złote wrota wolnego rynku i ojciec bez problemów znalazł pracę, z której mógł sam utrzymać rodzinę. Kupili mieszkanie, najpierw na Bródnie, potem, kiedy syn miał pięć lat, przenieśli się do większego na Grochowie. Gabriel słabo pamiętał to pierwsze mieszkanie, ale czasem pojawiały się we wspomnieniach ciemne, ciasne pokoje, brązowy dywan, po którym jeździł samochodzikiem.

Matka wydawała się zadowolona, kochała dzieci i zajmowała się nimi najlepiej, jak umiała. Ale chyba wciąż niepokoiły ją odległe horyzonty. Ochrzcili Gabriela i Olę, a ona nadal odczuwała metafizyczny głód. Kiedy razem z międzynarodowymi korporacjami i lodami Magnum pojawił się w Polsce New Age, znalazł w Klaudii Rózewicz gotowe naczynie dla mętnego, lecz niosącego nadzieję miszmaszu wschodnich ideologii. Klaudia wstawiała o świcie i praktykowała jogę na karimacie rozłożonej w korytarzu, żeby nie budzić rodziny. Zapełniała półki dziełami Krishnamurtiego i Olego Nydhala.

Tytuł jednego z dzieł Nydhala, *Dosiadając tygrysa*, bardzo Gabriela cieszył. Wreszcie mama odkryła błogosławionego mistrza Sathya Sai Babę, który co roku ustami rodził świat. Świat był złotą kulką, którą Sai Baba wyjmował sobie z buzi. Zdjęcie kudłatego, uśmiechniętego grubaska w pomarańczowej szacie stało na jej nocnym stoliku.

- No, gdyby Ali Baba nie urodził świata w tym roku, dopiero byśmy mieli przechlapanie - mówił ojciec. - Klaudia, proszę, nie chcę się budzić i patrzeć na tę małpę.

Nie klóciła się, chociaż obrażał mędrca, którego kochała, na dodatek nieładnie i rasistowsko. Macierzyństwo wydobyło z niej łagodną rezygnację. Gabriel uważał, że jej łagodność jest trochę podejrzana, jakby pomimo ciszy w przyrodzie coś wciąż się działo na horyzoncie. W końcu wizerunek Sai Baby znalazł azyl w jej torebce. Wieczorami siadała sama w sypialni, wyciągała zdjęcie i pogrążała się w medytacji, a potem trzeba było wykąpać Olę.

Gabriel zamknął zmywarę i poszedł do swojego pokoju. Wszystkie meble, lekkie i jasne, pochodziły ze sklepu Ikea. Składał je ojciec. W sobotę czy niedzielę wracali z Targówka, nasyчени mięsnymi kuleczkami z żurawiną i frytkami w brązowym sosie, a w przypadku Gabriela samymi frytkami, wyladowywali ze skody ciężkie paczki i wnosili do windy, po czym w mieszkaniu ojciec siadał przy stole i z powagą studiował instrukcje. Nie pozwalał nikomu skrócić nawet jednego krzesła. Zmarszczonymi brwiami i ołówkiem, którym podkreślał co ważniejsze etapy, dawał do zrozumienia, że to poważna sprawa, zadanie dla inżyniera.

Biurko. Szafka na książki. Szafa z ubraniami. Łóżko. Wszystko dzieła szwedzkich projektantów.

Nie było w tych meblach historii, jak w ciężkich od kurzu kolosach, zastawiających mieszkanie babci Wali. Były proste, skromne i nie wyobrażały sobie za wiele. Trudno sobie wyobrazić, żeby w przyszłości ktoś powiedział: „Tę szafę Bergsbo z Ikei odziedziczyłem po dziadku” albo „Wuj schował diamenty w fotelu Tullsta”.

Gabriel był pewny, że ojciec żałuje, że nie może w Ikei kupić też syna. Przemyślanego, racjonalnego i prostego w obsłudze. W sumie sam też czasem żałował, że nie zaprojektował go jakiś pogodny Skandynaw.

Czysty pokój nie nosił śladów osobowości Gabriela. Jego świat istniał w książkach, muzyce i komputerze. Czytał grube tomy fantasy, gdzie wszystko było proste: dobro walczyło ze złem w pięknych krainach magii. Czasem



popadał w zawstydzenie, że ekscytuje go taka prymitywna literatura. Wracał do Rimbauda i Baudelaire'a. Odkrył tych poetów na lekcji polskiego i był zdumiony, że szkoła sama dała mu do ręki otumaniający, wywrotowy narkotyk.

Jeśli chodzi o muzykę, z upodobaniami spóźniał się o dobre dwadzieścia czy trzydzieści lat. Natchnione pieśni Dead Can Dance dobrze pasowały do lektury eposów o magii i męstwie. Z zamkniętymi oczami, leżąc na łóżku, słuchał Pink Floyd czy King Crimson i zapadał się we wszechświaty wyobraźni.

Rock progresywny stał dokładnie po drugiej stronie barykady niż dance czy hip-hop, którego słuchała reszta klasy. Nie lubił hip-hopu, wydawało mu się, że wykonawcy brzmia tak, jakby chcieli go pobić. Najlepsze hiphopowe utwory były przeróbką starych normalnych piosenek.

Wokalistka śpiewała oryginalny tekst i nagle wcinał się raper, który bredził jak pijany wujek na urodzinach, koniecznie chcący włączyć się do rozmowy i gadający dla samego gadania. „Tak - kocham cię - czekaj na mnie -je! - ale co to miłość - kto to wie - ja tego nie wiem - czy ty nie wiesz też - nie wiem sam - co powiedzieć mam?”. I po tym gadatliwym, ale pozbawionym sensu interludium znów wracamy do oryginalnej melodii. Mimo wszystko w tych przeróbkach dało się dostrzec światło pierwszej wersji utworu. Oryginalnych piosenek hiphopowych nie czuł, nie rozumiał i nie chciał. Nie miał pojęcia, że hip-hop odegra ważną rolę w jego życiu.

Gabriel usiadł za biurkiem i włączył komputer. Lubiał komputer, jak wszystkie samotne nastolatki, ale nie mógł długo z niego korzystać. Miał alergię na wszystko. Również

na pola elektromagnetyczne. Lubił zapominać o świecie i pogrążyć się w cyfrowych smaczkach: o wojownikach z fantastycznych krain, o kosmicznych bitwach, przygodach komandosów. Ale po półgodzinie od razu ból głowy, swędzenie, łzawiące oczy. Musiał wyłączać komputer i żyć na powierzchni, choć był stworzony do głębi i jaskiń.

Teraz reakcja nastąpiła szybciej niż zwykle, ale jeszcze patrzył na ekran, rozplywający się we mgle, którą rozprasał tylko na chwilę, mrugając oczami.

W sypialni rodziców ojciec szeptem zwierzał się żonie z nowych upokorzeń, których doznał w korporacji od szefa działu.

Ojciec bał się stracić pracę. Nad ich życiem zawisło straszne, czarne słowo: restrukturyzacja.

Kiedyś zabrał Gabriela do pracy. Taki męski dzień, mieli potem pójść razem na lunch. Recepcjonistka wdzięczyła się do Gabriela i mówiła, że przystojny.

- Moje geny, moje geny! - zaśmiewał się ojciec.

Potem poszli do pokoju, w którym ojciec pracował razem z dwoma kolegami. Koledzy żartowali po męsku.

- No, pomścisz ojca, co?

- Moje geny! - śmiał się ojciec.

Nie wiadomo czemu te geny przepełniały go dumą. Gabriel był chudy jak szkielet i blady. Często kaszlał i przeziębiał się.

- Kato chce z tobą rozmawiać - powiedział łysy kolega.

Kato był prezesem.

- Jakoś wytrzymam! Może nie usnę! - zaśmiał się ojciec.

Potem Gabriel poszedł do kuchni zrobić ojcu kawę. Przed ekspresem stała asystentka w obcisłych czarnych spodniach. Zdawało mu się, że ma przed sobą dwa melony obciążone elastycznym materiałem. Asystentka spieniła mleko, uśmiechnęła się do Gabriela i wyszła, kręcąc tyłkiem. Gabriel pomyślał, że może nie jest tak źle pracować w korporacji.

Zmienił zdanie, kiedy wrócił z kawą. Kato już tam był, młodszy od ojca, niższy, grubawy. Wyglądał jak dobrze karmiony przedszkolak w garniturze. Wiktor Rózewicz rozmawiał z nim, podrygując, chichocząc, machając rękami. Gabriel stał przed szybą i obserwował.

„Trzeba być mężczyzną i walczyć, jak ktoś chce cię skrzywdzić”, powtarzał ojciec, kiedy Gabriel był mały i skarżył się na szkolne niesprawiedliwości. Powtarzał to szczególnie często w okresie, kiedy należał do koła łowieckiego i co parę miesięcy przywoził do domu mokre, miękkie ciała zajęcy. „Jeśli uciekniesz, całe życie nie będziesz mógł spojrzeć w lustro. To gorsze niż parę siniaków. Wiesz, jak Spartanie żegnali synów, którzy szli na bój?”. Gabriel wzdychał, tyle razy to już słyszał. „Ubieraj się ciepło?”. „Nie żartuj sobie, poważnie rozmawiamy. Jest pora na żarty i pora na poważną rozmowę. Wróc z tarczą albo na tarczy, mówili”. „Musiałbyś najpierw kupić mi tarczę, tato”.

Najwidoczniej spartańskie zasady nie obowiązywały w międzynarodowej korporacji.

**G**abriel zaczął kichać, atak trwał długo. Pomiędzy kichnięciami wyłączył komputer.

Wziął gitarę ze stojaka i usiadł na wąskim łóżku. Kupił ją parę miesięcy temu i na początku intensywnie ćwiczył, palce lewej dłoni bardzo bolały, struny żłobiły wgłębienia na czerwonych opuszkach. Wydawało mu się, że znalazł dla siebie świetne zajęcie. W niedługim czasie opanował podstawowe chwyt i mógł zagrać, choć powoli, kilka prostych piosenek. Potem pojawił się problem w postaci akordu F. Akord ten jest trudniejszy od pozostałych, wskazujący palec lewej ręki musi przycisnąć wszystkie struny naraz. Zupełnie mu to nie szło, akord brzmiał fałszywie albo struny tylko sucho pobrzękiwały. Być może przyciskał w złym miejscu albo za słabo. Co gorsza, okazało się, że do zagrania wszystkich fajnych utworów trzeba umieć akord F. Zupełnie jakby piosenkarze chcieli, żeby były szlachetnie niedostępne dla nędznych amatorów. „Całkiem fajny numer, Johnny, ale zapomniałeś wrzucić gdzieś F!”. I na tej przeszkodzie zatrzymała się przygoda z gitarą, ale nie poddawał się. Już nic nie grał, tylko co wieczór siadał i próbował uderzyć fatalny akord. Kiedy go pokona, otworzy się droga do krainy rocka.

Siedział na łóżku i próbował zagrać akord F. Dzon, dzon, dzon. Pogrzebowe, nieczyste dźwięki dudniły w małym pokoju. Rozbolał go kciuk, którym przyciskał tył gryfu, jak zwykle było w tym bólu coś przerażającego, jakby robił ze swoją ręką rzecz niedozwoloną. Odstawił gitarę.

Sprawdził, jakie są jutro lekcje, wrzucił do plecaka nowe książki. Otworzył okno. Rozebrał się, zgasił światło i

położył się do łóżka. Słuchał przez okno odgłosów miasta i patrzył w sufit.

Na niebieskiej ścianie przemknął cień, potem drugi.

Pokój zaczął zapelniać się ochronnymi duchami.

**K**iedy był mały i w nocy bał się potworów, wyobrażał sobie, że ma oddział własnych duchów do obrony. Obudził duchy we wszystkim, co go otaczało. Wezwał dobrą duszę każdego przedmiotu. Lęk przed potworami przeminął, ale dobre duchy pozostały z Gabrielem i zjawiały się przed snem, choć już ich tak bardzo nie potrzebował. I kiedy się kładł, witał go szeptem duch poduszki: „Ja jestem duchem poduszki, dbam o to, żeby wygodnie było twojej głowie, obejmuję skronie zmęczone, mówię ci dobre rzeczy do snu”. Duch kołdry miał głos kobiety: „Ja, duch kołdry, walczę z duchami zimna, nie dopuszczę ich, by ciebie ziębiły”. Ubranie leżało na krześle, jego duch mówił stanowczo: „Duchem dziennego stroju jestem, we mnie tkwi energia i stanowcze działanie! Jestem teraz na krześle, ale obserwuję wszystko i do ochrony przed złem jestem gotowy”. Duch telewizora z odległego pokoju trajkotał głosem spikera: „Ja obrazy jak sny ze świata dalekiego przynoszę, jakby przyszło co do czego, zaleję nimi wroga, ogłuszę!”. „Jestem duchem wody z sokiem, stoję tu w szklance, by pragnienie cię nie męczyło, w razie czego zmienię się w rzekę, utopię morderców, złych ludzi!”. A duch mieszkania, wyglądający nie wiedzieć czemu jak wielka, kosmiczna fosforyzująca żaba, wpadał na chwilę, by zapewnić: „Już ja dbam o porządek tutaj, precz wampiry,

upiory, czarownice, bo załatwię na amen!” Zza okna dobiegało wołanie: „Jestem demonem wiatru nocnego, wielkim demonem, poduszka i kołdra to przy mnie dwa maluchy. O wielkich sprawach mówię, gnam chmury, niepokoję ulice miasta. Potęgą swoją bronię ciebie i twoich”. Duch nocy był największy, szeroki, niezmierny, miał największą tajemnicę: „Spij dobrze, opiekuję się wami, przynoszę dobre myśli i odpoczynek, ocieram pot z czoła, które dniem jest zmęczone. Ja los wam dobry szykuję, nie będzie wojny, zabijania i zła”.

Jeden z nocnych duchów odstawał od reszty. Był to duch wcześniaka - malutki noworodek w białych śpioszkach, w ciepłym kaftanie z kapturem, który osłaniał zdeformowaną buzię. Płynął przez noc łagodnymi ruchami, unosił się w nocy jak w wodach płodowych. Skąd się tu wziął?

Kiedyś mama opowiedziała Gabrielowi coś, czego nie mógł zapomnieć. W szpitalu, w którym się urodził, matki nie mogły przebywać z dziećmi. Personel trzymał noworodki w osobnej sali, na innym piętrze, i przynosił na karmienie. Kiedyś mama w szlafroku zawędrowała na piętro i zajrzała do pokoju noworodków, chciała znaleźć małego Gabriela. Na środku sali leżał goły chłopczyk i bardzo krzyczał, przez otwarte okno wpadał mroźny wiatr. Malec był aż fioletowy z zimna. Pojawiła się pielęgniarka, wyrzuciła mamę z pokoju, skrzyczała ją, ale ona i tak dowiedziała się później, o co chodziło, od jednej z położnych.

Był to chłopczyk, który urodził się z wadą. Polegała ona na połączeniu przewodu oddechowego z pokarmowym. Za każdym razem, kiedy próbował jeść, strasznie się krztusił, mleko wpadało mu do płuc. Matka wcześniaka

stwierdziła, że zostawi go w szpitalu. Wolno zrobić coś takiego. Trzeba zaznaczyć na akcie urodzenia, że synka oddaje się do domu dziecka. I pielęgniarki postanowiły skrócić cierpienia niechcianemu niemowlęciu, które nawet nie mogło się najeść. Jego wizyta na naszej planecie polegała na bólu i strachu. Zostawiły chłopca gołego przy otwartym oknie, żeby przeziębził się i umarł.

Gabriel wyszedł z pokoju, kiedy mama skończyła opowieść. Brzydził się małych dzieci, a ludzie, którzy stroili małpie miny do pierdzących niemowlaków i mówili do nich „a gu, a gu, gugu!”, wydawali mu się idiotami. Historia mamy spowodowała, że nie mógł myśleć o niczym innym przez następne dni. Nie umiał zdecydować, czy pielęgniarki zrobiły dobrze, czy źle. Przecież któraś z nich mogła przygarnąć dziecko, możliwe też, że taka wada jest uleczalna. I dokądkolwiek szedł, szły za nim strach i ból tego malca, z którym przecież leżał w jednej sali. Chłopak w jego wieku nie powinien tyle myśleć o dzieciach.

Poczuł ulgę, kiedy wpadł na rozwiązanie problemu. Zaprosił ducha noworodka do spokojnego grona nocnych mieszkańców swojego pokoju. Kiedy kładł się spać, wyobrażał sobie, jak duszek wlatuje przez okno i witają go pozostałe duchy. Jest mu tu dobrze, może odpocząć, może się bawić z innymi. Wszystko zostało naprawione. Czasem dołącza do nich żółw od Mariusza, ma nową skorupę.

Prawie osiemnastoletni chłopak śpi w pustym pokoju. Gasną światła bloków. W powietrzu nad miastem dziwny, wysoki dźwięk. Właściwie za słaby, żeby go słyszeć. Wznosi się i opada, brzmi trochę jak wiatr w ogromnej rurze. Brzmi jak tęsknota.

## Rozdział 2

Następny dzień w szkole zaczął się od godziny wychowawczej. Polegała ona na tym, że wychowawczynie z imponującą rudą grzywą, profesor Duda, zwana także Królem Lwem, czytała gazetę, a uczniowie odpisywali zadania domowe. Gabriel napisał na górze kartki „Lista gości” i wyszedł na środek klasy, powitany zdziwionym spojrzeniem wychowawczynie. Sonia też na niego patrzyła, chłodnym okiem zoologa. Wyglądała dzisiaj inaczej: spięta dredy i włożyła wyszywaną cekinami srebrną bluzkę, w której wyglądała jak chodząca dyskoteka z lat siedemdziesiątych.

- Słuchajcie, chciałbym zaprosić klasę na moje osiemnaste urodziny - powiedział szybko. Kiedy padną pierwsze słowa, nie można już się wycofać.

- Głośniej, głośniej! Nie rozumiemy - rozległy się okrzyki, choć mówił głośno i wyraźnie.

- Mam osiemnastkę za dwa tygodnie! - zawołał, załamał mu się głos, a kartka drżała w rękach, więc położył ją na biurku profesor Dudy. - Musimy wiedzieć, ile osób przyjdzie, więc puszczam po klasie listę.



- No, to ja pierwsza się wpisuję! - powiedziała profesor Duda i teatralnym gestem zawiesiła długopis nad kartką. - Hehe, straszylam tylko, nie będę wam psuć zabawy.

Nikt się nie zaśmiał. Profesor Duda wręczyła kartkę siedzącej w pierwszej ławce Agnieszce, która dostawała same piątki, choć umiała mówić tylko cytatami z podręczników i nawet pięcioletnia Ola była od niej cwańsza. Gabriel wrócił do ławki i zerknął na Sonię, ale dziewczyna znowu czytała.

Kiedy odważył się w końcu podnieść wzrok, zobaczył, że koleżanki i koledzy naprawdę wpisują się na listę i podają ją z ławki do ławki, a na ich twarzach nie ma śladu kpiny. Ulga, którą poczuł, była jak ciepłe mleko.

Wreszcie siedzący przed Gabrielem fan motoryzacji Łukasz położył przed nim kartkę, była cała zapisana. Gabriel zdjął okulary, wziął listę do ręki i zaczął czytać.

Lista gości

1. Zorro
2. Batman
3. Pan Twardowski
4. Król Lew
5. Britney Spears
6. Jabba de Hut
7. Wujek Dobra Rada

I tak dalej. Czuł, że na niego patrzą. Powinien roześmiać się? Zgnieść kartkę i wyrzucić za siebie? Podniósł skraj koszulki i zaczął wycierać okulary. Wtedy poczuł ciepły nacisk na prawym ramieniu. Sonia oparła się o niego,

wyciągnęła dłoń z wiecznym piórem i napisała zielonym atramentem: Sonia Drożyńska.

- Nie wiem, czy będziemy wyprawiać dla jednego gościa, bo reszta postaci wydaje się fikcyjna - powiedział.
- Wyjdzie oszczędniej - odparła. - A co, lubisz tłumek?
- Rodzice chcą, żebym miał przyjaciół.
- A sami mają?

Wzruszył ramionami. Do kogoś tam chodzili od czasu do czasu.

- Przydziesz do mnie dzisiaj po lekcjach - powiedziała Sonia.
- Po co?
- Zaprzyjaźnić się.

Wyszli ze szkoły w milczeniu, skrzypiał tylko prowadzony przez Gabriela rower. Oznaczało to, że usterka nie tkwi w pedałach. Gabriel zastanawiał się spokojnie, co się właściwie dzieje. Szedł z dziewczyną, której nie znał, nie wiedział, co powiedzieć, a ona nie ułatwiała sprawy.

Doszli do nowego, luksusowego osiedla, które śmiały deweloper zbudował parę przecznic od parku. Białe, czteropiętrowe bloki lśniły, aż Gabriela zapiekły oczy i musiał zmrużyć powieki. Promienie słońca grały na metalowych okuciach balkonów i zamieniały szyby wielkich okien w tafle czystej platyny. Nigdy nie przekraczał ogrodzenia, które oddzielało wypielęgnowane trawniki i kolorowe place zabaw od zasiekanych chodników

jego dzielnicy. Nieświadoma okrutnej nierealności swojej prośby, Ola w kółko namawiała rodziców, żeby tam się przeprowadzili, na co ojciec odpowiadał, że to getto nowobogackich, i okiem inżyniera oceniał żenującą wadliwość pozornie atrakcyjnych konstrukcji.

- Jak pani poszło w szkole? - spytał strażnik w prostokątnej budce. Zabrzęczał zwalniany zamek.

Sonia skinęła tylko głową i pchnęła furtkę.

- Pieprzony faszysta - mruknęła, kiedy weszli już na ścieżkę prowadzącą do jej bloku. Białe żwir zgrzytał pod kołami. Gabriel dziwnie się czuł, przypinając rozklekotany rower do stojaka, wyglądającego jak leżąca na boku wielka sprężyna. Trudno uwierzyć, żeby jakiś mieszkaniec tego osiedla połamiał się na grata, poskładanego z dziesięciu innych rowerów. Chyba że taki wehikuł stał się teraz modny, ale Gabriel nie orientował się w modzie.

Klatka schodowa była czysta, jasnobezowe ściany, na podłodze marmur, dużo szkła i aluminium. Winda wyglądała jak z filmu science fiction. Wjechali na czwarte piętro.

- Home, sweet home - powiedziała Sonia i zabrzęczała kluczami.

Przedpokój był szeroki i mroczny, podłoga z ciemnego drewna, gdzieś tam majaczyły lustra. Pachniało zaoceanicznie. W podłużnej glinianej donicy kwitł oleander.

Z jakiegoś powodu Gabriel poczuł się jak w kościele.

- Ale wysokie te mieszkania tutaj - powiedział.

- To żebyśmy mogli wyżsi rosnąć. Podoba ci się?

Twarz dziewczyny ginęła w cieniu. Gabriel nie był

pewny, jakiej odpowiedzi oczekuje, więc zamiast skinąć na „tak” czy pokręcić na „nie”, przekrzywił głowę i wzruszył ramionami.

- Nienawidzę tego osiedla - powiedziała. - Oaza uprzywilejowanych.

- Getto nowobogackich.

- Dokładnie. Kiedyś wysadzę ten zasrany płot. Tu mieszkają same rozpuszczone bachory, które toną w zabawkach, a kiedy widzę, jak dzieci z zewnątrz patrzą na nasz plac zabaw, serce mi się ściska.

Zajrzała do gabinetu.

- Senator jeszcze w pracy. Oj, nie zdejmuj butów.

- Już zdjąłem.

- Jesteś przykładnie wychowany. Za mną.

Weszli do jej pokoju, który tonął w złotym świetle, wpadającym przez ogromne drzwi na balkon. W ciemnym rogu stała kalia. Długie liście wychylały się w stronę światła. Wyglądała jak ktoś, kto odchodzi i patrzy przez ramię na piękny widok.

Sonia posadziła Gabriela na fotelu, sama usiadła na łóżku naprzeciwko i wpatrzyła się w jego twarz. Odwrócił wzrok. Przy poduszce leżał dziwny przedmiot, coś w rodzaju plastikowego białego jaja z otworkami jak głośnik.

- Mokry sen prerafaelitów - powiedziała w końcu i kiwnęła głową.

- Co takiego?

- Będę ciebie malowała. Masz niezwykłą twarz, bardzo symetryczną, podłużną. Pięknie chorobliwa.

- Teraz chcesz mnie namalować?

- Teraz to najwyżej parę szkiców zrobię, bo jeszcze mi nie przewieźli sztalug ze starego mieszkania.

Oparła się o ścianę, podciągnęła kolana i oparła na nogach blok rysunkowy. Poczował, jak jej wzrok przesuwają się po wszystkich szczegółach jego twarzy.

- Mów coś.

- Ale nie wiem, co.

- Nie możesz tak siedzieć, bo pozujesz. A ja muszę uchwycić twoją prawdziwą naturę.

Zaśmiał się.

- Opowiedz coś o sobie - zachęciła go.

- Nie ma o czym opowiadać.

- Czemu ty tak cicho mówisz? Rodzice cię biją?

- Bez przerwy, skórzanym rzemieniem maczanym w occie.

- Kim są?

- Ojciec jest inżynierem, pracuje w dużej firmie. - Sonia zaczęła rysować. - Matka rzuciła studia, kiedy się urodziłem, często chorowałem i musiała się mną opiekować. A twój ojciec naprawdę jest senatorem?

- Tak, senatorem Babilonu. To pan prezes, przyjechaliśmy do Warszawy pięć lat temu, żeby mógł rozwijać karierę.

- A mama?

- Matka moja umarła, kiedy miałam rok, na tajemniczą chorobę.

- Ojej.

- Dlatego właśnie jestem lesbijką, bo wiesz, jak brakuje ci ojca, zostajesz pedałem, a jak matki, to lesbijką. Ty też jesteś gejem?

- Od śmierci chomika z dzieciństwa jestem zoofilem.

Kiedy się śmiała, trochę skośne oczy przymykały się, wyglądały wtedy jak dwa czarne półksiężycy zwrócone rózkami do dołu. I nagle jej twarz wyglądała, jakby przed chwilą wcale nie było na niej uśmiechu.

- Bardzo śmieszne! Ale ja nie żartuję.

- I wychował cię sam ojciec?

- Rozpieścił mnie, przez co wypaczył mi psychikę.

Już trzy razy musieli mnie leczyć na głowę.

Odrzuciła blok i Gabriel zobaczył na kartce zarys twarzy. Sięgnęła za poduszkę, wyciągnęła cylindryczne pudełko, wyjęła z niego biało-różową kapsułkę i pokazała Gabrielowi.

- Co to?

- Proszki na mózg, żebym nie wariowała. Teraz mi wierzysz czy mam zacząć walić głową w ścianę?

- Mogłabyś troszkę powalić.

Sonia stanęła na czworakach na łóżku, odchyliła głowę i machnęła nią szybko, zatrzymując czoło tuż przy ścianie.

- Bam! - powiedziała. - Chodź na balkon, artyści muszą często robić przerwy.

**C**hłodny, wieczorny wiatr. Balkon Soni był wielkości pokoju Gabriela. Usiedli przy barierce. Widzieli plac budowy, na którym powstawały nowe bloki ekskluzywnego osiedla. Żurawie poruszały się majestatycznie, czarne na tle czerwieniejącego nieba.

Poczęstowała go papierosem. Smak był ostry i dławiący, złapał go kaszel. Można przywyknąć, pomyślał.

- Od razu zarezerwowałam sobie ten pokój, bo nie mogłabym żyć bez balkonu. - Sonia zaciągnęła się papierosem, zaskwierczało, żar przesunął się o centymetr. Gabriel zaciągał się płytko, nie chciał przy niej korzystać z proszku na astmę. - W Gdańsku mamy dom z ogrodem. Ale w Warszawie w starym domu też prawie mieszkałam na balkonie. To było w centrum. Często wyobrażałam sobie, że nastąpiła jakaś wielka katastrofa i całe to miasto zostało zniszczone, a ja siedzę sobie na balkonie i patrzę na ruiny.

- Ale wtedy twój balkon raczej by nie istniał.

- No właśnie. Ha, ha! Bystryś, ale w szkole chyba cię nie lubią.

- Beznadziejnie gram w piłkę, nie umiem się bić i mam w dupie motoryzację.

- Ale ty głupi jednak jesteś! - Aż uderzyła się pięścią w udo. - To wszystko jest właśnie fajne. I pewnie jesteś prawiczkim?

- O rany - skrzywił się i pstryknął palcem w metalową rurę barierki.

- Twoje koleżanki to przecież same głupie cipy, tanie blachary i kujonki. Przy takich gwiazdach jak ta Jolka nie dziwię się, że zachowujesz kwiat cnoty.

- A czemu ty chodzisz do tej szkoły, przecież na pewno stać was na prywatne liceum?

- Byłam w prywatnym, ale się przeniosłam. Tu jest bliżej, no i nie mogłam wytrzymać z tymi snobami i nauczycielami, którzy nalegają, żeby mówić do nich na ty, i trzęsą się, żeby tylko nikt nie pomyślał, że są nudni i sztywni.

Gabriela zaczęło ścisnąć w piersiach, więc spetował papierosa w kolorowej glinianej popielniczce, którą podsunęła mu dziewczyna. Kręciło mu się w głowie, postanowił wstać.

- Widzisz tę kratę? Posadzili na dole dzikie wino i chcą, żeby pokryło całą elewację. Dowcip w tym, że krata jest bardzo mocna i można po niej się wspinać. Już raz zeszłam po niej na dół.

- Drabina dla nocnych wielbicieli.

- Albo dla morderców. Wiesz, co oznacza moje głupie imię?

Gabriel pokręcił głową. Nie lubił myśleć o imionach, uważał, że jego własne jest odpowiedzialne za wiele przykrych wydarzeń. Wszyscy sądzili, że jest ciotowate. Ale rodzice uważali je za czyste i zagraniczne, nadali mu je chyba po to, żeby wynagrodzić mu niezbywalnego Rózewicza. W latach dziewięćdziesiątych często chrzczono dzieci tak zagranicznie, żeby uczcić przejście do świata jak z amerykańskich filmów. W odrodzonej Polsce pojawiały się Angeliki i Allany, pierwsze jaskółki dostatniej przyszłości.

- Sonia to Zosia, czyli zdrobnienie od Zofia, które oznacza mądrość. Kto nazywa swoje dziecko minimądrością?

- A kto to Drozio? - spytał Gabriel.

Zesztywniała i spojrzała na niego jak pies, który dostrzeże coś podejrzanego w krzakach.

- O matko! Zawsze ludzie będą mnie o niego pytali? Nie mów, że tego słuchasz.

- Naprawdę nie wiem, ktoś powiedział na korytarzu.



- To mój głupi brat, gwiazda hip-hopu. Szczerzy i z serca płynący głos młodych Polaków, którzy naśladują amerykańskich Murzynów. Ma z podobnymi przygłupami zespół Warszawska Swołocz. Szczęśliwy chłopcze, gdzieś ty się uchował?

- Nie lubię hip-hopu, ale kojarzę nazwę. I mieszka tu z wami?

- Ma własny apartament w Wilanowie. Tadeuszek rapuje, że musi przywłaszczać sobie cudze mienie, aby przeżyć. Wychowała go ulica i zna jej twarde prawa, ale zapomina wspomnieć o naszej niani i willi w Gdańsku. Mówię mu: Tadziu, ośmieszasz się, ale ten tylko chrypi i dudni coś w rodzaju: kuwa, nie lasuj mi tu, goń pytonga. Nawet nie rozumiem tego ich narzecza. Chodź, pokażę ci, jakie miał ciężkie dzieciństwo.

**W**rócili do pokoju, gdzie Sonia znalazła album i pokazała Gabrielowi zdjęcia pызatego blondynka, jadącego w czerwonym samochodzie na pedały.

- Wakacje w Hiszpanii - powiedziała. - Oto dziecko brudnych ulic.

- A to ty?

- Beznadziejnie wychodzę na zdjęciach.

Dziwne, ta równo ostrzyżona dziewczynka leżąca na dywanie z gołą lalką Barbie to jest ta sama osoba, z którą przed chwilą palił na balkonie.

- Jak będziemy się już znać dwadzieścia lat, to pokażę ci swoje zdjęcie z komunii. Schowałam je, bo wyszłam

najbrzydziej. Fotograf najwyraźniej też uznał, że wyglądam najgorzej, i ustawił mnie z boku trzeciego rzędu, a w pierwszym same anioły z francuskimi lokami i cherubiny w garniturach. Ja stoję z tyłu. Mam fryzurę na garnek i wielkie zimno na dolnej wardze. W dupie mam ten wasz najradośniejszy dzień w życiu.

Jeszcze się śmiejąc, podniósł białe, plastikowe jajo z poduszki.

- A co to za jajo?

Po raz kolejny zobaczył, jak uśmiech błyskawicznie znika jej z twarzy. Wyrwała mu tajemniczy przedmiot i odłożyła na półkę.

- Zaraz wraca ojciec, idź już, nie chcę, żebyście się spotkali. Poczekaj, weź tę książkę. Masz przestać się przejmować opiniami hołoty.

*O czym rzecze Zaratustra*, Fryderyk Nietzsche. Gabriel włożył książkę do plecaka. Na lekcji polskiego już nudził się z resztą klasy w temacie Nietzschego, ale w świecie Soni eseje Fryderyka opromieniało zupełnie inne światło.

Nad pięknym osiedlem zapadał śliwkowy zmierzch, zapalały się światła w szerokich oknach. W cieniu na balkonie stała nieruchoma, poważna dziewczyna.

Strażnik wypuścił go bez zbędnych pytań. Gabriel wsiadł na rower i włączył przednie światło. Zamocowana na rowerze chłodna, błękitna gwiazdka zamrugała i poprowadziła go w stronę parku.

Na klatce schodowej pachniało surowym gipsem, wszystko pokrywał biały pył. Farba zdarta ze ścian, gdzieś niedługo plamy świeżej, jakby ktoś próbował dobrać kolor. Kiedy wnosił rower do windy, potknął się o worek z fugą. Na górze z trudnością przeprowadził go przez stopy kafelków, zostawionych przez dwóch robotników z firmy, która na zlecenie spółdzielni już od trzech tygodni przeprowadzała remont. Jeden robotnik był wielki i gruby, drugi mały i chudy, i to chyba właśnie mały demoralizował kolegę. „No chodź, już pomalowane!”, wołał zniecierpliwiony. Ojciec Gabriela negatywnie oceniał ich wysiłki, uważał ich za nieudaczników i fleje.

Kiedy chłopak wszedł do mieszkania, ojciec wyjrzał z pokoju. Oglądał z matką kronikę kryminalną.

- Widziałeś, jak Pat i Pataszon rozgrzebali przed windą?

Pat i Pataszon byli bohaterami jakiegoś filmu z czasów ojca. Gabriel nie wiedział, który z robotników ma być Patem, a który Pataszonem.

- Widziałem. Strasznie rozgrzebali.

- Tak to jest, jak jedyni ludzie, którzy coś potrafią, emigrują do Anglii. A co ty taki wesoły?

- Nie jestem wesoły.

- Ciszej, Ola śpi. Późno wróciłeś.

Wzruszył ramionami, położył plecak pod wieszakiem.

- Nie bierzesz narkotyków?

- Nie biorę, tato.

- Matka zapisała się na wolontariat do świetlicy socjalnej.

- Po co ma siedzieć w domu.

- A przyniosłeś listę gości?

- Nie będzie żadnych urodzin.
- Co znaczy, że nie będzie? Oczywiście musisz inaczej niż wszyscy.

Ojciec stał w drzwiach i patrzył, jak Gabriel idzie do łazienki.

- Bezdomny pan Wiesław zamierzał spędzić noc w opuszczonym domku działkowym. Umęczony torturami prosił, żeby nieletni oprawcy już go zabili - powiedział mężczyzna w telewizorze. - Jednak grupa nastolatków zostawiła go tylko po to, żeby wrócić po godzinie i odnaleźć, kiedy próbował schować się na pobliskiej działce. Chuligani wbili mu w odbyty trzon od łopaty, a następnie uderzyli w głowę płytą chodnikową i oddalili się, sądząc, że nie żyje. Pan Wiesław nie umiał miarodajnie opisać napastników, obecnie przebywa w szpitalu. Jego stan lekarze określają jako ciężki.

Gabriel nie miał ochoty grać na komputerze. Nie zdejmując ubrania, położył się na łóżku, z rękami pod głową.

Patrzył w sufit. Zaśmiał się. Nagle poczuł, że pod nosem ma mokro. Przyłożył chusteczkę. Zostały na niej rozpełzające się, ciemnoczerwone plamy. Miał słabe naczynka i czasem to się zdarzało. Oddał po kawałku chusteczki, zwinął w rulony i zatkał nozdrza. Leżał uśmiechnięty na łóżku z dwoma wkładami w nosie, pęczniejącymi od krwi.

**P**rzez następny tydzień codziennie przychodził do Soni, jednak praca nad portretem posuwała się powoli. Najwięcej czasu spędzali na balkonie. Leżeli na plecach, Sonia paliła papierosy.

- Ta chmura wygląda jak imperialny niszczyciel z *Gwiezdnych wojen*.

- A ta jak taka chmura, z której Bóg zsyła swój gniew.

- Karbowany grzbiet białego smoka.

Parę razy spotkał jej ojca. Nie wiedział, czemu wtedy nie chciała, żeby się widzieli. Ojciec Soni był łagodnym olbrzymem w niebieskim garniturze, uprzejmie witał Gabriela i szedł do siebie.

Raz zobaczył Drozia. Kiedy przyszli ze szkoły, na kanapie w salonie siedział ponury, drobny młodzieniec w czapce z daszkiem. Spojrzał na Gabriela nieprzychylnie i włożył do ust kanapkę z łososiem.

- Cze - odpowiedział Gabrielowi, obniżając głos o oktawę, jak robią mężczyźni, kiedy wchodzi do szatni na siłowni. Zabrzmiało to trochę jak puchacz.

Miał rysy twarzy delikatne jak Sonia, ale skrzywione w wyrazie pogardy. Gabriel ze zdziwieniem patrzył na jej oczy i usta osadzone w ogolonej na tyso głowie.

- Kiedy ojciec będzie? - zahuczał Drozio.

- Nie zwracaj nam głowy - odpowiedziała Sonia i poszli do jej pokoju.

**P**rzez tydzień zdążyli sobie wiele opowiedzieć. Poznali swoje ulubione dobranocki i przysmaki z dzieciństwa. Dowiedzieli się o najlepszych przyjaciółach z podstawówki. Nawzajem posłuchali ulubionych zespołów i zaczęli czytać pożyczone sobie książki, przy czym propozycje Gabriela nie spotkały się z uznaniem. Sonia знаła Rimbauda, ale wzięła *Sezon w piekle*, żeby sobie

przypomnieć. Co do fantastycznych eposów, nawet wstydił się przyznawać, że je czyta. W zamian poleciła mu *Wilka stepowego*. Nie podobał jej się rock progresywny, Pink Floyd i King Crimson, uznała tę muzykę za przekombinowaną i zniewieściałą. Sama słuchała punk rocka, Dylana, Cohena, z nowszych rzeczy neofolku Current 93 i Death in June, mrocznych zespołów o podejrzanej ideologii.

Ustalili, że moralność jest zbiorem zasad, które mają opanować instynkty niewolników. Prawdziwie wolni ludzie są ponad moralnością i to wyrzutki społeczeństwa mają rację, a grubi drobnomieszczanie.

Oboje przestali chodzić do kościoła już w gimnazjum. Gabriel został ateistą, czasem tylko przed snem czuł jeszcze dziurę po modlitwie. Przecież, tak jak mycie zębów, pacierz przez wiele lat kończył jego dzień. Pozbawiony znaczenia ból fantomowy, który z czasem zaniknie. Sonia znalazła sobie inną, tajemniczą religię, ale nie zamierzała powiedzieć, jaką, to jej prywatna sprawa. W każdym razie nie ma nic wspólnego z chciwym, dwulicowym klerem.

Opowiedzieli sobie wszystko.

Sonia gardziła pieniędzmi, których rodzina zawsze miała pod dostatkiem, i wybrała dla siebie drogę artystyczną, nie do końca wiadomo, jaką.

Swoją przygodę z fotografią wspominała z niechęcią.

- Wiesz, ciekawe pieńki w lesie, wróbel na ławce.

Kiedy się znudziłam, zostałam matką nowego kierunku w sztuce. Był to panassizm.

- Jak?

- Od łacińskiego *pan* - wszech, i angielskiego *ass* - dupa. Po polsku wszechdupizm.

Styl polegał na odnajdywaniu we wszelkich przejawach martwej przyrody kształtu ludzkich pośladków.

Gabriel odpowiedzialna to, że fale czy pustynia zarosnięta krzakami wyglądają z bardzo daleka czy z bardzo bliska jak ludzkie ciało. Muszla jak blada pięść staruszka. Te rozwiązania, te kształty przyroda już знаła i ćwiczyła na martwych formach, żeby zastosować potem w ciałach, które czują i płaczą.

Po przygodzie z fotografią Sonia pisała wiersze i nawet wydała tomik w małym wydawnictwie, ale w życiu nie da Gabrielowi go przeczytać. Ukoronowaniem jej poetyckiej kariery był telewizyjny program o dobrych książkach. Program polegał na tym, że troje krytyków literackich - gorszący się staruszek, układny czterdziestolatek i wojownicza feministka - przynosiło do studia nowe powieści i dyskutowało o nich. Krytycy siedzieli za niby-stołem, który, stosownie do tematyki programu, scenograf zbudował z leżących jedna na drugiej książek. Na nich opierał się szklany blat. Sześć egzemplarzy tomiku Soni wchodziło w skład tej podstawy i akurat ustawiono je tytułem i nazwiskiem autorki do kamery. Czują wstyd i rozczarowanie, ale czasem mówiła sobie, że może to i nobilitujące, no bo co ci mądrzy ludzie poczęliby bez stołu? Tomik, choć w programie nigdy nie padło o nim ani jedno słowo, stanowił swoisty fundament dla toczących się dyskusji. Odnalazł ciche, ale przecież nie najgorsze miejsce we wszechświecie.

- O rany, to ty jesteś sławna.
- Sława jest dla prostaków.

Kiedy Gabriel miał sześć lat, wbił sobie do głowy, że jest adoptowanym dzieckiem. Chciał całe życie szukać

i wreszcie odnaleźć prawdziwych rodziców. Okazały się niezwykle ludźmi i razem przeżyją różne przygody.

- Niestety, jestem tak podobny do ojca, że musiałem porzucić te szczenięce marzenia.

- Moja mama umarła na tajemniczą chorobę.

- Wiem, mówiłaś. Bardzo za nią tęsknisz?

- Nie. A jaka była najgorsza rzecz, którą kiedykolwiek widziałeś?

Kiedy był mały i miał gorączkę, widział diabła. W ciemnym pokoju coś szumiało, meble te same, ale wyraźnie czuł, że to tylko kopia sypialni, identyczna, ale przepelniona grozą, zastygnięta w lęku. Nie wiedział, czemu podnosi głowę z mokrej od potu poduszki i zagląda za wezłowie łóżka.

Unosił się tam ciemny wir, jak chmura kurzu, jak zawirowanie w rzeczywistości. Wewnątrz nagle pojawiła się chuda, wykrzywiona twarz z rogami, po chwili znikła. Ale gorączka nie pozwoliła mu na panikę, rozpuściła nawet strach w gorącej zawieszynie, w jąkanii się rzeczywistości.

- No to widziałeś diabła i jesteś ateistą?

- Gorączka.

- A nie wydaje ci się, że zastąpiliśmy Boga, duchy i demony biologią i fizyką? Nie rozumiemy zasad ich działania, jak nie rozumieliśmy czynników nadprzyrodzonych, ale to właśnie ich tajemniczymi prawidłami tłumaczymy cały świat.

- Ja tam doskonale rozumiem zasady biologii. Tak się może wydawać komuś, komu brakuje solidnej wiedzy i tak sobie teoretyzuje.



- A tobie brakuje wyobraźni. A co najgorszego widziałeś bez gorączki?

- Ślepego z psem przewodnikiem.

- No to raczej takie wzruszające.

- Nie, posłuchaj. Do gimnazjum chodził niedowidzący chłopak i miał psa przewodnika. Chcieli tego chłopaka integrować ze zdrową młodzieżą. I on ciągle krzyczał na swojego psa, pluł na niego i go kopał. Nie widziałem nigdy, żeby ten pies merdał ogonem.

- Może jak pies służy jako przewodnik, to nie merda ogonem? Może tak je szkolą? - powiedziała po chwili.

Wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem. Widziałem psy szukające narkotyków w bagażach. Strasznie się cieszą, jak coś wywęszą. Szczekają, merdają ogonem, całe się trzęsą ze szczęścia. Więc nie wiem.

- To właściwie bez znaczenia.

- Widzisz, a na dodatek jestem pewien, że pies kochał tego ślepego skurwysyna. Kiedyś też widziałem, jak podczas dostawy do sklepu rybnego z ciężarówki wyleciał taki lśniący strumień żywych karpów prosto na chodnik. Pracownicy nie przejęli się tym wypadkiem, chodzili w kaloszach wśród drgających ryb i zbierali je bez pośpiechu. Jak dostawa ciał w Oświęcimiu.

- Kochasz zwierzęta?

- Czasem trudno, kiedy mieszka się z Guciem.

- Chyba też przejdę na wegetarianizm. Ale zawsze to postanawiam, kiedy już zjem obiad, nigdy przedtem.

- To zacznij polować. Kiedy sama ryzykujesz życie, to nie jest takie obrzydliwe jak korzystanie z fabryk mięsa.

I tak opowiedzieli sobie swój cały świat. Każdego dnia wychodzili ze szkoły, połączeni tajnym paktem, spokojnie patrząc na otaczającą miernotę. Szli przez park, który nazywała obozem koncentracyjnym dla przyrody, a potem witali się ze strażnikiem bramy. Sonia robiła nowe szkice - twierdziła, że wciąż nie może uchwycić jego prawdziwej istoty - potem szli do nowoczesnej, przestronnej kuchni coś przekąsić. Kiedy wracał ojciec dziewczyny, Gabriel jechał do domu. Nigdy nie zaprosił jej do siebie, choć marzyła o poznaniu potwora Gucia. Nie chciał, żeby codzienność, wymądrzający się ojciec, cięło łagodna matka, zanieczyściła jego tajemnicę. Widział, że się cieszą i szepczą między sobą, że ma dziewczynę, brzydziło go to.

Czasem jeździli do Łazienek czy na Pole Mokotowskie, przy czym Sonia wołała ten drugi park, ponieważ był bardziej demokratyczny i przeznaczony dla zwykłych ludzi, a nie nadętych rojalistów. Raz zaprosiła Gabriela na pizzę do restauracji San Marzano; kelnerka obsługiwała ich niechętnie i powoli, widać uznała, że są za młodzi i nie zostawią napiwku. Siedzieli przy regałach z książkami i bardzo się ucieszyli, kiedy odkryli, że z powodu płytkości regałów tomy zostały równiutko i estetycznie przepiłowane na pół.

- Boże, ten jeden regał symbolizuje całą naszą cywilizację - powiedziała Sonia.

Wyjął telefon i zrobił jej zdjęcie na tle przepiłowanych książek.

- Świnia, nie zdążyłam się potargać.

Kiedy wyszli z pizzerii, zobaczyli, jak matka z wózkiem przejeżdża obok trzech pijaków. Pijacy stali na chodniku, ale ich nieposłuszne ciała ciążyły w stronę jezdni. Jeden zajrzał do wózka i uśmiechnął się szeroko.

- W przyrodzie wszystko, co małe, jakoś jest ładne - powiedział do kolegów. - Roślinki, dzieci. Kluseczki.

- Pająki też są małe - zwrócił uwagę drugi pijak.

- Bo o dorosłych pająkach mówisz, mi chodzi o pająki bobasy - powiedział pijak filozof. Zaczęli się śmiać.

- Nie chodzi o rozmiar - powiedział Gabriel do Soni. - To jest coś takiego, co po niemiecku nazywa się *Kindchenschema*. Duże głowy, wielkie oczy, pucołowate policzki, guzikowaty nos, cofnięty podbródek. W ten sposób przyroda pilnuje, żeby rodzice opiekowali się potomstwem. Te cechy wywołują odpowiednie reakcje chemiczne, które egzaltowani ludzie nazywają miłością rodzicielską.

- Ale może wielkie oczy i pucołowate policzki wywołują te reakcje chemiczne właśnie dlatego, że tak wyglądają dzieci, które kochamy.

- Jesteś sentymentalna.

- A ty cyniczny jak staruch.

- Żaden cynizm, po prostu prawda o świecie.

**B**ył piątek, dzień przed osiemnastymi urodzinami Gabriela. Chłodny, ciemny dzień. Jesień nadeszła niespodziewanie, jakby ktoś nagle położył ci na twarzy zimną i mokrą dłoń. Sonia spóźniła się na pierwszą lekcję, już kiedy szła do niego między ławkami, zobaczył, że coś

jest inaczej. Miała makijaż. Pomalowała rzęsy i narysowała kreski w kącikach oczu, usta świeciły od jasnej szminki.

Była milcząca, siedziała prosto, patrzyła przed siebie i co chwila skubała górnymi zębami dolną wargę.

- Mam przeczucie, że dzisiaj uda mi się naszkicować twoją prawdziwą istotę - powiedziała na przerwie. - Wiem, czego mi brakowało.

Milczała całą drogę przez park. Odezwała się tylko raz.

- To plastikowe jajo, jak je nazwałeś, to japońskie serce matki. Kładą je do łóżeczka noworodkom i one uspokajają się, kiedy słyszą bicie serca.

Zamrugął oczami. Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc nic nie mówili.

Nic nie mówili, kiedy siedział na łóżku, ona naprzeciwko z blokiem i ołówkiem. Patrzyła na kartkę, nic nie rysowała. W pokoju robiło się ciemno. Wreszcie podniosła wzrok na Gabriela, wydeła usta i szybkimi ruchami, od których aż zatrzeszczał ołówek, narysowała dwie krechy, przekreślając pustą kartkę.

Odłożyła blok, wstała i podeszła do niego. Wyciągnęła rękę i przesunęła kosmyk włosów z jego czoła. Czubek wskazującego palca był zimny, nakreślił na jego skórze linię od środka czoła do skroni.

Potem zobaczył, jak zamyka oczy i jej twarz zbliża się.

Koleżanki ze szkoły nazywały to lizaniem się. Anka lizała się z Piotrkim w klubie. Justyna lizała się pod kiblem z Walasem. Widziałaś, jak się lizali? Tak krzyczały na korytarzach szkoły. Gabriel jeszcze z nikim się nie lizał.

Pierwszy prawdziwy pocałunek. Lepki, mokry. Dziwne rzeczy robi się z językiem. Nigdy nie skupiał uwagi na tym, co czują język i wargi, a teraz cała świadomość zamieszkała w ustach. Obcy smak jej śliny. Wciąż miała zamknięte oczy, ale teraz rogi czarnych księżyców zwracały się do góry.

Położyli się.

Jeszcze nigdy nie widział czyjejś twarzy z tak bliska.

Może poza twarzą matki, kiedy pochylała się nad przewijakiem. Dziurki w skórze, piegowe plamy pigmentu, miniaturowe jasne włoski, puder, grudki cienia w zmarszczkach powiek.

Zsunęła ręce z jego pleców na pośladki, potem włożyła mu je pod spodnie i poczuł obcy, chłodny dotyk na nagiej skórze. Miał erekcję, spróbował się odsunąć, ale ona przycisnęła go jeszcze mocniej, jej biodra zaczęły się poruszać, ocierała się o niego.

Nie wiedział, jak to powiedzieć.

- Nie jestem zabezpieczony... - Jak idiotycznie to zabrzmiało, kiepski film, ale ona się nie śmiała.

- Znam swoje ciało i jego rytm - odpowiedziała. - Nie muszę polegać na gumie i chemii, jak jakieś idiotki.

- Przepraszam...

- Chciałam poczekać do twoich urodzin, ale pomyślałam, że to strasznie banalne.

Rozpięła mu spodnie. Wszystko zaczęło dziać się szybko, jaka ulga, nie musiał o niczym decydować i nad niczym się zastanawiać, odwieczny instynkt przejął sterowanie. Odwieczny instynkt natrafił na przeszkodę

dopiero przy zapięciu stanika, ale Sonia pomogła. Była płaska prawie jak on, miała niewielkie piersi, ale zakończone dużymi sutkami. Przypominały gumkę na ołówku. Ze zdjęciem jej majtek nie miał kłopotów, nie czuł się przy nich żaden zdradliwy mechanizm. Zdziwił się, że tam jest tak mokro, palce ślizgały się między jej udami.

Już nie była zimna.

Spodziewał się krzyku i krwi. Pierwszy raz jawił się w jego wyobraźni jako wojskowy test, egzamin, który trzeba zdać. Ale kiedy zanurzył się w niej, ciasnej, obejmującej, śliskiej i cieplej, pomyślał tylko: ojej, nie wiedziałem, że to takie przyjemne.

Za pierwszym razem on leżał na niej, za drugim ona siedziała na nim, za trzecim ona tyłem do niego, na czworaka, wciskała twarz w poduszkę. Jakby od razu chcieli spróbować wszystkiego, co możliwe.

**B** było już ciemno, nie wiedział, skąd bierze się fosforyzujący blask, w którym widzi jej ciało. Pewnie to wpadające przez balkon światło innych okien na osiedlu.

Leżeli, przyciśnięci do siebie. Jej włosy łaskotały go w policzek, przesunął po nim ręką. Czuł jednostajne uderzenia i pomyślał: ciekawe, czy to moje, czy to jej serce tak bije.

Wiatr niósł odległe zgrzyty i metalowe jęki z placu budowy. Skarga mechanicznego zwierzęcia. Po ciemnym niebie przesuwiała się czerwona gwiazda na szczycie dźwigu.

- Zimno - powiedziała. Była rozczochrana i zaczerwieniona, miała spuchnięte powieki. Przeciągnęła się na łóżku, wyciągając ręce nad głowę i wyprężając ciało.

Wygłądała wtedy jak czółno. Kości, podłużne mięśnie obciążone skórą, wystające żebra i cień między nimi, diuny na pustyni brzucha.

- Muszę iść do łazienki, co z twoim tatą?

- Nie będzie go przed północą.

Zmrużył oczy od nagłego światła, które zapalił w luksusowej łazience. Wysikał się i zadzwonił z komórki do mamy. Nie chciał wysłuchiwać od ojca gratulacji w odpowiedzi na informację, że późno wróci. Skończył rozmawiać i zgasił światło.

Nagi szedł w stronę łóżka przez ciemny pokój, zrobiło się już bardzo zimno. Sonia leżała, przykryta kołdrą, było tam ciepło. Zamruczała i położyła głowę na jego piersi.

Leżeli w ciemności, a za murami zimny wiatr z północy, wiatr znad morza wpadł między betonowe kaniony miasta.

Gabriel jeszcze drżał z chłodu. Czuł bijące od Soni ciepło, była prawie gorąca. Pomyślał wtedy, że to jest właśnie dobro żywego stworzenia. Sonia była dobra, bo go ogrzewała. Jak żołnierze w czas mrozu śpią przytuleni do siebie w okopach, zapominają o marszu, zwycięstwie i porażce na mapach, chcą się ogrzać. Jak lisy zimą, w norze wyłożonej suchymi liśćmi, gdy nad zmrożonym i żółtym polem pędzi lodowaty wiatr. Nawet najgłupszy czy zły człowiek, nawet bezmyślne zwierzę - kiedy jesteś zmarznięty i położysz się obok niego - poczujesz ciepło. Może ciepło to właśnie dobro, tkwiące w każdym żywym stworzeniu.

Japońskie serce matki leżało pod łóżkiem. Sonia tej nocy wsłuchiwała się w serce Gabriela, nie w mechanizm na baterie. Usypiała powoli, wyglądała wtedy jak dziecko, które anioł trzyma za górną wargę, pociągając lekko, jakby chciał żartobliwie powiedzieć: „A kto to? A kto to?”.

Gabriel też zasypiał, czuł się, jakby opadał, opadał w nieskończonym kosmosie. Nagle wzdrygnął się. Nawiedziła go najstraszniejsza wizja, jaka może się objawić człowiekowi. Sonia jako chodzące po bezkresnej pustyni drzewko nerwów, w centrum drzewka pulsujący kwiat-mięsień. Wokół inne drzewka, niewidzące, snujące się bez celu po pustyni. Zagłuszające lęk przed śmiercią myślowym procesem: „Ale w takim razie skąd my wiemy, że umrzemy. Czy w tym, co śmiertelne, może mieścić się myśl o własnej śmierci? Czy to, co śmiertelne, nie jest zbyt delikatne, by nie rozprysnąć się od tej myśli?”. Przypomniawszy sobie pocieszające słowa, ale mimo to odsunął ją i usiadł.

- Co się stało? - spytała, nagle przestraszona. Ta noc zmieniła ją w dziecko.

- Złe myśli.
- Chodźmy na spacer. Odprowadzę cię do domu.
- Ale nie chcę, żebyś sama wracała po nocy.
- To najpierw ja cię odprowadzę, a potem ty mnie.

**W** nocnym parku wiał wiatr. Okrągłe listki brzozy drżały. W zimnym świetle latarni połyskiwały ich srebrne brzuchy. A za nimi, za otchłaniami przestrzeni, płonęły ostre i zimne gwiazdy. Gabriel prowadził rower, Sonia trzymała go za ramię.



- To nie był twój pierwszy raz, prawda? - spytał.

Milczała, wzruszyła ramionami. W końcu odpowiedziała:

- Czy to coś zmienia?

Może kiedyś będzie zmieniało, pomyślał. Na razie cały świat był zupełnie nowy, ich seks wszystko odmienił. Na granitowym postumencie migotały iskry, jakby sam był miniaturowym niebem, pełnym odległych gwiazd.

- Co z tą twoją tajemniczą religią? - zapytał.

- Jestem gnostyczką.

- Na czym to polega? Coś wróżysz?

- Tak, jak wróżka Amelia z Ezo TV.

- No to mi opowiedz.

- Chodzi o to, czym byliśmy, zanim zostaliśmy uwięzieni na tym świecie, i o to, co straciliśmy. Czekamy, aż zostaniemy wezwani po imieniu. I będziemy mogli wrócić. „Jesteśmy na świecie po to, by rozmyślać, szukać i nasłuchiwać utraconych, dalekich dźwięków, za którymi znajduje się nasza prawdziwa ojczyzna”.

I wtedy usłyszeli zbliżające się dźwięki rytmicznej muzyki. Trzeszczała i dudniła, agresywny głos skandował jakąś wyliczankę.

- Piosenka mojego głupiego brata - powiedziała ze zdziwieniem.

Mariusz spojrział na nich. Uśmiechnął się i uniósł wysoko brwi. Wyglądał inaczej niż wtedy przed szkołą. Co chwila uderzał pięścią w otwartą dłoń, naciągał twarz w tak szerokich grymasach, że aż trzeszczała skóra na jego pieńkowatym łbie wieprza, we krwi buzowała wstrzyknięta parę godzin temu benzedryna.

Dziewczyna trzymała telefon komórkowy, z którego dochodziła opowieść Drozia o życiu na ulicach.

- Chwast do wyrwania! - krzyknął wysokim głosem Mariusz. Patrzył na Gabriela, wytrzeszczając oczy.

- Się pizda wylaszczyła - powiedziała dziewczyna.

- Wiolka zazdrość! Wiolka zazdrość! - śmiał się chłopak ze zdeformowaną głową wiewiórki.

- Rower sto wart? - spytała niewyobrazalna krzyżówka pawiana z kaszalotem.

Nie bolało. Chciał tylko, żeby jej nic nie robili. I żeby już się skończyło.

**G**abriel podniósł się z trawy, ręce trzęsły mu się jak u paralityka. Po brodzie ściekała krew z rozbitej wargi. Nie rozumiał, co to za dźwięk w uszach, wibrowanie ciszy jak po eksplozji i szum.

Pod drzewem leżała Sonia, jej twarz umazana ziemią, bluzka podarta. Miała mokre włosy. Kiedy zmoczyła się ze strachu, gdy go bili, Mariusz postanowił też na nią nasikać. Dziewczyna, którą nazywali Wiolką, śmiała się i śpiewała z telefonem.

Niedaleko, za kupką liści przystanął jeź, patrzył na nich czarnymi koralikami. Wygięte koło leżącego przy nim rowerowi jeszcze się kręciło.

Kiedy Sonia płakała, jej oczy ogromniały, zajmowały pół twarzy, zmieniały się w czarne, świecące wilgocią otchłanie.

- Chcę do domu, chcę do domu - powtarzała.

- Musimy na policję - powiedział.

- Chcę do domu! - krzyknęła.

Pomógł jej wstać i spróbował objąć, ale wyrwała mu się i zaczęła biec, więc pobiegł za nią, zostawiając w krzakach wrak roweru.

Biegli przez kolejną, zwyczajną noc miasta. W stronę ogrodzonego osiedla.

Pamiętał, że w pewnym momencie krzyknęła: „To piosenka mojego brata!”, chciała ich jakoś przekonać do siebie, ale nie podziałało, nie uwierzyli, że ktoś, kto ma cokolwiek wspólnego z show-biznesem, jest teraz w tym parku.

Pamiętał też trzy sylwetki mężczyzn na drugiej alejce, krzyczał do nich, żeby pomogli, ale musieli mieć ważne sprawy i dokądś się śpieszyli.

W drzwiach stał jej ojciec, łagodny olbrzym w niebieskim garniturze, patrzył szeroko otwartymi oczami, usta nie chciały mu się zamknąć.

- Pobili nas w parku - zdążył tylko powiedzieć Gabriel.

Ojciec Soni nie wpuścił go do mieszkania, z łatwością odepchnął chudego chłopaka, miał duże i ciepłe dłonie.

Gabriel musiał zamachać ramionami, żeby złapać równowagę. Ojciec Soni zatrzasnął drzwi i pobiegł za córką do jej pokoju.

Gabriel stał w pachnącym zaoceanicznie korytarzu i patrzył na zamknięte drzwi. Położył rękę na lakierowanym drewnie, oparł głowę na łokciu. Bolało go nad spuchniętym oknem.

Zaczął pukać do drzwi, potem uderzał w nie pięścią.

W korytarzu pojawił się ochroniarz i wskazał mu drogę do windy.

Nie pamiętał, jak wrócił do domu.

Ojciec stał w pokoju, patrzył na siedzącego na łóżku posiniaczonego chłopaka.

- Wy też się pewnie w tym parku idealnie nie zachowywaliście - powiedział w końcu.

Wtedy Gabriel zaczął płakać.

Do pokoju weszła obudzona mama w szlafroku.

Usiadła obok niego i przytuliła go. Ojciec poszedł zadzwonić na policję.

- Od razu to powinniście zrobić - powiedział.

Gabriel płakał w ramionach matki. Łzy wsiąkały w miękkie materiały szlafroka. Niebo za oknem szarzało.

## Rozdział 3

**P**oranek nowych początków. Otwarte okno w jego pokoju i jeszcze jedno gdzieś dalej w mieszkaniu. Stąd przeciąg, poruszający prześcieradłem, rozwiewający włosy, głaszczący po twarzy jakby chłodną szatą. Siedział na skraju łóżka w samych majtkach, brudne i zakrwawione ubrania wirowały w pralce. Patrzył nad blokami na niebo, po którym przepływała powoli ogromna chmura.

Słyszał piosenkę, to w którymś z bloków, którego ściany, pomalowane kiedyś na wesołe kolory, wyblakły i obkruszyły się, kobieta czy dziewczyna siedziała na poduszce, którą wyościła sobie parapet, paliła papierosa i śpiewała bardzo czysto, jak z radia. Ale na pewno nie była piosenkarką, nie tutaj, tutaj nie mieszkali piosenkarze.

Do pokoju wbiegła Ola w czerwonych rajstopach i sweterku, krzycząc „Sto lat”. Obsypała go konfetti z plastikowego woreczka. Patrzył, jak białe krążki wirują w powietrzu i lądują na pościeli.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!
- Dziękuję.

Objął dziewczynkę i pocałował w policzek. Odsunęła go, ostatnio czuła się niewygodnie w uściskach rodziny.

- Możesz kupować alkohol i palić papierosy.
- Zaraz pędzę do monopolowego, też chcesz piwko?
- I co jeszcze możesz?
- Jeszcze nie wiem, dopiero się obudziłem.
- A czemu jesteś taki spuchnięty?
- Bo nie jadłem kolacji.

Wszedł ojciec. Potrząsnął dłonią Gabriela, składał mu życzenia z porozumiewawczym, poważnym spojrzeniem. Nie chcieli rozmawiać o tym przy Oli.

- Mama z tobą pójdzie.
- Sam pójdę.

Potem ojciec wziął Olę i pojechali na spacer. Gabriel zamknął drzwi i po raz kolejny wybrał numer Soni. Nie odbierała. Każdy przeciągły sygnał opowiadał nową, straszną historię. Zadzwońi jeszcze po drodze na komisariat. Zadzwońi jeszcze wiele razy.

**P**rzed blokiem gęste, połyskujące na srebrno rojowisko gołębich grzbietów. Wytrzeszczonymi oczami przepatrywały ziemię, odganiały jeden drugiego, kiedy trafiła się odrobina białka i węglowodanów, dzięki której przeżyją kolejny dzień. Nieważne, że zdechniesz, ja muszę istnieć. Poderwały się w kurzu i szumie, kiedy Gabriel je mijał. W rogu trzepaka na porannym wietrze falowała pajęczyna. Czarny, skulony pająk trwał w oczekiwaniu na owada, którego będzie mógł zatruć jadem i wyssać. Ze śmietników bił smród, załęgły się w nich białe i ślepe larwy, szukające po omacku resztek pożywienia.

Przy Grochowskiej w budce z kebabem na pionowym rożnie ociekał sokami mięsny baton z zabitych kurczaków. Dwie dziewczyny czekały na zamówione jedzenie. Patrzyły na opiekane, martwe mięso, przełykając ślinę.

Pragniemy tego, co nas posili. Uciekamy przed tym, co posili się nami. Jedno żywi się drugim. Jest pokarmem dla trzeciego.

Rosnące wśród dymu z rur wydechowych drzewa zachłannie wczepiały się w ziemię rozczapierzonymi paluchami korzeni, a wśród nich dziesiątki mrówek obsiadły i uśmiercały pełznącą coraz wolniej gąsienicę. Na wysokim niebie przepływały kłęby lodowych drzazg, w których kiedyś z Sonią szukał znaczących kształtów.

Gruba dziewczynka-niszczycielka, idąc na pękatych nóżkach obok oplakatowanego muru, nadrywała z niewytłumaczalną wściekłością wszystkie ogłoszenia. Obok szła mama, tłusta, wpatrzona w chodnik, ręce małpko wyciągnięte od dźwiganych siatek. Mięsny mechanizm niósł siatki wypchane mięsem.

Sonia nie odbierała.

Kiedy doszedł do parku, poczuł ucisk i ból w klatce piersiowej. Wciągnął leczniczy pył, dotknął bolącego miejsca na głowie i szybkim krokiem poszedł tam, gdzie się wszystko zdarzyło. Alejką obok przechodzili ludzie, ktoś się śmiał. Zupełnie jakby było to najzwyczajniejsze w świecie miejsce. Ale Gabriel widział wgniecenia na trawie. Tutaj leżała i płakała, na to drzewo mnie pchnęli. Jesion wyniosły. Stary, wysoki, o rozłożystej koronie i głęboko

spękanej, czarnobrazowej korze. Powyginane ramiona groziły światu.

Rozpoznawał w głosie ptaków nie żaden śpiew, tylko krzyk głodu i gniewu. W krzakach leżał biały rower, nikt go nie zabrał. Gabriel zakręcił kołem. Działał. Trochę znosił w prawo, dzwoniły zerwane szprychy, ale poza tym dało się na nim jechać.

**P**achniało chińską zupą z kubka. Gabriel rozejrzał się po oświetlonym świetłówkami wnętrzu. Na ścianie mapa Warszawy, zakaz palenia, plakat o rekrutacji z hasłem „Zmień mundurek”, kalendarz z neutralnym krajobrazem. Obok korkowa tablica z wydrukowanymi w kiepskiej rozdzielczości zdjęciami poszukiwanych.

Gołe kaloryfery, szare kafelki, majestatyczna maszyna do ksero, a może drukarka. Niewiele starszy od Gabriela posterunkowy stał za ladą i czyścił paznokcie ostrzem wielkich biurowych nożyczek.

Dyżurny policjant odłożył nożyczki, cierpliwie wysłuchał Gabriela i zadał mu parę pytań, mających sprawić, by czarna dziura wczorajszej nocy zmieniła się w parę linijek tekstu na kawałku papieru.

- Koleżanka też powinna się zgłosić.
- I co teraz?
- Sprawa została zgłoszona.
- Z tym Mariuszem chodziłem do podstawówki, nie wiem, jak się nazywa, ale na pewno w szkole będą mieli go w aktach.
- To może być cenna wskazówka.



- Czyli będziecie ich szukali, tak?

Funkcjonariusz spojrział na długopis i zaczął pstrykać zaczepem. Na długopisie była naklejka ze smerfem Mądrałą.

- Nie doszło do kradzieży - powiedział wreszcie. - Sprawy o występki chuligańskie z lekkim uszczerbkiem na zdrowiu długo się ciągną.

- To znaczy byłoby lepiej, jakby coś mi ukradli?

Policjant przechylił głowę i pokiwał nią, ściągając usta w wyraz „być może”. Gabriel poczuł, że jego czas minął.

W korytarzu otworzyły się drzwi i wyszło dwóch mężczyzn. Kwadratowy, pięćdziesięcioletni komisarz oraz kościsty, drżący mężczyzna z załzawionymi oczami o czerwonych powiekach. Mężczyzna czepiał się komisarza, nie mógł przestać mówić i nie chciał odejść.

- Jeszcze bił ją po brzuchu i śmiał się, że boksuje małego.

Komisarz przeczesał kwadratową dłonią czarne włosy, wśród których lśniły siwe kosmyki. Na grubym palcu miał złoty sygnet. Dmuchał przez nos.

- Mamy mało ludzi - powiedział, położył dłoń na plecach drżącego chudzielca i zaczął go prowadzić do drzwi. - Niech pan nie traci nadziei. Ale mamy mało ludzi.

Chudy zacisnął dłoń w pięść i potrząsnął nią. Nie wiadomo, co to miało oznaczać. W jego geście nie było agresji. Odwrócił się i wyszedł z komisariatu.

Komisarz patrzył za nim, dłoń, która poprzednio spoczywała na plecach gościa, teraz skrobała materiał koszuli na piersi. Komisarz miał w sobie smutek człowieka, który jako młodzieniec lubił czytać Agathę Christie i rozwiązywać łamigłówki, więc poszedł pracować

w policji, a tam okazało się, że jego kryminalne zagadki wcale nie polegają na znalezieniu złooczyńcy wśród dystygowanych pasażerów Orient Expressu, lecz na odciętych głowach w plastikowych beczkach, zgwałconych kobietach w ciąży i niezidentyfikowanych ciałach, zatłuczonych pałkami, tak jak ubija się schabowe na obiad.

Komisarz wydobył się z zamyślenia i spojrzał na Gabriela. Zobaczył spuchniętą twarz chłopaka i pomyślał chyba, że to młody chuligan, więc pogroził mu palcem i ruszył do gabinetu. Coś go jednak w młodym przybyszu zainteresowało, bo zatrzymał się nagle, odwrócił i podszedł do Gabriela.

- Co tam słyhać? - spytał.

- Już przyjąłem zgłoszenie - powiedział funkcjonariusz za kontuarem.

- Zostałem pobity z koleżanką. - Gabriel przetarł pięścią oczy. - Ale chyba nikogo to nie obchodzi. Przychodzę z poważną sprawą i proszę mnie traktować poważnie.

Komisarz długo patrzył na chłopaka, jakby zamiast niego widział odległe wspomnienie.

- Jest pan zły i żąda pan sprawiedliwości - powiedział w końcu. - Ale tak to właśnie wygląda. Przyjmujemy zgłoszenia.

- Bardzo się cieszę, że zadajecie sobie tak wiele trudu.

I co dalej?

- A dalej nie ustajemy w wysiłkach.

- Ludzie wam ufają, że pomożecie. To wasza praca.

A nie, że będziecie głupio żartowali.

Komisarz uśmiechnął się, odwrócił, ukazując szerokie

plecy, i odszedł korytarzem. Przed drzwiami gabinetu odezwał się jeszcze raz, ale chyba do siebie:

- Cierpienie uszlachetnia.

Tymczasem dyżurny policjant skorzystał z nieuwagi Gabriela i bez reszty pogrążył się w wypełnianiu na komputerze jakiejś tabeli.

**G**abriel wyszedł przed komisariat. Sonia nie odbierała. Wsiadł na rower i przejechał przez ulicę na przejściu dla pieszych, co jest czynem niedozwolonym, a co dopiero pod siedzibą policji. Usłyszał głosy, przystanął i odwrócił się. Poczł, jak mocno uderza mu serce, w mięśniach pojawiły się iskierki bólu. Przed komisariatem stał krótko ostrzyżony policjant i rozmawiał z wiewiorem, który wczoraj towarzyszył Mariuszowi w parku.

Wiewiór wyszczerzał dwa wielkie przednie zęby, snując jakąś anegdotę, w uśmiechu przymykał swoje oczka debila. Policjant też się śmiał, ale z jakąś pogardą na twarzy, jakby tylko udawał przyjazne nastawienie, a tak naprawdę brzydził się rozmówcą, a może chodziło o to, że mundur nie pozwalał mu na poufałość. Gabriel obserwował to jak scenę z horroru, przesłanianą co chwila przez przejeżdżające samochody. Nagle, kiedy przejechał autobus, wiewióra już nie było, został sam policjant i rozmawiał przez telefon.

Wsiadł na rower i znowu przejechał przez jezdnię. Na jego widok policjant odsunął telefon od ucha i uniósł brwi.

- Proszę pana, ten chłopak, z którym pan przed chwilą

rozmawiał, napadł na mnie wczoraj z innymi, przed chwilą zgłosiłem sprawę!

- O kim ty mówisz? - policjant cofnął głowę, narzmiła mu szyja.

- O tym chłopaku, z którym przed chwilą pan rozmawiał.

- Nie wiem, o kim ty mówisz.

Gabriel nie umiał zrozumieć, co wyrażają te oczy. Były jak stalowe tarcze. Wszystko mu mówiło, że powinien odejść.

- A chcesz mandat za przejeżdżanie po pasach? - policjant zmienił temat.

- Przepraszam, zapomniałem się, ale ten chłopak...

Funkcjonariusz rozpogodził się.

- Nie wolno tak się zapominać. Udzielam upomnienia.

Po udzieleniu upomnienia policjant uśmiechnął się krótko i wszedł do komisariatu. I Gabriel został sam, kołysząc się na rowerze, a za nim szumiał ruch uliczny. Niczego nie był już pewien. Może rzeczywiście przywidziało mu się, w sumie jechało dużo samochodów, a może to wcale nie był ten chłopak albo policjant może z nikim nie rozmawiał, ktoś po prostu przechodził, i tylko zdawało mu się z nerwów.

Tylko jedna osoba mogła mu użyczyć zrozumienia. W świecie zewnętrznym miał tylko jedno oparcie. Więc jeszcze raz wybrał numer Soni.

Tym razem trzeci przeciągły sygnał nagle został przerwany, trzask i cisza innego pomieszczenia. Odebrała, pomyślał.

- Słucham? - powiedział męski głos.
- Czy mogę mówić z Sonią?
- Czy to Gabriel?
- Tak.
- Mówi ojciec Soni. Proszę się z nią nie kontaktować.
- Właśnie byłem na policji, i tam mi powiedzieli...
- Już rozmawiałem z policjantami. Proszę nie dzwonić do mojej córki.

I rozmowa została skończona.

Więc Gabriel pojechał na skrzypiącym rowerze do domu. Gucio z jęklwym zawodzeniem szarpał cienkimi zębami kaptcie matki.

**W**ieczorem odbyła się urodzinowa kolacja. Siedzieli w dużym pokoju. Uroczystych kolacji nie je się w kuchni. Przyszła babcia Wala Dawne Czasy. W telewizorze podskakiwał zdyszany showman w wielkim kapeluszu, coś pokrzykiwał. W studiu za stołem klócili się aktorzy przebrani za polityków i piosenkarzy. Próbowali naśladować sposób mówienia znanych osób. Nie wiem, który stół jest śmieszniejszy, pomyślał Gabriel.

Mama zrobiła legendarny tort orzechowy z mocno spirytusowym kremem. Na torcie płonęło osiemnaście świeczek.

Gabriel nabrał powietrza i dmuchnął na świeczki.

Zgąsło szesnaście i rozkaszał się, mama szybko nachyliła się i zdmuchnęła pozostałe.

- U nas tradycyjnie dawało się osiemnaście klapsów na dupę - powiedział ojciec, pijąc koniaczek.

- Już dostałem, tato - powiedział Gabriel.

Ola chciała wiedzieć, kiedy, ale mama zmieniła temat, podając Gabrielowi paczkę. Na świątecznym papierze bawiły się misie z balonami.

Czuł, jak na niego patrzą, troskliwie badają, czy normalnie się zachowuje, jak bardzo wstrząsnęły nim wczorajsze wydarzenia. Więc uśmiechał się i interesował prezentami.

W paczce była ładna koszula, którą włożył na tę, którą już miał na sobie. W kieszeni nowej koszuli znalazł koperkę, a w niej pięćset złotych.

- Sam będziesz wiedział najlepiej, co sobie kupić - powiedział ojciec.

Ola dała mu rysunek, na którym koślawy Gabriel pije piwo z wielkiej butelki, głowa mu paruje i zamiast oczu ma spirale, wyobrażające stan upojenia. Babcia Wala ofiarowała wnukowi bony na pięćdziesiąt dolarów. Za czasów komunizmu bony udawały zagraniczną walutę, niemieckie marki i amerykańskie dolary. Coś jak zabawkowe banknoty w grze Monopol. Ale można było za nie kupić w specjalnych sklepach Peweksu prawdziwe klocki lego i gumę do żucia. Ogarnięta świąteczną atmosferą rodzina nie uświadomiła staruszki, że dzisiaj bony mają jedynie wartość sentymentalną.

- A teraz Ola pójdzie się wykąpać, a ja się napiję z synem koniaczku, jak z dorosłym.

Koniak parzył mu usta, nie umiał się rozsmakować w jego goryczy. Pijąc go z ojcem, czuł się młodszy niż kiedykolwiek. Mama zabrała dziewczynkę do łazienki i wtedy babcia Wala wybuchła:

- Co to za młodzież teraz! Za moich czasów, jak stangret powiedział „cholera” przy damie, od razu dostawał w mordę.

- Jaki stangret, mama ma osiemdziesiąt lat, a nie sto osiemdziesiąt - powiedział ojciec. - Chłopak zrobił, co należy, zgłosił sprawę na policję i dobrze, bo trzeba walczyć o swoje, a nie memlać w sobie i popłakiwać. Policja jest od tego, a człowiek od tego, żeby się podnieść, otrześć i żyć dalej. Rózewicze się nie poddają.

- Muszę się przewietrzyć - powiedział Gabriel i wstał.

- Zaraz. Dokąd ty się wybierasz?

- Przejechać się trochę.

- Ale jak, ciemno już? - Jednak ojciec się bał. A Gabriel już niczego się nie bał.

- Od dzisiaj jestem dorosły.

- Ale mieszkasz pod moim dachem.

- Czy mógłbym więc na pół godziny zniknąć spod twojego dachu?

Ojciec odprowadził go do drzwi. Patrzył, jak Gabriel wkłada szarą bluzę z kapturem i podnosi zgrzytającą nóżkę roweru.

- Uważaj na siebie tylko. Dzwon, jakby co. I zostaw może lepiej pieniądze w domu.

Gabriel podał ojcu kopertę.

- Tu ją połóż, na szafce - oznajmił ojciec. - Wracaj za pół godziny, słyszysz?

Nocne miasto wypełniała mgła. Gabriel czuł się, jakby jechał przez delikatne, wilgotne zasłony z wodnego pyłu.

Teren luksusowego osiedla oblewało złote światło.

Zatrzymał się i patrzył na strażnika w budce. Pomyślał, że ochroniarz obserwuje monitor, przekazujący obraz z kamer bezpieczeństwa. Mężczyzna pochylił się i Gabriel ujrzał na ekranie postać wesołego showmana. Oto wyrwa w profesjonalnej czujności.

Przejechał wzdłuż ogrodzenia i znalazł miejsce, gdzie było najciemniej. Położył rower w krzakach i zbliżył się do metalowych prętów, odgradzających świat dobrobytu od brudnego sąsiedztwa. Ogrodzenie nie było wysokie, ale odległość między prętami zbyt mała, żeby zdołał wsunąć nogę i znaleźć oparcie. Wrócił po wierny rower i przystawił go do płotu. Stał jedną nogą na siodelku, drugą na kierownicy, złapał zimny, stalowy pręt poprzeczny, podciągnął się i przeskoczył na drugą stronę. Wylądował na piętach zamiast na palcach stóp, zabolalo, aż kucnął i zakaszłał. Nie ruszał się przez chwilę, ukryty we mgle i ciemności za wewnętrznym placem zabaw. Słyszał tylko dalekie odgłosy nocnej imprezy, któryś mieszkaniec osiedla w gronie przyjaciół świętował udane życie.

Skurczony, przebiegł między huśtawkami i zjeżdżalniami. Żeby dotrzeć do budynku, w którym mieszkała, musiał przedostać się przez rozległy trawnik, zalany światłem latarni. Spojrzał na budkę strażnika. Miał nadzieję, że program jeszcze się nie skończył. Potem miał być mecz. Chyba można przypuszczać, że ktoś, kto pilnuje bramy, jest na ryle męski, że pasjonuje się piłką nożną?

Gabriel zacisnął pięści i ruszył biegiem przez trawnik. Usłyszał, że otwierają się drzwi budki. Męski głos zawołał:



„Halo!”. Rzucił się na trawę, znieruchomiał jak zwierzę w świetle nadjeżdżających reflektorów. I rzeczywiście, po chwili padło na niego światło latarki.

- Co pan robi? - spytał wysoki, załamujący się głos.

Gabriel podniósł wzrok. Tego strażnika jeszcze nie widział, był to niewiele starszy od niego przyszczaty chłopak z cienkimi, pierwszymi wąsami, sterczącymi na boki jak u kota. Wąsy miały mu pewnie dodawać grozy i powagi.

Strażnik trzymał w jednej ręce latarkę, w drugiej pałkę.

Tak uzbrojony, stał i mrugał oczami. Gdyby Gabriel był po drugiej stronie bramy, potraktowałby go ostro i stanowczo, ale wobec ludzi, którzy poruszali się wewnątrz osiedla, odczuwał respekt, którego nie mogły naruszyć skoki i czołganie się po trawie. Gabriel zobaczył w jego oczach, że pragnie, aby wszystko dobrze się skończyło.

- Ćwiczę - odpowiedział gardłowym głosem. W krtań weszła mu flegma.

- Jak to?

- Lubię sobie poćwiczyć w nocy. Koledzy nie mówili panu?

Strażnik spojrzął w bok, zamrugał i wzruszył ramionami. Na policzku uruchomił mu się tik nerwowy.

- Nie no, coś tam mówili...

- Ale dosyć na dzisiaj, czas do domku - powiedział Gabriel, wstał i ruszył swobodnym krokiem w stronę domu Soni. Czuł, że strażnik jeszcze za nim stoi, patrzy i rozumuje. Zaciśnął zęby, starając się iść spokojnie i powoli.

Wreszcie skręcił za róg i zniknął młodemu ochroniarzowi z oczu.

- Robert? I co to było? - doszedł go przytłumiony, niski głos.

- Ten chłopak, co lubi poćwiczyć! - odrzyknął Robert.

Gabriel ruszył biegiem i dopadł kraty pod balkonami. Była mokra i śliska, ale rzeczywiście świetnie nadawała się do wspinania. Pod palcami i podeszwami trzeszczały młode, cienkie gałęzie dzikiego wina. Drugie piętro. Trzecie.

- Gdzie on jest? - krzyczał niski głos.

Złapał balustradę, przerzucił nogi, wskoczył na balkon i od razu ukucnął, żeby nie zauważyli go z ziemi.

Patrzyła na niego. Siedziała na zimnych kafkach, oparta o ścianę, i patrzyła na niego. Czarne otchłanie oczu.

Wargi spierzchnięte, jakby była odwodniona, pokryte na środku ciemnym strupem. Na głowie dziwaczna czapa z ciemnego futra, z cekinem na przodzie.

- No, jesteś... - powiedziała powoli.

- Sonia? Co ty masz na głowie? - zaśmiał się z lekkiem.

- To jest jagnięce futro, jagnię jest symbolem niewinności. I tu jest lustro, zobacz - wskazała na cekin. - Zło zobaczy swoje odbicie i ucieknie.

Nie mógł się ruszyć. Nie mógł się zmusić, żeby wziąć ją za rękę.

- Weź zdejmij to...

Sonia spojrzała na niego z ukosa.

- Czemu chcesz, żebym zdjęła czapkę? - spytała nagle zimno i podejrzliwie, ten ton był taki obcy, że aż ścisnęło mu się serce. Odsunęła się. Patrzyła na nieznanego, który chce ją skrzywdzić.

- To byli twoi koledzy! - brzmiało to tak, jakby spluwała.

- O czym ty mówisz?

- Córciu, gdzie jesteś? - Ojciec Soni wszedł do pokoju i zapalił światło. Gabriel poderwał się, przeszedł przez barierkę i złapał kratę, nogi ześlizgnęły się z mokrej stali, przez chwilę wisiał na rękach, wreszcie znalazł oparcie dla stóp i zszedł po kracie tak, żeby nie było go widać z balkonu.

- Nie siedź tutaj po ciemku. - Ciepły, męski głos słyszał tuż nad swoją głową. - Kochanie, chodź do środka. Twoja matka dzwoniła, przyjedzie jeszcze dzisiaj.

Usłyszał szelest i kroki, potem zamykane drzwi balkonowe. Tymczasem ścieżką na dole szli dwaj ochroniarze, omiatając trawy i ławki światłem latarek. Nie musiał już myśleć. Był martwy w środku i działał jak zwierzę. Poczekał, aż znikną za budynkiem, zszedł po kracie, metr nad ziemią zeskoczył i pobiegł do ogrodzenia. Podskoczył i złapał się górnej poprzeczki, ale był za słaby.

Niedaleko zauważył drzewo, rosnące tuż przy płocie, konar urywał się, upiłowany przez służby miejskie tuż za granicą osiedla. Państwo tylko w ten sposób mogło ukarać mieszkańców prywatnego budownictwa za ich niezasłużony dobrobyt. Wspiął się na drzewo jak wtedy, kiedy był dzieckiem na wakacjach w Ostrowie. Ciało pamiętało, jak trzymać się gałęzi i podciągać nogi. Na czworaka przesunął się wzdłuż konara i zeskoczył na ziemię niczyją, gdzie kończyła się władza ochroniarzy.

Wysmarowany zielonkawym śluzem, który wydzielala wilgotna kora, z pozdieraną skórą na rękach i stłuczonymi

kolanami, podniósł się z niestrzyżonej trawy. Gdzieś wciąż trwała zabawa. Ale Gabriel już nic nie słyszał. Poszedł wzdłuż ogrodzenia, odnalazł rower, rączka kierownicy zaklinowała się, szarpnął, wsiadł na siodełko i odjechał. Czuł, jakby w głowie biło mu potężne, smutne serce. Był pustym człowiekiem.

Pusty osiemnastoletni człowiek jechał bez celu przez mglistą noc. Neony wyglądały jak plamy farby na mokrej karcie nieba, zabarwiały mgłę, za którą ginęły szczyty wysokich budynków. Kiedy wielkie miasto usypia, śni koszmary.

Szum kół na mokrym asfalcie. Oślepiły go reflektory, Gabriel zmrużył oczy za pokrytymi kroplami, rozjaśnionymi nagle szklanymi okularów. Z mgły wyjechała biała, stara limuzyna Lincoln. Samochód, w którym wszystko było prostokątne, naturalnie poza kołami. Na drzwiach widniał napis: „Przewóz osób”, oraz numer telefonu komórkowego. Szyba po stronie pasażera opuściła się i z limuzyny wyleciał jakiś przedmiot, metal zaśnił w świetle miasta, zginął w trawie na poboczu. Samochód odjechał, a Gabriel stał i patrzył. Najwidoczniej świat dał mu urodzinowy prezent. Chłopak zszedł z roweru, przykucnął na poboczu i rozchylił wysokie źdźbła trawy. Po lufie pistoletu chodziła mrówka.

Gabriel wstał. Odchrząknął. Przesunął pistolet nogą i rozejrzał się. Pokręcił głową, wrócił do roweru i odjechał.

Na końcu ulicy zatrzymał się i stał w bezruchu parę minut. Potem zawrócił.

Duchy gdzieś odeszły, nic nie tańczyło na ścianach pokoju. Mgła za oknami była gęsta i zabarwiona przez żółte latarnie. Noc wyglądała jak parszywy dzień, miała kolor jak ogryzek jabłka, zanurzony w popiele.

Gabriel wstawał co chwilę z łóżka. Na palcach podchodził do biurka, wstrzymując oddech za każdym razem, kiedy zaskrzypiała podłoga. Powoli i delikatnie wysuwał szufladę. I zaglądał do środka.

Wydawało się, że w całym pokoju, w całym domu nie ma rzeczy, która byłaby ciemniejsza od czarnej broni.

Rękojeść z tworzywa sztucznego, metalowa lufa, na niej napis „Glock 17”. Litery G i L były fantazyjnie połączone w jeden znak, sprawiało to dziwnie frywolne wrażenie. Dalej napis „Austria” i „9x19”. Austria, tam urodził się Hitler, pomyślał Gabriel.

W pewnym miejscu na lufie coś lśniło, odbicie małego, niebieskawego światła. Nie wiadomo, skąd padało, w pokoju wszystkie lampy były zgaszone.

Pistolet był brzydki, ale miał w sobie coś, co zapraszało, by wziąć go do ręki. W rękojeści wyłobione miejsca na palce. Jedynym przeznaczeniem tego przedmiotu było trzymanie w dłoni. Kiedy Gabriel podnosił go z trawy, trzymał za lufę, potem w kieszeni. Dopiero teraz odważył się wyjąć go z szuflady, zaciskając palce na uchwycie. Przyjemny, nie za duży ciężar. Poczul się, jakby trzymał kogoś za rękę. Kogoś starego i doświadczonego, kto może rozwiązać wszystkie problemy. U góry rękojeści znalazł wystający zamek. Przesunął go i z pistoletu wysunął się magazynek. Gabriel wziął go lewą ręką i obejrzał. Na

samym szczycie wystawał obły, złoty pocisk. Z tyłu magazynka zobaczył otworki, pokazujące, ile jest w środku naboju. Nie był pełny. Tkwiło w nim trzynaście złotych jaj, czekających, aż wyklują się z nich szybkie i bezlitosne ptaki śmierci. Kiedy wkładał magazynek z powrotem, pistolet powitał go przyjemnym kliknięciem.

Za oknem zawyła syrena ambulansu. Chłopak wzdygnął się, odłożył pistolet i zamknął szufladę. Syrena ucichła.

Ale nie ucichł niepokój w głowie Gabriela, kiedy leżał w ciemności, z nocą o niezdrowym kolorze za oknami, kiedy odkrywał się, bo było bardzo gorąco, i zakrywał się, bo drżał z zimna. Duchy milczały. Zniknęły. Była poduszka, kołdra, ubranie, szklanka, mieszkanie i brudna, chora noc.

Gabriel czuł, że ktoś zmienił mu przyszłość.

Ludzie poświęcają przedmiotom za mało uwagi.

Daj przyjacielowi narkotyk, stanie się narkomanem.

Daj koleżance film erotyczny, będzie onanistką.

Przedmioty umieją zmieniać przyszłość, to nie żadna magia. To rzeczywistość. Rzecz, którą posiadasz, kształtuje twoje przeznaczenie. Kup buty na wysokim obcasie, potkniesz się i zostaniesz kaleką.

Daj przyjacielowi szklankę, kiedyś się z niej napije.

Jutro wyrzuci pistolet.

Kiedy w końcu zasnął, śniło mu się, że leży w łóżku w swoim pokoju, nie może się ruszyć i boi się. Słyszy, jak ktoś włamuje się do mieszkania, wali w drzwi, próbuje różnych wytrychów.

Nie wiedział, kim jest, kiedy rano jechał na rowerze wyrzucić pistolet. Postanowił, że utopi go w Wiśle. Tak będzie najbezpieczniej, nikt go nie znajdzie. Na ulicach było oślepiająco jasno i duszno, niebo zakrywała pofalowana, szara zasłona. Trwała kalendarzowa jesień, ale było gorąco jak latem. Nie opuszczała go myśl o Soni, wciśniętej w kąt balkonu. Po drodze nad Wisłę skręcił w stronę luksusowego osiedla.

W budce siedział już inny ochroniarz, bardzo gruby.

- Do państwa Drożyńskich - powiedział Gabriel z roweru, opierając się na wyprostowanej lewej nodze.

- Do kogo? - ochroniarz przechylił głowę w jego stronę jak tłusta papuga i skrzywił się, natężając słuch.

- Do państwa Drożyńskich!

- Wyjechali dzisiaj rano.

- Dokąd?

- A pan kto?

- Kolega córki.

- A ja wiem, dokąd. Spakowali się i wyjechali.

Stał tam. Wreszcie sięgnął do torby po inhalator, wciągnął gwałtownie lek, zsiadł z roweru, przeszedł parę kroków i usiadł na murku. Patrzył na żwir na drodze. Duże i małe kawałki rdzawego żwiru. Potem patrzył na drzewa, rosnące przy ogrodzeniu. Drobne liście trzepotały na gałęziach jak ptaki, które nieustannie próbują zerwać się do lotu.

Nie wiedział, na jak długo zapadł w letarg.

W końcu usłyszał szum silnika, przed bramę zajechał czerwony, niski hyundai. Za kierownicą siedział Drozio.

Ogolony na łyso chłopak wysunął dłoń z pilotem do

bramy, kliknął, i brama zaczęła się odsuwać. Gabriel odrzucił rower i podbiegł do samochodu. Drozio spojrział na niego niechętnie, ale opuścił szybę.

- Co tam? - spytał, mrużąc oczy.
- Sonia wyjechała?

Brat pokiwał głową. Miał zmarszczone brwi i pogardliwie wyduńnięte usta.

- Dokąd pojechali?
- A co cię to?
- Kocham ją. - Pierwszy raz w życiu powiedział coś takiego.

Drozio uniósł brwi.

- Do Gdańska, tam jest jej szpital. Ale ona nie chce się z tobą spotykać.

- Dlaczego?
- Myśli, że to twoja wina i że to twoi koledzy byli.
- Ale to nieprawda.
- Teraz to jej nic nie wytłumaczysz.
- Powiedz jej, że to nieprawda!
- Co ja, gołąb pocztowy?

Drozio zaczął zamykać szybę, ale Gabriel przytrzymał ją ręką. Mechanizm zazgrzytał.

- Poczekaj! I przyjechała jej matka? To znaczy, wiesz?

- Stara się przejęła.

Drozio zaczął miarowo dociskać gaz. Samochód wyl i buczał.

- Myślałem, że nie żyje.

Gdzieś w gardle Drozia zabulgotał śmiech, który nie sięgnął jego twarzy.

- Znalazła nowego gacha, jak jeszcze do przedszkola



chodziliśmy. A tu taka niespodzianka. Weź te palce, bo ruszam i ci urwie. I na przyszłość, zanim zaczniesz pukać jakąś laskę, to pochodź na siłownię, żebyś mógł ją obronić, sieroto.

- Oni słuchali twojej piosenki.

Nagle Drozio przestał mówić oktawę niżej.

- Spierdalaj.

- Mieli na komórce twoją piosenkę. Słuchali jej, kiedy znęcali się nad twoją siostrą. Ona słyszała twój głos, kiedy to robili.

- Odwał się, geju.

- Sukces artystyczny? To twój artystyczny sukces?

Drozio puścił hamulec, samochód wyrwał naprzód, Gabriel ledwo zdążył zabrać rękę. Brama zaczęła się zamykać w kurzu, który wzbiły koła. Gabriel patrzył zza ogrodzenia, jak hyundai z bratem Soni znika wśród eleganckich domów. Pewnie będzie się opiekował mieszkaniem.

Gdzieś w świecie zaczął dzwonić telefon komórkowy. Raz za razem. Nikt go nie odebrał. A może telefon nawet nie był włączony i leżał w jakiejś szufladzie. Gabriel chciał zostawić wiadomość na poczcie głosowej, ale nie uruchamiała się. Długie sygnały oczekiwania, potem parę krótkich, cisza.

**G**abriel wrócił po rower. Wsiadając na niego, poczuł ciężar w bluzie. Prawda, jechał nad rzekę, żeby go utopić. Żeby nikt sobie nie zrobił krzywdy.

Po drodze mijał kościół. Usłyszał ze środka śpiew, trwała msza. Przypomnił sobie uczucie porządku i spokoju,

kiedy jako dziecko stał oparty plecami o mamę. Postawił rower przy płocie, na którym wisiała reklama pielgrzymki w poszukiwaniu prawdy (jedyne 14 złotych), a obok plakat z czarnym różańcem. Podpis: „Tajemnice chwalebne”. Grafiki ułożył z różańca kształt serca, ale czarne paciorki wyglądały groźnie, jak mająca kogoś zadusić pętla.

Z Glockiem 17 obciążającym kieszeń bluzy wszedł do ciemnego wnętrza, między puste ławki. Zaciągnął się smętnym zapachem kadzidła. Na przodzie siedziało parę babć, którym pozostała jedynie troska o życie wieczne.

Gabriel stał na brudnym, wydeptanym marmurze i patrzył na ołtarz, za którym ksiądz unosił ręce. Nic nie czuł. Przeniósł wzrok na strzeliste okno z witrażem. Jedna szyba wybita. Z wysokiego sufitu zwieszały się żyrandole, jak złote pająki na cienkiej nici.

Przypomniał sobie szkolną wycieczkę do Częstochowy. Na górze stał klasztor. Klasztor był bardzo sławny, podobno w tym miejscu ukazała się Matka Boska. Ludzie, którzy wierzyli w takie rzeczy, przyjeżdżali do klasztoru z całej Polski, kiedy było im źle, i zostawiali Matce Boskiej różne prezenty. Kiedy wrzucali monetę, w specjalnym urządzeniu zapalała się jedna z wielu żarówek. To tak zamiast niebezpiecznego palenia świeczek.

Często wypisywali na karteczkach problemy, żeby niebo wiedziało, jak im pomóc. Gabriel i Jacek podeszli do tablicy, na której wywieszono takie kartki. „Chcę zdać egzamin, żeby tata już nie pił i mama nie chorowała”. „Proszę cię święta Maryjo o opamiętanie dla Jurka”. Wydały im się śmieszne, ale teraz Gabriel czuł, jakby na świecie nie było nic smutniejszego od tych pełnych błędów, koślawie wypisanych petycji, wysyłanych w

nicość. Wieczorem, kiedy wychowawczynie poszły już spać, zabarykadowali się z Jackiem w pokoju. Podstawili krzesło pod klamkę, siedzieli na łóżku i słuchali kolegów, walących do drzwi i opowiadających, jakim homoseksualnym wyczynom oddają się pewnie teraz dwaj przyjaciele.

Zgarbił się i przeszedł do bocznej nawy. Było tam bardzo ciemno. Usiadł na wyslizganej ławce, oparł głowę na dłoniach. Czuł się, jakby miał umrzeć. Czekał na przyjaźń osiem lat. Od kiedy Jacek został mu odebrany w podstawówce i wywieziony dla zdrowia do Ciechocinka. Za drugim razem z przyjaźnią dostał miłość. I nagle zabrali mu wszystko.

Wyjął telefon i wyświetlił zdjęcie Soni. Ekran jaśniał w ciemnym kościelnym wnętrzu. Gabriel z twarzą bez wyrazu patrzył na roześmianą dziewczynę. Dwa czarne półksiężycy.

I siedział w kościele, który był dla niego tylko betonowym, zimnym budynkiem. Siedział w brzuchu starej matki, w ciasnym domu wiary w szerokim, opustoszałym świecie. Babcie śpiewały pieśń o życiu wiecznym. Gabriel pomyślał o ich krtaniach, które wciągają powietrze, o ich rozszerzających się płucach, o wyrostkach drgających, cielistych, które kształtują fale dźwiękowe tak, aby inni myśleli: o, jakie piękne dźwięki!

Pan jest moim pasterzem i nie brak mi niczego.

Pan jest naszym pasterzem, a my jesteśmy bydłem. Naszą codzienną paszą jest strach. Jesteśmy tu po to, żeby się bać. Bydła jest najwięcej. Poza bydłem są jeszcze wilki. Można być wilkiem. Można być psem pasterskim.

Gabriel myślał o złej nocy w parku. Myślał o włóczędze, którego chuligani nadziali na trzonek od łopaty. Widział krwawiącego żółwia, z którego dziecko zrywa skorupę. Widział żrące się psy i płaczące właścicielki. Dziewczynę skuloną w kącie balkonu, z dziwną, futrzaną czapą na głowie, oczami przestraszonego zwierzęcia. Mamy mało ludzi.

Kiedy jestem bohaterem gry komputerowej, zawsze pomagam słabszym, którym dzieje się coś złego. Czemu w życiu jest inaczej? Ludzie udają, że są tacy dzielni w zabawie, a naprawdę brakuje im odwagi, żeby coś zrobić, kiedy dzieje się zło.

Gabriel przycisnął palcami wargi. Zacisnął oczy. Od zaciskania oczu z całej siły poczuł fale dreszczy, przepływające od głowy do pleców.

Boi się mój kręgosłup, lęk wypełnia mój rdzeń kręgowy, kora mózgowa czuje strach.

Ja się nie boję.

Dlaczego mam czuć tylko smutek?

Nie jestem smutny.

Jestem zły.

Otworzył oczy. Wśród pobożnych śpiewów babcie zaczęły ustawiać się w kolejce do księdza, starzejącego się człowieka w ciemnej sukni. Podawał im do ust cienkie wafle.

Złość to były dla niego krótkie zrywy, kiedy nie pannał nad sobą. Jak kiedy kopnął Gucia, bo porwał mu zeszyt do matematyki ze świeżo odrobioną pracą domową, albo kiedy Ola biegła po jego pokoju, śpiewała i złośliwie się śmiała, nie chciała wyjść, wtedy coś przejęło nad nim

kontrolę, wstał, podniósł ją za kołnierz i wyrzucił za drzwi. To były krótkie chwile, kiedy nie był sobą. A może wtedy właśnie był sobą. Poczuł, że złość, która dotychczas była tylko chwilowym stanem, zamieszkała w nim teraz na dłużej.

Gabriel wstał i odszedł. W krużganku zatrzymał się przy zbiorniku na wodę święconą wyrastającym ze ściany jak dziwna huba. Zanurzył dłoń w świętej wilgoci, potem wsunął palce do kieszeni bluzy i nakreślił na Glocku 17 znak krzyża.

Naprzeciw kościoła stały pawilony handlowe. Salon Irena. Na szybie naklejono zielone litery, układające się w napis: „Salon fryzjerski damsko-męski”. Wyblakły plakat z uśmiechniętą dziewczyną. Miała trwałą ondulację, była obiektem pożądania trzydzieści lat temu.

Obok rozłożony folder reklamowy produktów „Hair Power”, czyli po polsku „Włosowa Siła”, a może „Moc Włosa”.

Gabriel otworzył portfel. Pięćset złotych z urodzin, w domu prawie tysiąc. Nic nie kupował, nabierało się.

Salon wyłożono od podłogi po sufit boazerią, wyglądał przez to jak kabina na żaglowcu. Pracowały tam dwie kobiety w białych, spranych fartuchach. Młoda, znudzona uczennica siedziała przy drzwiach i paliła, oglądając swoje tipsy lśniące malinową barwą. Stara weteranka krzątała się przy klientce, wplatając jej we włosy srebrne skrawki.

Gabriel usiadł na drugim fotelu i obserwował w lustrze,

jak młoda fryzjerka zbliża się z warczącą maszynką. Na jego wąskie ramiona, przykryte niebieskim materiałem, na kafelki, gdzie ścierka zostawiła tajemnicze rozmazy, spadały długie, czarne pasma włosów.

- Mąż był hardy - powiedziała kobieta ze srebrem na głowie. - Wracał ze zmiany o szóstej rano. Trzech ich było. Co się gapiasz, pytają. A on: mam oczy, to się gapię. No i dzisiaj czytam mu gazety i tłumaczę, jak po samym dźwięku nie zrozumie, co się na filmie dzieje.

Chłodno w głowę. Podniósł wzrok z podłogi, zasłanej długimi włosami, które dotychczas były jego częścią, i spojrzął w lustro. Czaszka w okularach. Brak włosów wypuklił duże oczy i dziewczęce wargi. Przesunął dłonią po ciemnej, krótkiej szczecinie. Przyjemnie kłuło.

Optyk znajdował się za szkołą jazdy Yeti. Dlaczego ten legendarny śnieżny stwór miał być odpowiednim patronem młodych kierowców? Nie wiadomo. W dodatku najprawdopodobniej poruszał się na piechotę.

Pan doktor, wesoły staruszek, posadził Gabriela na taborecie, kazał oprzeć brodę na podpórce i patrzeć w wylot specjalnego aparatu. Gabriel ujrzał rozmyty samolot w jasnym kółku. Kręcąc okularem, lekarz spowodował, że samolot wyostrzył się. Po tym osiągnięciu doktor jednak nie pozwolił mu spocząć na laurach. Pochylił się nad chłopakiem i świecił mu w oczy smugami białego światła.

Soczewki marki o2 miały być znakomite, przepuszczały powietrze i posiadały dużą zawartość wody. Chemiczne łyż wysychały mu na policzkach, kiedy siedział w kącie salonu i nowym wzrokiem wodził po lustrach, stojakach z okularami i plakatach, przedstawiających rozradowanych

krótkowidzów. Miał czekać pół godziny, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Proszę pani, ja już nie mam czasu - powiedział w końcu do sprzedawczyni. Wezwany doktor trochę się obraził, ale pozwolił Gabrielowi odejść.

- Tylko niech młody człowiek pamięta, że to taki dodatek, a nie zastępstwo dla okularów, które pozostają najzdrowsze i najbardziej naturalne - uniósł ostrzegawczo palec.

- Będę pamiętał - obiecał Gabriel.

Doktor z wyrazem powagi na twarzy odprowadził wzrokiem nowego użytkownika soczewek kontaktowych.

Zmrużył oczy, wychodząc od optyka na świat. Głowa była lekka, czuł puste miejsce po ciężarze, gniotącym od zawsze nasadę nosa i uszy.

Ulice, znaki, samochody, wszystko wyglądało, jakby ktoś nagle przetaił brudną szybę, zza której oglądał rzeczywistość. Czy okulary miał źle dobrane? A może zawsze były niedoczyszczone? Wszystko ostre, kolorowe. Może wreszcie zobaczy wyraźnie gwiazdy. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz wyraźnie widział gwiazdy.

Brakowało najważniejszej rzeczy.

Przypomniął sobie o starym sklepie zabawkarsko-papierniczym przy Grochowskiej. Właściciel uwielbiał wszystko podpisywać. Każdy artykuł, wyłożony w witrynie, opatrzony był kartką z paroma słowami, nakreślonymi niebieskim długopisem. Przy plastikowym, zabawkowym nocniku: „Aby lalka nie siusiała w majtki, musi mieć nocniczek”. Przy naklejkach ze zwierzątkami-literkami: „Naklejki dla Flerki”. Przy plastikowym

karabinie: „Strzelać tylko na wiwat, w powietrze”. „W tej sukni lala może iść na bal”. „Czemu miś jest niewesoły?”. Dawno tam nie był. I okazało się, że już nie będzie. Kiedy przejechał Grochowską, nie znalazł sklepu. Zamiast niego była fioletowa filia Banku Millennium. Kiedy zamknęli papierniczy? Nie wiadomo. Ale w sumie nic dziwnego, teraz chyba nie opłaca się prowadzić osobnych sklepów, kiedy wszystko można dostać w galerii handlowej.

A więc gdzie zdobędzie najważniejszą rzecz?

W centrum. Ale nie zamierzał jechać tam w godzinach szczytu na rowerze, brzydka i szara Grochowska tętniła już samochodami. Postanowił najpierw załatwić to, co miało zostać na koniec.

Przy Wspólnej Drodze stał podłużny, niski budynek. Mieścił w sobie prywatne garaże dla lokatorów okolicznych osiedli, każdy z osobnymi, drewnianymi drzwiami. Różne osobowości właścicieli przejawiały się zróżnicowanymi typami zamknięcia: łańcuchy, kłódki, rygle. Ale nie wszystkie komórki w budynku były garażami. W jednej z nich zamieszkała sprytna, drobna inicjatywa gospodarcza.

„Rowery”, głosiła po prostu kartka przyklejona skoczem do otwartych na oścież wrót. Z tej właśnie stajni pochodził biały rumak Gabriela.

W środku, w półmroku, na stosie części rowerowych siedział brudny chłopak, obwieszony kolczykami i wytautowany. Całymi dniami składał z mechanicznych fragmentów funkcjonujące rowery o wyglądzie dziwnym i nierasowym. Konstruktor uniósł wzrok, kiedy w oślepiającym prostokącie drzwi stanęła czarna postać.



- Maszyna ma chodzić jak nowa - powiedział Gabriel, stawiając rower przed chłopakiem. - Przede wszystkim musi być cicha.

Mechaniczny szaman nic nie odpowiedział, położył tylko brudną od smaru dłoń na ramie roweru i przesunął go pod ścianę.

- Da radę na jutro? - spytał Gabriel.

Chłopak pokiwał głową. Ta małowówność nie niepokoiła Gabriela. Kiedy wcześniej kupował tu rower, młody sprzedawca odezwał się tylko raz, żeby podać cenę.

Dziwnie się czuł, pozbawiony odwiecznego towarzystwa białego roweru. Kupił w kiosku dwa bilety dwudziestominutowe i poszedł na przystanek.

**T**ramwaj linii 24 powiózł go w stronę lepszego świata na drugim brzegu Wisły. Rzeka była tego dnia jak płynny ołów, odbijała płaszczyzny nisko wiszących chmur. Potem tramwaj zjechał z mostu, Aleje Jerozolimskie, Muzeum Wojska Polskiego z czołgiem na dziedzińcu, Muzeum Narodowe z nudnymi wystawami dla szkół. Reklamowe płachty, zasłaniające całe kondygnacje budynków.

Centrum Warszawy wyglądało jak kolorowy magazyn dla pań, z którego ktoś wyrwał wszystkie strony z treścią i zostawił same reklamy.

Tramwaj stanął przy rondzie de Gaulle'a, ale drzwi nie otwierały się. Jakaś zdezorientowana babcia pokręciła się w miejscu, wychyliła się w lewo i w prawo i dopiero w ostatniej chwili ktoś wskazał przycisk. Nacisnęła go i

drzwi otworzyły się. Zanim wysiadła, rozejrzała się nie-  
nawistnie po świetle.

- Guziki i guziki! - krzyknęła.

Gabriel wysiadł na przystanku DH Smyk, włączył się w  
falujący nurt wysiadających i wsiadających i dotarł do  
przejścia dla pieszych. Kiedy czekał na zielone światło,  
pojawiła się przy nim niska Cyganka. Pod pachą niosła  
wesołą, bardzo ciekawą świata dziewczynkę, a w dłoni  
styropianowy kubek z paroma monetami. „Poszy nabo-  
szy”, powtarzała litanie, podstawiając kubek ludziom,  
którzy udawali, że zobaczyli coś ciekawego po drugiej  
stronie ulicy albo że dostali SMS-a. „Poszy naboszy...”.

Po drugiej stronie ulicy wznosił się cel podróży:  
oszkłony, obły budynek. Na jego szczycie cztery kolorowe  
kwadraciki ogłaszały: SMYK. Gdy był mały, jak córka  
Cyganki, uwielbiał, kiedy zabierali go tam rodzice.

Przekroczył bramę raję. Wszystko wyglądało inaczej  
niż kiedyś. Teraz na parterze znajdowała się Fabryka Mi-  
siów. Dzieci mogły same nagrać głos zwierzaka, wybrać  
mu imię, wsadzić do środka serce.

- Taki czy jeszcze? - spytała potwornie znudzona  
ekspedientka, wypychając skórę pluszowego królika.

- Jeszcze! - odpowiedziała chciwa dziewczynka.

Pani wetknęła kolejną garść pakuł do i tak rozdętego  
pluszaka, wyjęła igłę z zębów i zaczęła zaszywać mu ple-  
cy. Obok przeszedł nie do końca zadowolony chłopiec z  
rurowatym, podświetlanym mieczem.

- No, taki masz w sumie miecz strzelający, to tak jak-  
by karabin - przekonywał go tatuś.

Wiele się zmieniło, ale schody ruchome zostały te

same, stare, brudnawosrebrne, z logo firmy Elevator-Katowice, ze znakiem ostrzegającym: trzymaj dziecko za rękę, i jak zawsze nie działały z powodu jakiejś awarii, trzeba było wchodzić po nich na piechotę. Wciąż istniała tajemnicza klatka schodowa na tyłach, pamiętał ją z dzieciństwa, granitopodobne schody lśniły tysiącem iskierek. Wspominał te iskry przed snem, w dziecięcych snach oznaczały one gwiazdy wielkiego miasta.

Gabriel wszedł po nieruchomych schodach ruchomych. Dział zabawek zajmował całe pierwsze piętro. Szedł przez różnobarwną feerię, olśniony tysiącem kolorów. Może na świecie panował kryzys, ale nie było kryzysu w bajkolandii, w zabawkowej krainie baśni. Tańcząca Barbie, balowa suknia, hello-kitty, komandosi, karabiny, auta, nawet małe telewizory w kształcie lwów, piłek do koszykówki, jabłek i słoni, i zwykłe, pluszowe zabawki, które rodzice kupowali na fali nostalgii, a dzieci wcale się nimi nie bawiły.

Wśród półek przechadzał się potężny, nabity mięśniami facet, siłacz z ramionami marynarza Popeye. Niezwykły widok, kiedy się uśmiechał, przygarniając rozkapryszonego kajtka.

Gabriel dopiero w zapomnianym kącie znalazł to, czego szukał. Plastikowe, śmieszne maski. Dziecięcy karnawał. Świnia, królik, niedźwiadek panda. Poznał tę jedyną, właściwą, patrzyła na niego z półki. Ale nie wiedział, jakie zwierzę ma przedstawiać. Sowa? Opos? Szop pracz? Rosomak? Borsuk?

Przyłożył maskę do twarzy i przeciągnął gumkę przez głowę. Była mała, ale nosiło się ją wygodnie. Na ścianie

wisiał lustró. Spójrział. Jego serce przestało bić. Przeczucie nadchodzących zmian, innej przyszłości, której nie da się zatrzymać. Stał przed lustrem w masce zwierzęcia, krótko ostrzyżona główa ukryta pod kapturem szarej bluzy. W kieszeni pistolet, wciąż przypominający o sobie ciężarem. Czuł się taki spokojny. Zimne i spokojne jego oczy, patrzące ze zwierzęcej twarzy.

Kiedy wkładasz ubiór na całe ciało, kiedy zakrywasz wszystko łącznie z twarzą, jest tak, jakbyś był nagi.

Zdjął maskę i ustawił się w kolejce do kasy. Przed nim stała mama z malutkim dzieckiem. Dziecko miało na głowie czapkę z krowimi uszami. Dzięki niej wyglądało jak mała krowa ku uciesze mamy i znajomych. Wciąż próbowało się wyswobodzić, wilo się i rozglądało na boki. Gabriel przypomniał sobie czas, kiedy Ola była taka mała.

Nie wolno mówić, że noworodki czegoś się uczą. Przewracanie na brzuch, wkładanie przedmiotów do buzi, raczkowanie, wstawanie i chodzenie wreszcie - te umiejętności są ich wiecznym niepokojem, nie dają spać, męczą i zmuszają do tysięcy wyężonych prób. Wielka determinacja w ich oczach, kiedy próbują, próbują, próbują na nowo, a w nocy w łódeczku jeszcze się przebudzą i spróbują jeszcze raz wstać, przewrócić się na brzuch. Do tego zostałeś stworzony, bez tego nie przeżyjesz. Dziecko, czego uczysz się przez pierwszy rok po urodzeniu? Uczysz się unosić głowę. Uczysz się napinać ciało, uczysz się skurczu mięśni, który już cię nie opuści. I nie wróci błógie rozluźnienie.

- Proszę - powtórzyła głośnieji pani za kontuarem.
- Co to za zwierzę? - spytał Gabriel, podając maskę.

Sprzedawczyni popatrzyła na metkę.

- *Funny friends from the forest* - przeczytała. - Śmieszni przyjaciele z lasu.

Wzruszyła ramionami. Gabriel wyciągnął dwudziestozłotowy banknot.

Z powrotem na dusznej ulicy. Maska w plastikowej reklamówce. Poczul, że jest głodny. Zrozumiał, że tu też musi zająć zmiana. Po drugiej stronie była filia KFC, obok mały punkt Fresh Point z kanapkami na ciepło.

Był tam parę razy, lubił kanapkę wegetariańską Vega. Ale nie teraz. Stał przy kontuarze, przy piecu, przez który przejeżdżały na taśmie przekrojone bułki, i patrzył na wiszące na ścianie opisy. Zamówił dwie kanapki. Big One - szynka, bekon, mozzarella. Uczta Farmera - bekon, pepperoni, ser gouda.

Usiadł z tacą przy oknie. Rozwinął ciepły pakunek i ugryzł miękką, parującą kanapkę. Gorzkawy, mocny smak, zupełnie inny niż warzywa i sery. To mięso, pomyślał, ciało zwierzęcia. Ono doda mi siły.

Jadł kanapki z mięsem i patrzył przez szybę na Aleje Jerozolimskie, na tłumy ludzi, tramwaje i samochody. Zapadał wieczór, wciąż duszny i gorący. Grubawa dziewczyna szła z torbą kupionych kosmetyków. Miała czarne kręcone włosy i płakała. Rozcierała pięścią łzy na pulchnej, czerwonej twarzy.

Krótko ostrzyżony osiemnastoletni chłopak ze wzrokiem wyostrzonym soczewkami kontaktowymi jadł mięso i patrzył na ulicę. W nocy na ulicach pojawia się zło.

Najedzony, wyszedł z baru i ruszył przed siebie. Warszawa zmieniała się, w Smyku nie było już McDonalda, w przejściach podziemnych znikwały znajome sklepy i zamiast nich pojawiały się pawilony o dumnych nazwach: Bonus Club, Platinum, Las Vegas. W środku wyrośnięte, podejrzone dzieci miasta siedziały przed automatami i wrzucały do nich monety.

Niektóre rzeczy oparły się zmianom, na przykład salon fryzjerski Hest, z prastarym neonem, pokazującym nożyczki i pukle włosów, wśród których pojawiają się czerwone kółka, przypominające krople krwi z pokaleczonej czaszki. Nigdy tam nie był, może szkoda, że dzisiaj poszedł do salonu Irena. Pewnie w Heście byłoby drożej.

Nagle zrobiło się ciemno. Spojrzał na niebo.

Nadchodziła ostatnia burza tego roku. Pół nieba błyskało w ciszy, raz po raz widział dwie, trzy błyskawice jednocześnie. Pojawił się wiatr. Przez ulicę przekoziółkowało białe styropianowe pudełko na jedzenie. W powietrzu zawirowały ulotki reklamowe i zerwane zza wycieraczek kartki, na których wypinały się dziewczęta z agencji towarzyskich. Pierwszy grzmot, jak ciężkie głązy staczające się ze zbocza. Pod ciemnymi, skłębionymi chmurami leciał samolot, Gabriel jeszcze nie widział samolotu tak nisko nad centrum miasta. Uciekał przed burzą. Wreszcie znikł w brzuchu czarnej chmury.

Niech pada, niech wreszcie zacznie padać. Niech zmoczy mi klatkę piersiową, niech oddycham mokrym powietrzem. Chcę rozerwać wszystko, krzyknąć. Chcę zabić świat.

Nagle poczuł mokre, chłodne dotknięcie na policzku. Kolejna kropla. Potem cztery naraz. Szum - i rozpadało się, nad miastem w jednej chwili zawisła wodna zasłona, powiał chłodny wiatr, który pochylił strugi deszczu. Ludzie krzyczeli i biegali, szukając schronienia.

A on wpatrywał się w zamgloną, szumiącą przestrzeń, nagle oddychał swobodnie. I zrozumiał, że świat przez cały dzień czekał na tę chwilę, czekał na deszcz, jakby w jasnowidzeniu. Nic się nie działo, wszystko przysychało, świat wiedział, że niedługo będzie padać. I wreszcie się spełniło. Cała połowa nieba lśniła od błyskawic, niebo wibrowało od przeciągłych grzmotów. Stał w ulewie na jednej z ulic miasta, które stanie się jego nocnym domem.

**O**strzygłeś się!

- Same mi wypadły, starość nie radość.

Patrzyli na niego z dziwnymi uśmiechami. Widział, że ojciec jest zadowolony, choć nigdy by nie przyznał, że przeszkadza mu niemęska fryzura syna.

- A okulary?

- Porwała mi sroka.

- Jak to? - zdumiała się Ola, ale Gabriel już zamknął za sobą drzwi pokoju.

Gdzie schować maskę i broń? Matka zagląda do szafy, zostawia w niej wyprasowane ubrania. Boczna szafka w biurku zamyka się na klucz, z którego nigdy nie korzystał i który zawsze tkwił w dziurce. Kiedy kluczyk nagle zniknie, ojciec od razu włamie się do szafki, szukając narkotyków.

Gabriel podszedł do plecaka leżącego na łóżku i schował do niego wielkie tajemnice.

Deszcz szumiał za oknami. Gabriel włączył komputer. Przeczytał na Wikipedii artykuł o swoim pistolecie i historii austriackiej firmy Glock. Potem znalazł instrukcję obsługi i porady dla początkujących strzelców.

Zapadła noc i przestało padać. Przyszła mama, żeby sprawdzić, jak się czuje. Przeczekał chwilę w jej objęciach, posłuchał, że wszystko będzie dobrze.

- Nie siedź do późna.

**P**o północy włożył bluzę, wziął plecak, wyszedł w ciemność korytarza. Posłuchał ciężkiego oddechu śpiącego ojca i cichego, szeleszczącego oddechu matki.

W białym łóżeczku Ola stęknęła smutno przez sen, na ścianie jej pokoju ćmiło światło nocnej lampki dla dzieci, seledynowego duszka z Ikei. Gabriel włożył trampki, otworzył drzwi, wyszedł na klatkę schodową. Najtrudniej było zamknąć drzwi na klucz tak cicho, żeby nie usłyszał żaden z domowników.

Nie spotkał nikogo po drodze. Mieszkańcy dzielnicy odpoczywali przed poniedziałkiem, nowym tygodniem pracy, kolejnym identycznym centymetrem na drodze czasu biegnącej za horyzont życia.

Park był ciemny i wilgotny. Ziemia oddychała po deszczu, jakby jej ulżyło. Drżały światła rzadko rozstawionych latarni. Gabriel szedł po żwirowej ścieżce i słyszał tylko swoje kroki. Nikogo. Zatrzymał się przy pustym postumencie i założył maskę. Na głowę naciągnął kaptur.



Zniknął strach i niepewność. Był stworzeniem nocy. Jego oddech szeleścił w plastikowej masce. Ścisnął pistolet w kieszeni bluzy.

Poszedł w przeklęte miejsce. Stał na szeroko rozstawionych nogach przed starym jesionem. Wyjął Glocka z kieszeni, lewą ręką odciągnął zamek i puścił, wymagało to dużo wysiłku. Złapał oburącz rękojeść, jak widział na filmach, i wycelował w pień drzewa. Zmrużył oczy i pociągnął za spust.

Boski ułamek sekundy. Huk, gorzki zapach prochu, ogień u wylotu lufy i energetyzujące szarpnięcie, pusta łuska trafiająca go w czoło. I straszny ból lewej dłoni.

Trzymał lewy kciuk z tyłu zamka, a ten odskoczył przy strzale, żeby wciągnąć kolejny nabój. Gabriel syknął, upuścił pistolet i złapał prawą ręką obolały palec. Zdarta skóra na kostce, krew. Pierwszy pocałunek. Glock pokazywał, że żarty się skończyły.

Machając lewą ręką, żeby ochłodzić kciuk, Gabriel podniósł pistolet z wilgotnej ziemi. Po strzale czuł jeszcze mrowienie na skórze dłoni. Ból obudził w nim wściekłość. Zacisnął zęby i strzelił jeszcze raz w drzewo, tym razem trzymając pistolet jedną ręką.

I poczuł, że każde kopnięcie pistoletu w ramię mówi: jeszcze. Jeszcze. Strzel jeszcze raz. Pokręcił głową. Potrzebuje naboji. Schował pistolet do kieszeni bluzy. Wsunął bolący kciuk pod maskę i wsadził do ust. Wdychał zapach prochu i patrzył na drzewa.

Miał dwie supermoce: nic do stracenia i pistolet Glock

## Rozdział 4

Pamiętał, że Jola chodziła z Mariuszem do jednej klasy. Była gwiazdą podstawówki, jej pierwszej zaczęły rosnąć piersi i z tego, co teraz widział, najwyraźniej nie zamierzały przestać. Stała przy schodach i krzyczała do koleżanek, że nie ma siły i prosi, aby ją wnieść.

- O, Gejbriel się wylansował!
- Chłopaka szuka nowego pewnie.

Gabriel nie spojrział na rozradowane dziewczęta i podszedł do licealnej seksbomby.

- Jola, pamiętasz Mariusza? Bo chodziłaś z nim do klasy.

Nie spodziewał się, że w tym zdaniu tkwi taki potencjał komiczny. Grono przyjaciółek Joli zataczało się ze śmiechu, jedna osunęła się na schodach i musiała przytrzymać się poręczy.

- Jola, a Mariusza pamiętasz? A Winczysława? - wołały, choć nie chodziły z nimi do podstawówki i nie wiedziały, o kogo chodzi.

- Typ macho teraz lubisz? - spytała Jola, wystawiła język i polizała palec wskazujący. Koleżanki umierały z uciechy.

Parę dni temu zawstydziliby się i odszedł.

- Jak się ten Mariusz nazywał? Wyczytywali wam listę z dziennika.

- Ten gruby?

- Tak.

- Powiem, ale tylko jak mnie pocałujesz. - Jola oparła się o poręcz i przyłożyła dłoń do czoła, jak mdlejąca księżniczka.

- Jola, chcesz chłopakowi tożsamość złamać?

Gabriel podszedł do niej, wziął za ramiona i pocałował w usta. Smakowała gumę do żucia. Potem zrobił krok do tyłu. Koleżanki przestały się śmiać, tylko Jola zachichotała i otarła wargi. Zauważył, że się czerwieni.

- Bazik się nazywał - powiedziała dziwnym głosem.

- Mariusz Bazik?

- No.

- A gdzie on mieszka? Wiesz?

- Na śmietniku. A skąd mam wiedzieć? W melinie jakiejś pewno.

- A nie wiesz, kto może wiedzieć?

- Odwal się już, co? Nie mamy czasu.

Gabriel poszedł szukać innych znajomych z podstawówki. Ale choć wszyscy pamiętali lęk, jaki w nich budził, nikt nie znał adresu Mariusza Bazika.

Miał jeszcze jeden pomysł. Bazik w podstawówce często łąził z jednym chłopakiem, Krzysztofem Wronczewskim. Ale Krzysztof nie chodził do liceum, podobno pracował gdzieś na kasie.

Na lekcjach Gabriel był robotem. Krzesło obok niego znów stało puste. Ból fantomowy po modlitwie. Słuchał,

notował, patrzył na nauczyciela, głowy i plecy w rzędach przed nim, a tak naprawdę znajdował się bardzo daleko.

Gdy wybrzmiał ostatni tego dnia dzwonek, z drżeniem serca wyszedł na dziedziniec. Mariusz tym razem nie przyszedł zajrzeć, co tam w liceum. To dobrze, przecież Gabriel przebrany za ucznia, za szkolne popychadło, nie mógłby nic zrobić. Nawykowo podszedł do stojaka na rowery pod rzędem okalających liceum topoli i dopiero tam przypomniał sobie, że dzisiaj przyszedł na piechotę. Wyjął komórkę.

- Posterunkowy Lubiński, słucham?
- Ja dzwonię w sprawie mojego pobicia, Gabriel Ró-ziewicz.
- Tak, słucham? - głos był zniecierpliwiony.
- Czy coś się w sprawie dzieje?

W słuchawce zabrzmiało ciche chrząknięcie.

- Oczywiście, śledztwo prowadzi zespół naszych najlepszych detektywów.

Gabriel milczał przez chwilę.

- Ustaliłem nazwisko przywódcy napastników.
- Doskonale.
- Bazik. Mariusz Bazik. Zapisał pan?
- Oczywiście. Czy to wszystko?
- To teraz pojedziecie po niego?
- Panie Gabrielu, sprawa toczy się swoim trybem.

Proszę czekać spokojnie na rozwój wypadków.

- Czyli jaki to tryb?

Ale posterunkowy Lubiński już odłożył słuchawkę.

Sonia nie odbierała. Poczta głosowa była wyłączona.

Na przystanku zobaczył koleżanki z klasy, stały za kioskiem i zapalały papierosy.

- Mam orgazm! - krzyknęła jedna umyślnie głośno, żeby usłyszeli ją ludzie czekający na autobus. - Mam orgazm, po siedmiu godzinach wreszcie mogę sobie zapalić!

W jej głosie, w jej oczach była gorliwość wszystkiego, co czyste i co bardzo się śpieszy, żeby się zabrudzić.

- Anka? - zagadnęła koleżankę.
- Słucham?
- Nie mów słucham, bo cię wyrucham.
- A, znam to.

**K**iedy Gabriel wszedł do mrocznego warsztatu, mały mechanik nie odezwał się ani słowem. Kiwnął głową i zza sterty złomu wyprowadził na ulicę biały rower.

Ruchem dłoni zachęcił Gabriela do przetestowania maszyny.

Gabriel wsiadł na siodełko. Nie mógł zacisnąć lewej dłoni na kierownicy, wciąż bolał go kciuk. Ledwo dotknął pedałów, rower ruszył cicho i sprawnie, jechał prosto i szybko. Nic w nim już nie dzwoniło, a przy skręcaniu noga nie ocierała o przednie koło. Gabriel zrobił parę kółek i wrócił do stojącego przed garażem mechanika.

- Nieźle.

Rowerowy szaman wzruszył ramionami. Kucnął przy rowerze i przejechał palcem po szprychach obu kół, wskazał łańcuch, przerzutkę, pociągnął dwa razy za linki

hamulcowe. Najwyraźniej pokazywał, co zostało wymienione.

- To ile ci płacę?

Mechanik uniósł do góry rozłożone dłonie. Dziesięć czarnych, błyszczących od smaru palców.

- Dziesięć złotych? - spytał z nadzieją Gabriel.

Twarz mechanika nie zmieniła wyrazu, ale tak jakby stężała.

- Części z Wheelera, Gianta i Kettlera - powiedział cicho. - Przypomnij. Czy ja zamontowałem ci nowy dzwonek, czy stworzyłem szybką, bezszelestną maszynę?

- Czyli ile?

- Sto.

- W porządku, po prostu pokazałeś dziesięć palców.

- Jak niby miałem pokazać sto palców?

- Nie wszystko da się przekazać mową ciała. Język jednak po coś wynaleziono.

Mistrz rowerowego tuningu spojrział ponuro na Gabriela. Przyjął stużłotowy banknot, zwinął go w cienką tutkę i wetknął do kieszeni spodni. Nie odezwał się więcej. Odwrócił się i zniknął w swojej mechanicznej norze.

Ale łatwo kogoś urazić, pomyślał Gabriel, ruszając sprzed garaży. Rzeczywiście świetnie się jechało. Nie pamiętał, żeby któryś z jego rowerów był taki szybki i tak sprawnie reagował na każde pochylenie ciała. Może rowery szaman był geniuszem i jak każdy geniusz był też drażliwy.

Jechał ulicą Grenadierów. Z łatwością dopasowywał się do prędkości samochodów i nikt nie musiał go wymijać. Zatrzymał się na czerwonym świetle i oparł o jeden ze słupków, na których rozwieszono łańcuch odgradzający chodnik od jezdni. Z okien pobliskiego bloku wyglądali emeryci, zaciekawieni przejawami życia. Jedyne, co pozostało im do roboty na tej planecie, było pisanie skarg do administracji.

Spojrzał na niebieski znak z białą strzałką. Nakaz skrętu w prawo. Dobrze by było, gdyby w życiu też istniały znaki zakazu i nakazu. Niby daje je religia, ale jakieś takie magiczne i niedowiedzione przez naukowe autorytety. A tu przysiadłby jeden mądry inżynier społeczny, wszystko by oznakował. Funkcjonariusz właściwego życia chodziłby za tobą krok w krok i pokazywał gestami: naprzód!, albo: stój!

Zielone światło.

Szkoła podstawowa. Tutaj spędził dzieciństwo. Za tym ogrodzeniem były krzaki, w których miał z Jackiem tajną bazę, ich sekretne królestwo, w którym chronili się przed chaosem przerw. Pod tym ogrodzeniem płakał z włosami mokrymi od wody z muszli klozetowej, a Jacek stanął za nim, z przejścia pykając nosem częściej niż zwykle i opowiadając, jak okrutni koledzy skończą kiedyś w rynsztoku. To boisko było wtedy po prostu ubitą ziemią, po której na lekcji WF uganiali się za piłką chłopcy z ich klasy, a Gabriel i Jacek za łaskawym przyzwoleniem nauczyciela grali w minigolfa: Jacek wygrzebał gdzieś w piwnicy stary kij i piłkę, służące do gry, która niedługo miała stać się obowiązkowym sportem kadr kierowniczych. Wykopali

dołek w ziemi i z godnością stukali kijem w zszarzałą, chropowatą piłkę, nie reagując na okrzyki z boiska. Hrabia Cipa z Londynu gra w golfa. Wszystko było łatwiejsze, kiedy miał przyjaciela.

Przy furtce stało krzesło, a na nim siedział stary woźny z dziwnym nosem, który wyrósł w skomplikowane, bulwiaste formy. Wołali na niego Wujek.

- Słucham - wychrypiął woźny, stając przed Gabrielem i zagradzając mu drogę, kiedy chciał wjechać na teren podstawówki.

- Ja tu się uczyłem, nie pamięta mnie Wujek?

- A co ja mam pamiętać? - kiedy woźny się odzywał, w jego gardle coś bulgotało jak w piekielnym kotle.

- To nie wolno teraz tu wchodzić?

- W jakiej sprawie?

Najwidoczniej Wujek awansował na stanowisko ochroniarza.

- Chciałem spytać o adres kolegi z klasy, muszę go znaleźć.

- A ja nic nie wiem o tym!

- No to właśnie mówię, i Wujek już wie. Może spytać pani dyrektor?

- Ty nie od zwracania głowy pani dyrektor jesteś, wpuszczaj was tylko, i narkotyki potem po szkole są, nie ma wjazdu!

- Co wy z tymi narkotykami? Mój ojciec tak samo. Nie myślcie o niczym innym?

- Z drogi! - krzyknął woźny i popchnął Gabriela. Zdumiony tą nagłą agresją chłopak cofnął się i Wujek poleciał do przodu, ale zdążył się złapać furtki.



- Gówniarzu, będzie mnie pouczał, nie ma wjazdu! - krzyczał bełkotliwie.

Gabriel pokręcił głową, wycofał się i odjechał. Awansując porywczego starca z zamiatacza korytarzy na strażnika furtki, ktoś zdecydowanie przecenił jego umysłowe kompetencje. Może jest taki cięty, bo wpuścił kogoś niepowołanego i dostał naganę od dyrektorki. Ale Gabriel nie zamierzał już nikogo usprawiedliwiać.

Dziwne, że woźny go nie pamiętał, przecież to właśnie on uwolnił Gabriela z umieszczonego w piwnicy schronu atomowego. Koledzy wepchnęli chłopca do betonowego pomieszczenia i zamknęli masywne, metalowe wrota, które za czasów zimnej wojny miały chronić uczniów i nauczycieli przed wojną nuklearną. Mały Gabriel przesiedział w ciemności do końca wszystkich lekcji, po prostu usiadł na ławce, słuchał szumu w rurach i odległych głosów. Pogodził się z losem. Przynajmniej miał spokój.

Ale by się uśmieł, gdyby właśnie wybuchła wojna nuklearna. I dopiero woźny zdziwił się, że ktoś zamknął wrota, i wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do schronu.

- Czego nie krzyczałeś? - spytał bełkotliwie. - Ty z głową masz coś nie w porządku?

A w domu ojciec zapytał go, czemu się nie bronił.

**G**abriel pojechał do domu i włączył komputer. Wpisał do wyszukiwarki Google „mariusz bazik”. Przeczytał o Mariuszu Baziku, który miał w Poznaniu zakład optyczny, i Mariuszu Baziku, który był świetnie zapowiadającym się

kierowcą zużłowym. Jego oprawca nie istniał w ogólnoswiatowej sieci informacji.

Alergia na pola elektromagnetyczne pojawiła się szybciej niż zwykle. Przymykając oczy łązwiące między pulsującymi bólem skroniami, bez większej nadziei wpisał w wyszukiwarkę „jak znaleźć adres prywatny”. Znalazł prasowy artykuł o wojnie między Telekomunikacją Polską a stroną [ksiazka-telefoniczna.com](http://ksiazka-telefoniczna.com): chytry właściciel, korzystając z danych z książek telefonicznych TP, stworzył serwis, który umożliwiał zainteresowanym odnalezienie telefonu i nie musieli płacić za połączenie z biurem numerów.

Najwidoczniej prawnicy Telekomunikacji Polskiej byli bezsilni. Choć artykuł pochodził sprzed trzech lat, strona wciąż istniała. „Warszawa”, wpisał Gabriel w pole „miasto”. „Bazik”, wpisał w pole „nazwisko”.

Tylko jeden wynik: Bożena Bazik. Numer telefonu. I ulica. Osowska. Na Grochowie, tuż obok. Poczuł, że traci oddech. Szybki mach z inhalatora. Widać telefon zarejestrowany na matkę albo babcię. Przetarł mokre, piekące oczy. Osowska jest długa. Numeru domu nie było, ustawa o ochronie danych osobowych z roku 1997 chroniła tłustego chuligana. Machinalnie przesunął ręką po szczecinie z tyłu głowy.

I przypomniał sobie, z jakim podnieceniem w dzieciństwie odszukiwał imię i nazwisko ojca w starej, potężnej księdze telefonicznej, której kartki pozostawiały na palcach szary pył. Uczucie musiało przypominać to, kiedy widzi się swoje nazwisko w gazecie, świadectwo, że istnieje się w świecie zewnętrznym. Egzystencja staje się

oficjalna i dowiedziona. Był pewny, że w starej książce poza ulicą przy Wiktorze Różewiczu figurował numer domu.

Poszedł na korytarz, ale na stoliku z telefonem leżał nowoczesny spis abonentów z błyszczącą okładką. Przerzucił kartki. W środku były tylko numery firm, dział osób prywatnych cienki, nawet Różewicza tam nie było.

Gdzie są stare księgi ze swoją wszechwiedzą?

**B**abcia Wała mieszkała na Francuskiej, przy placu Waszyngtona. Zaczęło się ściemniać, na ulicach spiętrzyły się korki, samochody stały jeden za drugim, a w nich przeklinali wracający z pracy kierowcy. Gabriel jechał więc chodnikami, sprawnie wymijając przechodniów.

Kłopoty miał tylko wtedy, kiedy ktoś idący z naprzeciwka, widząc rower, próbował zmieniać trajektorię. Niech ludzie idą, jak szli, wtedy łatwo ich wyminąć. No i szyki psuli mu idioci, którzy zaparkowali samochód, zajmując połowę chodnika. Oraz głupie wózki, w których płaczą wiezione ze spaceru dzieci. Powinien być osobny pas dla wózków.

Wreszcie Gabriel przejechał pod ocienionym drzewami półkolem placu Waszyngtona i zatrzymał się pod blokiem babci.

Mroczne, rozległe mieszkanie pachniało jak zawsze syropem i kurzem. W dzieciństwie spędził w nim masę nudnych godzin podczas urodzin i pogrzebów. Dorośli gadali przy stole, jedli i pili, a on włąził pod stół, widział nogi w eleganckich spodniach i wyobrażał sobie kosmiczną kapsułę,

albo wspinał się po starej kanapie wśród zacinającego lodem wiatru Mont Blanc, ale nic nie mogło pokonać panującej w tych wnętrzach starczej nudy.

Babcia miała na sobie fioletową, ogromną suknię, wyglądała w niej jak mebel w pokrowcu. Oglądała serial w telewizji.

- Ta czarna to kurwa jest, że nie wiesz - powiedziała, wskazując pijącą szampana brunetkę. - Ciągle coś knuje. Dam ci zupy jarzynowej.

- Nie jestem głodny, chciałem tylko...

- Bezmięsna, same warzywa, zjedz, bo ci kości na tyłku wystają.

„Bezmięsna” był to stary podstęp babci Wali, zawsze na dnie garnka ukrywała się jakaś kość, ochłap czy inny szponder. Oczywiście teraz nie miało to znaczenia, jak wiele innych rzeczy.

- Jadłem w domu.

- No a czego lekcji nie odrabiasz?

- Już odrobiłem.

- Gadka szmatka. Patrz, co ta kurwa wykombinowała.

Ten mecenas miał się z tą młodą żenić. Rodzice ci pobłażają, matka szczególnie, nic dziwnego...

- Dlaczego nic dziwnego?

- Wyrzuty sumienia ma.

- Za co niby?

- Ma za co. Ale ja milczę jak grób, już niedługo dosłownie będziecie mieli.

Coś bredzi jak zwykle, pomyślał Gabriel, choć zadrzał w nim niepokój, jakby wiedział, o co chodzi, tylko nie mógł sobie przypomnieć.

- Babciu, chciałem skorzystać z książki telefonicznej.
- U dziadka w gabinecie jest.

Jednym z ostatnich obowiązków, do których poczuwała się na tym świecie babcia, było utrzymanie gabinetu w dokładnie takim stanie, w jakim zostawił go dziadek, zanim zdecydował, że koleje polskie dość skorzystały na jego inżynierskim talencie.

Największą część gabinetu zajmowało biurko, prawdziwy mamut, z blatem grubym jak drzwi do katedry gnieźnieńskiej. Deska kreślarska, dziwaczna drewniana linijka, cyrkle, inne tajemnicze przyrządy, których nazwy odeszły w przeszłość, gdy nastał świt ery komputerowej.

Gabrielowi zdrząła ręka, kiedy otwierał drzwi gabinetu. Przypomnił mu się okropny sen sprzed trzech lat. Wspomnienie wciąż wywoływało gęsią skórę i dreszcze na plecach.

Miał wtedy gorączkę. Śniło mu się, że leży w swoim pokoju i zapala lampę, światło pojawia się, ale jakieś słabe, cienie dokoła pozostają nienaruszone. Światło nie umie pokonać ciemności.

Wtedy słyszy, że otwierają się drzwi od szafy. W szafie stoi dziadek, cały czarny, czarniejszy niż Murzyn, i płacze. Łzy lśnią na czarnej skórze.

- Dziadku, czemu płaczesz? - spytał Gabriel.
- Bo jestem sam i nikt mnie nie odwiedza. Kiedy mnie odwiedzisz?

Gabriel wcale nie miał ochoty go odwiedzać. Dziadek nie żył od pięciu lat. A nawet kiedy żył, chłopak nie lubił jeździć do niego i babci z powodu nudy.

- E, zajęty jestem - powiedział Gabriel. Ale nagle coś kazało mu zadać pytanie, choć wiedział, że to straszny błąd. - Ty mi lepiej powiedz, dziadku, kiedy cię odwiedzę.

- Jak będziesz miał osiemnaście lat - odpowiedział dziadek.

A więc teraz ma osiemnaście lat i wchodzi do jego gabinetu. Miał nadzieję, że tylko o to chodziło w tym śnie, że teraz wyczerpała się prorocza moc. Ale umiał dostrzec pozytywną stronę całej historii. Jeśli przeżyje osiemnasty rok życia, to dobrze, no bo przeżyje. A jeśli umrze - to przecież też dobrze, bo to oznacza, że sny bywają prawdziwe, a zmarli nas odwiedzają, więc śmierć nie jest ostatecznym końcem.

- Grzebiesz dziadkowi w biurku? Nie wolno! - zaniepokoiła się babcia przed telewizorem w drugim pokoju.

- Tak, bony mu kradnę - mruknął Gabriel.

Stara książka telefoniczna leżała w rogu odkurzonego blatu, pod pękatym skoroszytem podpisanym równym, wyraźnym pismem dziadka: Instalacje Elektryczne Polskich Kolei Państwowych. Gabriel otworzył poźółkle, szeleszczące kartki, kichnął, przeciągnął dłonią po nosie i odnalazł literę B.

Bożena Bazik. Telefon. Osowska 92.

Westchnął i szarpnął kartką, żeby ją wyrwać.

- Co robisz, wandalizm! - rozkrzyczała się stojąca w drzwiach babcia. Nadeszła bardzo cicho. - Jak ja potem numer znajdę?

Gabriel przeprosił, wyjął z plecaka zeszyt i przepisał numer oraz adres Bożeny Bazik.

- Babciu, mogę zadzwonić?
- Nie gadaj długo.

Właściwie nie wiadomo, czemu ludzie umieszczają telefony w korytarzach, a nie w pokojach. Może dlatego, że rozmowa telefoniczna to tak jakby podróż. Rozmawiając przez telefon, nie jesteś już w domu, tylko w eterycznej nadprzestrzeni. Więc wychodząc do przedpokoju, żeby zadzwonić, szykujesz się do wyjścia.

Zimna słuchawka przy rozgrzanym uchu. Zimny sygnał. Uderzenia serca.

- Słucham? - zrzędlawy głos kobiety, jakby miała pretensję, że ktoś zakłóca jej spokój.

Gabriel nie wytrzymał i odłożył słuchawkę. Oparł się o ścianę. Pokręcił głową i ponownie wybrał numer.

- Słucham? - tym razem była jeszcze bardziej zniecierpliwiona, natarczywa wobec obcej ciszy w słuchawce.

- Pani Bożena Bazik? - wychrypiał Gabriel. Zaszło mu w gardle.

- A kto mówi?

- Czy zastałem Ma-Mariusza?

Umilkła. Słyszał jej ciężki oddech. Była chora albo po prostu stara.

- Żarty głupie - powiedziała w końcu i rozłączyła się.

Ale Gabriel wiedział, że go znalazł. Za długo milczała, kiedy wymówił jego imię.

- To żeś się nagadał - powiedziała babcia. - Zjedz zupy. Bezmięsa.

- Innym razem, babciu. Dziękuję! I nie oglądaj za dużo telewizji.

- A co mam robić, ludki z kasztanów?

Budynek oznaczony numerem 92 był jednym z chybiomych projektów ubiegłej ery, mających uprzyjemnić życie, a w rzeczywistości zmieniających je w koszmar. Dziesięciopiętrowy, mroczny heksagon z dziedzińcem w środku. Galerie prowadzące do mieszkań jak metalowe dzikie wino obrastały ściany od strony dziedzińca. Ich labiryntowa płatanina zardzewiałych schodów, loggii i poręczy przypominała męczące sny o odnajdywaniu zagubionej drogi w absurdalnych budowlach. Wilgoć, smród rozkładających się szmat i zatkanych zsyków na śmiecie, potłuczone szyby w metalowych drzwiach na klatkę schodową.

Najwidoczniej jeden z lokatorów marzył o lepszym świecie: na szybach galerii wiodącej do swojego mieszkania wywiesił tekturowe płyty, a na nich namalował zachód słońca nad egzotyczną laguną, morze i palmy. Nad rajską plażą wisiał ogromny, nieudolnie namazany sprayem kutas, surrealistyczny intruz, przypominający marzycielowi, żeby się zanadto w swoich fantazjach nie zapędzał.

Rower Gabriela z błękitną gwiazdką nad przednim kołem wydawał się zabawką w cieniu ponurej budowli. Była dziewiąta i zapadła ciemność, w betonowym kolosie zapalały się światła, w którymś mieszkaniu mężczyzna wyzywał żonę od kurew. Tutaj jedyną nadzieją pozostawała oświetlona latarniami jezdnia, szumiąca samochodami, mówiąca o tym, że można stąd odjechać i poszukać gdzieś lepszego domu.

Gabriel przypiął rower do chorego drzewa i podniósł wzrok na czarną budowlę. Tu mieszka Mariusz Bazik.



Myśląc o masce i pistolecie, czekających w plecaku, Gabriel obszedł budynek. Od strony przystanku nadchodził staruszek z laską, kierował się w stronę jednego z wejść na dziedziniec.

- Przepraszam. Nie wie pan może, gdzie tu mieszka Mariusz Bazik?

Dziadek pochylił głowę i zaczął szybciej stukać laską. Bał się. Dotąd nikt się Gabriela nie bał. Być może chodziło o tę nową fryzurę.

Gabriel odszukał drzwi dozorczy budynku. Były metalowe, jakby prowadziły do bunkra atomowego. „Sprzedaje na psy”, głosił niedający się zetrzeć napis, wykonany flamastrem. Nacisnął przycisk dzwonka i wytarł dłoń o spodnie.

Usłyszał odgłosy przesuwanych sztab i przekręcanych zasuwek. Wreszcie drzwi uchyliły się, przytrzymywane grubym łańcuchem. Ze środka wyrzwał drobny mężczyzna. Wyglądał na upośledzonego, jego wargi pozostawały w ciągłym ruchu, nieustannie je wciągał i wysuwał w dzióbek.

- O co chodzi?

- Panie dozorczo, kolegi szukam, gdzie mieszka Mariusz Bazik?

Twarz dozorczy skurczyła się w potężnym tiku, potem pojawił się na niej uśmiech.

- Ale on już tu nie mieszka.

- Naprawdę?

- Z matką mieszkał, ale się wyprowadził.

- Gdzie?

- Nie wiem, nie wiem, nie pytałem - dozorca zaśmiał

się, jakby pytanie o coś Mariusza Bazika stanowiło świetny żart.

- A matka nadal tu mieszka?
- Z policji pan oficer? - szepnął nagle dozorca.

Gabriel cofnął się przed jego oddechem. Przypomniał sobie napis na drzwiach.

- Być może - powiedział, również ścisząc głos.
- Lokal numer siedemdziesiąt siedem.

Gabriel odetchnął. Dozorca wciąż na niego patrzył. Jak się właściwie załatwia takie sprawy? Widział na filmach. Tylko ile się daje w Polsce? Wyjął z kieszeni portfel i podał dozorczy dziesięciozłotowy banknot. Mały mężczyzna cofnął się, przerażony.

- Dziękuję - powiedział zawstydzony Gabriel i pomachał banknotem. Nie wiedział, że dawanie łapówek jest takie krępujące.

- Dziękuję - odpowiedział dozorca uprzejmie jak kelner w pięciogwiazdkowej restauracji, uklonił się szybko, wziął pieniądze i zamknął drzwi.

Idąc po schodach na trzecie piętro, Gabriel poczuł, że sam przesiąka śmierdzącą wilgocią. Pod butami zachręściło tłuczone szkło. Drzwi z numerem siedemdziesiąt siedem. Odłaząca farba.

Nagle poczuł, że brakuje mu odwagi, żeby zadzwonić i zobaczyć matkę Mariusza. Skąd się tu w ogóle znalazł?

Wcześniej siedział w domu, czytał książki, grał na komputerze i chodził do szkoły.

Cofnął się na schody, schował w ciemności pod stłuczoną żarówką. Otworzył plecak i wyjął maskę zwierzęcia. Założył. Stał w masce pięć minut, oddech zaczynał się

uspokajać. Przejechał dłonią po szczecinie z tyłu głowy. Patrzył na fioletowe niebo nad centrum, odległe światła Pałacu Kultury. Księżyc wyglądał jak oślepiająco biały, obcięty paznokiec.

Wreszcie schował maskę z powrotem do plecaka, zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi i zadzwonił.

Dźwięk elektronicznej kukułki.

- Kto tam? - ten głos słyszał wcześniej w słuchawce telefonu.

- Kolega Mariusza - powiedział. - Kolega ze szkoły podstawowej.

Drzwi otworzyły się i na mroczną, moką galerię padł strumień światła.

Poznawał tę nalaną twarz, oczy rozwodnione, jasnieniebieskie. Nie miał wątpliwości.

Kobieta w brudnym, granatowym dresie w lepszych warunkach wyglądałaby na dwadzieścia lat młodszą. Patrzyła na niego wylupiastymi oczami, przyciskając do piersi dłoń ściśniętą w pięść. Na czole wisały brudne włosy, platynowe pasemka przechodzące przy skórze w czarne odrosty, jak ohydne korzenie.

- To pan dzwonił?

- Ja.

- Co z Mariuszem?

- Właśnie do pani przyszedłem, szukam go.

Kobieta odsunęła się od drzwi i skinęła, żeby wszedł. Grał telewizor. Z kuchni cuchnęły gotowane podroby. Było tu biednie, ale zwyczajnie. Żadna melina. Żaden apartament. Zwykle nic. Na ścianie kalendarz ze strażakami.

Meble ze sklejki, za przesuwanymi szybkami kieliszki, karafka, nędzny serwis do kawy. Stara wycieraczka. Palto na wieszaku. Jasna, miejscami odpadająca boazeria. Wszystko tanie, ale wysprzątane i czyste.

- Napije się pan herbaty?

Gabriel pokręcił głową. Kobieta zaprowadziła go do pokoiku na końcu korytarza. Podłużna klitka bez okna, chyba wydzielona z większego pokoju. Łóżko okryte brązową kapą. Plakat z samochodem, drugi z gołą babą. Nie-duża szafka z paroma starymi, wyblakłymi zabawkami, karabin, sflaczała piłka.

- Tu mieszkał wyrodny synek - kobieta potarła nagle mokre oczy. - Dwa lata już nic od niego nie słyszę. Jeszcze przylaźł po pieniądze czasem, do tego mu byłam potrzebna.

- I nie wie pani, gdzie się przeprowadził?

Matka Mariusza wzięła z szafki album, na okładce miał poślizgnięte kwiaty i ozdobny napis „Rodzinka”. Pokazała Gabrielowi zdjęcia grubego niemowlaka w śpioszkach. Nadgryzał plastikowy samolot, nic jeszcze nie rozumiał. Świat i czas były nieskończonością. Nie wiedział, że będzie musiał umrzeć.

- A telefonu pani nie ma?

- On co tydzień inny numer miał - Kobieta spojrzała na zdjęcie, zamknęła album, ścisnęła go w dłoni, aż jej pobielwały palce. Wreszcie podniosła na Gabriela wylupiające, przestraszone oczy. - Za co to wszystko?

Gabriel odwrócił się i ruszył do drzwi. Nie żałował jej. Kiedy była młodsza, była pewnie taka sama jak głupie pizdy

z jego klasy. Nieuctwo, seks z kim popadnie, wyśmiewanie innych, a potem mija czterdzieści lat i nagle: „za co to wszystko?”.

Z ulgą odetchnął nocnym powietrzem po zaduchu tego budynku. Czuł, jakby matka Mariusza go oszukała, jakby pokazano mu fałszywe mieszkanie. Tylko ten pokoik wąski jak korytarz, ściana zamiast okna. Może tu tkwiła tajemnica.

Jechał cichą ulicą wzdłuż muru nieczynnej fabryki. Usłyszał jakieś głosy. Zatrzymał się. Stukając obcasami, chodnikiem szła wracająca późno dziewczyna. Tuż za nią dwóch chłopaków. Jeden włochaty jak goryl, drugi przyszczaty, w czapce z daszkiem. Coś do niej wołali, łapali za ramię, a ona udawała, że nic się nie dzieje. Nie chciała biec, wiedziała, że wtedy naprawdę się zacznie, a tak sytuacja mogła jeszcze wrócić do normy. Teraz żałowała, że włożyła krótką spódnice. Wieczór miał wyglądać inaczej, kiedy malowała się przed lustrem.

- No weź, no weź - powtarzał ten włochaty, a przyszczaty śmiał się. - Ciągniesz pytę? Jak ciągniesz pytę?

Gabriel zatrzymał się. Cofnął do cienia. Czuł coraz mocniejsze, coraz szybsze uderzenia serca. Zaczęły mu drżeć ręce. Nie da rady. Coś takiego nigdy się nie uda. Życie to nie komiks. Zbliżali się, widział jej oczy rozszerzone strachem, wpatrzone przed siebie. Chciała, żeby już się skończyło.

Przeczekam i cicho odjadę, pomyślał Gabriel. Ale czemu serce tak mocno mi bije i tak trzęsą mi się ręce? Czy

one wiedzą coś, czego ja nie wiem? Zemdlilo go i zakręciło mu się w głowie. Zawsze zdążę uciec, nie dogonią mnie, mam rower.

Pryszczaty przyparł dziewczynę do ściany, krzyknęła krótko, kiedy goryl zakłapał jej przed twarzą krzywymi, szarymi zębami. Wziął jej rękę i potarł o swoje krocze.

- Pomacasz? No, pomacasz?

- Proszę natychmiast przestać - powiedział słaby, wysoki głos.

Odwrócili się. Tuż obok nich, na ulicy, stał rower, a na nim siedział chłopak z plastikowym pyskiem leśnego zwierzęcia, oczy ginęły w cieniu rzucanym przez kaptur bluzy.

- Co jest, kurwa, karnawał? - spytał pryszczaty. - Spierdalaj, kukło.

Tak właśnie zrobię, pomyślał Gabriel. Chyba zwariowałem. I już przyciskał stopą pedał, żeby odjechać, ale wtedy goryl złapał jedną ręką za kierownicę, a drugą za ramię Gabriela. Przestraszony chłopak wyszarpnął z kieszeni dłoń z pistoletem i wycelował równo w środek prymitywnej gęby.

Cofnęli się, puścili dziewczynę. Patrzyli na niego i próbowali zrozumieć, co się dzieje. A on sam tego nie rozumiał. Ale zobaczył w ich oczach coś, co nagle wszystko zmieniło. Zobaczył, że ci więksi i silniejsi ludzie się go boją.

Dziewczyna odbiegła, stukając obcasami, a dwóch chłopaków patrzyło w milczeniu. Pryszczaty uniósł rękę, żeby otrzeć czoło. Spłoszony gwałtownym ruchem Gabriel złapał kierownicę i nacisnął na pedały, żeby uciec, wydawało

mu się, że tamten chce się na niego rzucić.

Ale przyszczaty nie zauważył, że Gabriel się boi, i szybko uniósł obie ręce do góry.

Mam maskę i nie widzą, że się boję.

- No i czego szopę robisz? - spytał Gabriela drugi z łagodną perswazją.

- Ukłękajcie. Na ziemię! - powiedział Gabriel, znowu do nich celując. Z całych sił ścisnął pistolet, żeby nie zauważyli, jak trzęsie się lufa.

Posłuchali go. Ktoś większy i silniejszy słuchał jego rozkazów. Wciąż trzymając ich na muszce, zsiadł z roweru i oparł go o latarnię. Kiedy zobaczył posłuszeństwo, wreszcie poczuł wściekłość.

- Macie już nigdy nikomu nie robić krzywdy! - krzyknął. - Bo zabiję! Słyszycie mnie w ogóle?

Kiwali głowami. Gabriel zbliżył lufę do czoła goryla. Słyszał, jak sapie.

- Powtórz.

- Nikomu nie będę robił krzywdy.

- Teraz ty.

Pyszczaty nieco się jękał, ale wreszcie wypowiedział żadaną kwestię.

- Znacie Mariusza Bazika?

- Od Mariusza jesteście?

- Od nikogo nie jestem. Gdzie on mieszka?

Milczeli. Nie bardzo wiedział, co powinien zrobić, więc uderzył goryla lufą pistoletu w głowę. Uczynił to lekko i nieudolnie i broń ześlizgnęła się, trafiając w czerwone ucho. Uderzony krzyknął cienkim głosem.

- Ze swoją dziewczyną gdzieś mieszka! - zawołał

pryszczaty. - Ale nie wiemy, gdzie. On tu mieszkał, ale wyprowadził się.

- Jak się ta dziewczyna nazywa?

- Wiola. - Jaki oni mają ohydny, gruby akcent, aż żal słów, które wypowiadają.

- A nazwisko?

Nazwiska nie znali. Ile może być w Warszawie dziewczyn o imieniu Wioletta? To żaden trop. Kolejny oddech zaświstał mu w piersi. Lewą dłonią wyszarpnął z kieszeni inhalator i spróbował odciągnąć dźwigenkę. Jeszcze nigdy nie robił tego jedną ręką, plastikowy dysk wypadł mu i potoczył się w stronę klęczących chłopaków.

- Podaj mi to! - krzyknął, wskazując pistoletem. Jego oddech brzmiał, jakby wydobywał się z rury wydechowej starego grata, który nie chce ruszyć. - Szybko! Podawaj!

Pryszczaty podniósł dysk i spojrzał na niego zdezorientowany. Gabriel wyrwał mu inhalator, odciągnął dźwigenkę i szybkim ruchem wciągnął proszek. Odkaszlnął.

- Co, śmiejecie się ze mnie? - spytał.

Nie śmiali się. Klęczeli, patrzyli na niego i czekali, co teraz będzie.

Sam nie wiedział. Nigdy jeszcze nie miał kontroli nad sytuacją. Jak to zakończyć? W filmach tego nie pokazują, bohater udaremnia napaść i scena się kończy. Ewentualnie napastnicy leżą martwi lub nieprzytomni na ziemi, a uratowana dziewczyna rzuca się w objęcia wybawiciela. Tymczasem tutaj uratowana dziewczyna uciekła, a złoczyńcy klęczeli i gapili się na niego. Przecież ich nie zastrzeli. A jak niby ma ich pobić do nieprzytomności, kiedy



przed nim klęczą? Na pewno nie ma nawet tyle siły, żeby kogoś ogłuszyć. Mógłby ich związać, ale przecież nie zwiąże ich sznurowadłami, a kiedy będzie dzwonił na policję, mogą się na niego rzucić.

Jakoś musiał zakończyć tę sytuację. Na próbę kopnął pryszczatego w brzuch, tamten skulił się, ale nie wydał z siebie dźwięku.

Chyba wystarczy.

Nie wypuszczając pistoletu z ręki, Gabriel wsiadł na rower. Musi jeszcze coś powiedzieć.

- Coś jeszcze spróbujecie wykręcić, to zobaczycie - powiedział, szybko nacisnął na pedały i zostawił dwóch chłopaków, klęczących pod murem fabryki. Miał wrażenie, że pędzący jak najszybciej rower chwieje się od uderzeń serca. Co chwila oglądał się i sprawdzał, czy go nie gonią, ale nie, stali tam, daleko, nie odrywając od niego wzroku.

Skręcił w dużą ulicę, mknął wśród samochodów, kierowcy patrzyli ze zdumieniem na maskę, a nocny wiatr wpadał pod kaptur. Kręcił głową. Nie wierzył w to, co się stało. Kiedy serce uspokoiło się, zrozumiał, że jest szczęśliwy.

- Zaczęło się - powiedział.

## Rozdział 5

Zimna noc przed klubem Organza na ulicy Sienkiewicza. Wychodzi roześmiana, rozgrzana tańcem para. Mają po dwadzieścia parę lat. Facet stawia kołnierz wełnianego płaszcza, przytula dziewczynę. Są ładni i modnie ubrani. On ma jasne włosy postawione na żel, ona brunetka, oczy obwiedzione czarnym eyelinerem. Idą w stronę postoju taksówek, w kałużach falują refleksy neonów. Dobrze się bawili. Stają przed nimi trzy nabite, muskularne postacie. Ich głowy wyglądają jak trzy łyse świńskie zady, zatknięte na beczkowaty tułów bez martwienia się o taki detal jak szyja.

- E, blondyna, kto cię dyma? - pyta jeden, choć kolor włosów dziewczyny nie pasuje do ulubionego powiedzonka. - Nie ten cwel chyba? Masz piękniutego jeża?

Para próbuje ich minąć, mężczyzna udaje, że nie widzi. Jeszcze parę kroków i dojdą do taksówki. Jeden podstawia mu nogę, ale mężczyzna łapie równowagę, ściany domów odbijają śmiech.

- Zostawcie go! - krzyczy kobieta.

- Zostawcie go! - przedrzeźnia ją cieniutkim głosem jeden z atletów.

Stłumiony dźwięk rowerowego dzwonka. Oglądają się i widzą zbliżającego się na rowerze chłopaka z twarzą ukrytą pod kapturem. Chciał podjechać cicho i niepostrzeżenie, ale rower podskoczył na wyboju i dzwonek sam się odezwał. Trochę go to zdeprymowało. Bezszelestna maszyna, kurwa mać.

- Zostawcie go! - mówi, podjeżdżając pod klub.

- Jestem mistrzem Polski, przebierańcu jebany! - woła któryś. Nie wiadomo, o jaką dyscyplinę chodzi. Spod kaptura wysuwa się podłużny pysk dziwnego zwierzęcia, a z rękawa bluzy lufa pistoletu.

- Ty, ten pojebaniec celuje do nas!

Nie boją się? Szybkie spojrzenia na boki, milczenie, niepewne uśmiešky, wzmożona czujność. Jednak się boją. Nikt nie chce umierać. Więc też się nie boję. Nie mogę czuć strachu przed kimś, kto boi się mnie.

- Widzisz, bałeś się, prawda? - mówi przybysz do faceta w płaszczu. - Chciałeś, żeby to się skończyło. I proszę, skończyło się.

Śmiech zza maski brzmi nerwowo i nienaturalnie.

- Teraz państwo sobie pójdą, a my pogadamy - dziwne zwierzę zwraca się do trzech awanturników. - Ja znam was, gnidy, co nie mogą wytrzymać, że komuś jest dobrze. Wszystko musicie zepsuć, co? Skończyło się wasze panowanie.

- Jakie panowanie, człowieku, chory jesteś? Filmów się naoglądałeś?

- Zamknij się. Na kolana.

**D**rzewa na ulicy Szwedzkiej szumią cicho na nocnym wietrze. Na chodniku szeleszczą pierwsze opadłe liście. Trochę się zataczając, nadchodzi parszywy człowiek krokodyl, długa grzywka opada na chudą twarz, lewe oko ma nieruchome i skierowane na zewnątrz po jakimś urazie. Przed nim biegnie dog argentyński, wacha spękane płyty. Mięśnie falują, obciążone białą sierścią, błyszczą malutkie, czarne oczy, mają obwisłe wargi.

Dog kuca na chodniku, napręża się, zaczyna robić kupę.

Nagle stawia przycięte uszy i zaczyna warczeć. Właściciel patrzy za wzrokiem psa i odnajduje chudą sylwetkę na rowerze, chowającą się w cieniu drzewa.

- A ty czego się tak tam kryjesz? - pyta.

Słysząc zniecierpliwione sapnięcie, a po chwili młody głos.

- Mam nadzieję, że ma pan ze sobą woreczek i szufelkę.

- Sam se możesz gównem posprzątać, jak tak lubisz czystość - odpowiada pijany krokodyl.

- Czytałem o was w kronice kryminalnej - mówi postać o niewidocznej twarzy. - Szczujesz go na psy sąsiadów i straszysz nim ludzi. Tak nie wolno robić.

- Ja? Piesek jest łagodny jak baranek - odpowiada facet. - Chodź no tu, jak taki odważny jesteś.

- Nie wolno przyuczać psów do agresji. Jeśli on jest zły, musi chodzić w kagańcu.

- Dawaj go! - wrzeszczy krokodyl, dog szczyrzy kły i rzuca się na obcego. Słysząc strzał i w trwającym ułamku sekundy błysku widać pod kapturem pysk zwierzęcia. Krokodyl nie patrzy nawet na skamłające na chodniku

doga z przestrzeloną łapą, próbuje zrozumieć, co kryje się pod kapturem szarej bluzy. A dziwne zwierzę też stoi nieruchomo, ale wpatruje się w postrzelonego psa.

Wreszcie przenosi wzrok na właściciela.

- To ciebie powinienem postrzelić, bo pies nie jest winien, że ma właściciela kretyna - głos brzmi tak, jakby chłopak miał się rozplakać. - Teraz znajdź telefon do pogotowia weterynaryjnego.

Krokodyl stoi i mruga oczami, nie wie, czy to działo się naprawdę, czy jest tak pijany, że mu się przywidziało. Chłopak odjeżdża błyskawicznie na białym rowerze, ale pies wciąż jęczy i liże łapę, zostawiając na chodniku ciemnoczerwone, lśniące smugi.

Strzeliłem. Przestrzeliłem psu łapę. Jestem człowiekiem, który strzela na ulicach.

Za daleko to zaszło. Już nigdy nie będę strzelał.

Po Ostrobramskiej przemykają samochody dużo szybciej niż za dnia, a w powietrzu świszczy skórzany pasek, sprzączka trafia w głowę leżącego chłopaka, po czole rozpełza się krwawa pajęczyna. Chłopak płacze, przekręca się na bok, spod jego kurtki wystaje szkocka, kraciasta spódniczka. Otacza go pięciu młodzieńców, są w jego wieku, w lodowym świetle latarni błyszczą ich obcisłe, sportowe bluzy.

- Nie będzie u nas pedałów w kieckach, zrozumiałeś?

- Ja reklamuję szkołę językową! - płacze leżący chłopak. - To szkocka spódniczka.

Jeden z nich znowu unosi pasek, ale zamiast świstu

tnącej powietrze skóry słycać huk wystrzału. Młodzieńcy odwracają się, ich głowy jak zwrócone w stronę niebezpieczeństwa pyski psów, niemal nastawiają uszu.

Na skarpie nad przystankiem, na tle ponurego budynku Centralnej Biblioteki Wojskowej stoi zakapturzony chłopak na rowerze. Światło latarni pada na maskę zwierzęcia.

- To ten! - woła jeden, łapiąc kolegę za ramię.

- Człowieku, odbiło ci? - przywódca chłopaków wyciąga rękę w stronę przybysza. - Zabić nas chcesz? I co, w więzieniu chcesz zgnić?

- Zamknij mordę - mówi chłopak na rowerze, celując w stronę gadatliwej kreatury. - Nie próbujcie nawet uciekać, bo zastrzelę jak psy. Zdejmować wszyscy gacie!

Młodzieńcy kręcą głowami, uśmiechają się krzywo, ale robią, co każe. Po chwili nad leżącym chłopakiem odbywa się osobliwy przegląd bielizny, na chudych, przyzwyczajonych do uciekania przed policją nogach wiszą bokserki w paski, białe slipy, podróbki Calvina Kleina, a obok leży mały stos dzinsów i spodni dresowych.

- A teraz won do domu - mówi postać w kapturze. - Przekonacie się, jak to jest latać po mrozie z gołą dupą.

- Z psychicznym nie ma co dyskutować - mówi do kolegów przywódca. - Maskę założył... jeszcze ogon niech sobie doczepi.

- Jeszcze słowo, a zdechniesz. Myślisz, że cię nie słyszę?

Odchodzą z ociąganiem, spoglądając za siebie. Chłopak w spodniczce podnosi głowę i patrzy mokrymi oczami na zbliżającą się rowerzystę.

- Ty lubisz chodzić w spódniczce? - pyta wybawiciel.
- Płacą mi, zarabiam tak...
- Nie zimno?
- Ostatnio trochę. Ale nic mi pan nie zrobi?
- Po pracy mógłbyś zawsze włożyć spodnie. Masz pięć par do wyboru.

Nagle chłopak na rowerze urywa, przekrzywia maskę, dotyka skroni, jakby coś go bolało.

- Z drugiej strony - mówi w końcu - każdy powinien móc tak się ubierać, jak lubi, i nic nikomu do tego. Nienawidzę tych mend... co im przeszkadza?

Rozgląda się.

- Zaraz pewnie wrócą z kolegami.

**G**abriel jechał w stronę ronda Wiatraczna, zostawiając za sobą siedzącego pod przystankiem fałszywego Szkota. Zużył już cztery naboje: dwa razy wypróbując pistolet, raz na psa, no i teraz. Zostało dziewięć. Musi oszczędzać.

Superbohaterowie z komiksów są jednak śmieszni. Po co promienie Roentgena w oczach, nadludzka siła, po co opancerzone samochody, odrzutowe plecaki, kiedy wystarczy strach przed śmiercią, broń ostateczna.

Minął go nocny autobus, zdążył zobaczyć przy szybie grupę umalowanych dziewcząt, jadących na kończące wieczór ruchanie. Podczas nakładania makijażu myślały, czy zmywać go, czy nie, kiedy już Seba wsunie im rękę między uda, one pójdą przed tym do łazienki, a on będzie czekał z brudnymi nogami pod ich kołdrą, podlubując w

nosie. Niektóre były piękne i Gabrielowi zrobiło się przykro, że coś może być ładne i tarzać się w chlewie. Ale nie myślał o nich długo.

Odnalazłem swoje miejsce. Nareszcie wiem, co robić.

Im bardziej się go bali, tym był silniejszy.

Żywił się ich strachem.

O dwudziestej drugiej Krzysztof Wronczewski wyszedł ze sklepu spożywczego, w którym pracował na kasie. Pożegnał się z ochroniarzem, dwie kobiety myły podłogę mopami. Gasili światła. Krzysztof zapiął kurtkę, westchnął: „Ale piździ”, i ruszył wyludnioną ulicą.

Mijał po prawej niewielki skwer, wykorzystywany przez mieszkańców osiedla jako psia toaleta. Z lewej nadeszła jakaś postać. Nie zdążył się odwrócić, kiedy ten ktoś pchnął go na trawnik, poza światło latarni. Napastnik nie był silny, więc Krzysztof tylko się zatoczył, natomiast chłopak w kapturze potknął się i upadł na trawę. W pierwszym odruchu młody kasjer wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać, ale od razu ją cofnął.

- Co jest, do kurwy? - zawołał zamiast tego.

Napastnik zerwał się z trawnika, kaszłąc, podbiegł do Krzysztofa i mocą rozpędu przyparł go do ściany domu, sychając w jeszcze większe ciemności.

- Gdzie mieszka Mariusz Bazik? - wychrypiał zmienionym głosem.

- Co... co? Nie mam pieniędzy...

Coś twardego napierało na pierś Krzysztofa.

- Nie chcę twoich pieniędzy. Gdzie jest Bazik?



- Nie wiem, o co chodzi.
- Popatrz wreszcie w dół - poprosił człowiek w kapturze.

Krzysztof posłuchał i zobaczył lufę przyciśniętą do kurtki tam, gdzie jego serce biło w tempie obecnie przyspieszonym.

- Przyjaźniłeś się z Bazikiem w podstawówce - powiedział chrapliwy głos. - Gdzie on teraz mieszka?

- Nie wiem... przysięgam! My już od lat się nie kolegujemy, on mi ukraść pieniądze. Nie można się było normalnie zapytać?

- Nie oszukuj mnie! - warknął napastnik, pochylając się do Krzysztofa. Twarz pod kapturem zasłaniała maska zwierzęcia.

- On na Osowskiej mieszkał, numer 92 - szepnął Krzysztof.

- Bazik się przeprowadził!

- Ale nie wiem, dokąd. Jak się znaliśmy, tam właśnie mieszkał.

- A jego dziewczynę znasz? Wiolette?

- Nie... przepraszam...

Gabriel westchnął, zabrał pistolet, zgarbił się i odwrócił.

- Przepraszam za najście - rzucił Krzysztofowi na odchodnym.

- Proszę pana! - zawołał Wronczewski za oddalającą się postacią. - Jak go pan dorwie, proszę o mnie pamiętać! Tysiąc złotych mi zabrał!

- Nie zapomnę - powiedział Gabriel, wskoczył na rower ukryty za klombem i odjechał.

Najtańsza agencja, którą znalazł, mieściła się na piątym piętrze starego budynku przy placu Grzybowskiem. Drzwi ozdobione plakatem z archetypowym, czarnym profilem detektywa pykającego z fajki. Dzwonek wydał dźwięk kukulki.

Detektyw Stanisław Rogucki był siwy. Ciemnoczerwona koszula rozchodziła się na brzuchu. Głośno oddychał.

- No i dobrze - przywitał Gabriela. - Sekretarka ma wychodne, zapraszam do gabinetu.

Agencja składała się z dwóch pustawych pokoi, umeblowanych tanim sprzętem biurowym. W pierwszym pokoju ponury facet zalewał kawę rozpuszczalną wrzątkiem z elektrycznego czajnika. Lewą rękę nosił na temblaku. Skinął Gabrielowi, wziął kawę, usiadł za biurkiem i powrócił do lektury wiadomości Onetu, wyświetlonych na monitorze.

Detektyw zaprowadził Gabriela do drugiego pokoju i poprosił, żeby usiadł. Okna przesłaniały tanie blaszane żaluzje.

- Kawy czy herbaty proponuję panu klientowi - powiedział Rogucki. - Sekretarka ma wychodne.

- Nie, dziękuję.

- No i dobrze. Jak się nie ma ochoty, to nie ma co, jak zawsze mówię.

Detektyw usiadł naprzeciw Gabriela, wzdychając nie wiadomo czemu: „O boziu, boziu, boziu...”.

- Kim jest dla pana poszukiwany? - spytał i podsunał sobie rozklekotaną, brudną klawiaturę stacjonarnego komputera.

- Kolega ze szkoły.

Detektyw Stanisław nie nadawałby się na maszynistkę. Zanim napisał choć jedną literę, jego wskazujący palec zakreślał nad klawiaturą spiralę. Spirala zawężyła stopniowo obszar poszukiwań i palec opadał wreszcie pod kątem prostym na właściwy klawisz.

W ten czasochłonny sposób właściciel agencji Inspectio zebrał potrzebne dane. Mariusz Bazik, ostatnie znane miejsce zamieszkania, szkoła, do której razem chodzili.

Wreszcie westchnął, wyczerpany tym procesem, i odsunął klawiaturę.

- Zaliczka wynosi dwieście pięćdziesiąt złotych, po zakończeniu poszukiwań sukcesem otrzymujemy bonus w wysokości tysiąca złotych. Przy wystąpieniu dodatkowych kosztów, kiedy pan Mariusz na przykład okaże się przebywać za granicą i ustalany będzie adres zagraniczny, cena może ulec podwojeniu. Jeśli jednak, co mało prawdopodobne, nie uda się pana Mariusza odnaleźć, zaliczka musi przepaść.

Gabriel skinął głową.

- No i dobrze - Stanisław Rogucki uśmiechnął się i wstał. Podał Gabrielowi twardą dłoń. - Spiszemy teraz umowę i poszukiwaną osobę może pan uznać za odnalezioną.

Jego dni wyglądały teraz tak: wpół do siódmej rano jaźgotał budzik, Gabriel wyciągał z łóżka rękę i uderzał w wyłącznik. Zyskiwał piętnaście minut, zanim znowu się rozdzwoni. Miastem rządziła jesień i za oknami było

jeszcze ciemno, w zziębniętych po nocy blokach zapalały się blade światła i ludzie pili pierwszą kawę. Budzik znowu dzwonił. Gabriel zwlekał się z łóżka, przecierał piekące oczy, zakładał okulary.

Jadł śniadanie z rodzicami i jechał do szkoły, gdzie przez osiem godzin walczył z sennością. Słowa nauczycieli rwały się i układały w bezsensowne tyrady. Zeszyty nosiły ślady jego zmęczenia i ciąg notatek nagle wynaturzał się, litery traciły kształty, a zdania kończyła długa, opadająca linia. Na przerwach drzemał w szatni. Po ostatnim dzwonku szedł coś zjeść, kebaba albo kurczaka z różną w małej budce przy liceum, w domu udawał, że nadal jest wegetarianinem. Nie chciał dać ojcu satysfakcji ze swojego nawrócenia na pokarmy zwierzęce.

Po powrocie do domu spał jeszcze ze dwie godziny, taki etap rozwojowy, mówiła matka, która studiowała pedagogikę, potem odrabiał lekcje. Przeciągał ręką po krótkich, ostrych włosach z tyłu głowy. Kiedy robiło się ciemno, zdejmował okulary i zakładał soczewki. Wydawało mu się, że noszenie soczewek musi być męką, jak sypanie piasku pod powieki, tymczasem nakładanie cienkich galaretek okazało się chłodną pieszczotą.

Wyjmował telefon i wyświetlał jedyne zdjęcie Soni. Śmiała się na tle przepiłowanych książek w pizzerii. Naciśnął klawisz przybliżenia do oporu, aż cały ekran zajmowały jej zmrużone oczy. Nie mógł długo na to patrzeć.

Na internetowej stronie „Gazety Stołecznej” czytał kronikę kryminalną. Wypatrywał wiadomości z agencji Inspectio, której detektywi już od tygodnia mieli szukać Bazika.

Czekał, aż wszyscy pójdą spać, a on znowu założy maskę nieznanego, leśnego stworzenia i poczuje w dłoni zimny ciężar Glocka 17.

**P**atrol zaczynał zawsze od parku. Zimną nocą skrzeczały w nim wrony, jedyni mieszkańcy. Z uderzonych nagłym chłodem drzew opadały liście, wielki jesion już całkiem wyłysiał i wyglądał jak szkielet wściekłego smoka. Ale park był spokojny, nic w nim się nie działo, jakby tamtej fatalnej nocy to miejsce wyczerpało na jakiś czas limit zła.

Z parku często jechał na rondo Wiatraczna, patrzył na biały, stary neon Uniwersamu Grochów, sprawdzał, czy nic nie dzieje się na wąskich alejkach między budkami targowiska. Kiedyś jeden wyrostek próbował włamać się do pawilonu Elektronik, na widok Gabriela wyciągnął nóż, ale w końcu uznał, że biała broń nie sprostą austriackiemu pistoletowi, i zrezygnował z fechtunku.

Kiedy nic się nie działo w okolicy, Gabriel jeździł do centrum, jechał nigdy nieusypiającą Trasą Łazienkowską, przejeżdżał mostem nad czarnymi, niespokojnymi wodami Wisły. Kiedyś dwóch rozweselonych alkoholem kompanów próbowało zrzucić z mostu zapóźnioną dziewczynę. Kiedy uwolniona pobiegła szukać policji, Gabriel zostawił ich stojących na barierce, w zasikanych ze strachu spodniach, z otchłanią i zimną rzeką poniżej.

Sprawdzał, co dzieje się na placu Defilad pod pulsującym światłem na maszcie Pałacu Kultury, kiedyś obronił

tam Cyganek przed bardzo męznymi w grupie skinami.

Przejeżdżał pod pustymi, pochodzącymi z przyszłości biurowcami na rondzie ONZ, gdzie trzech chłopaków próbowało kiedyś ukraść mercedesa.

Na nieskończonej ulicy Puławskiej doznał porażki, gdy zapukał do szyby jednego z samochodów, szykujących się do ryczącego wyścigu na długim, ciemnym odcinku. Szyba opuściła się i modnemu kierowcy z włosami zaczesanymi na żel ukazał się plastikowy pysk zwierzęcia tłumaczącego, czemu takie wyścigi są niebezpieczne.

- Jak dla mnie możecie się nawet rozbić w cholerę, ale raz, ludzie chcą spać, a wy warczycie silnikami, a dwa, możecie spowodować wypadek i zginie ktoś, kto nie jest idiotą, a miał pecha znaleźć się z wami na jednej ulicy - powiedział śmieszny przyjaciel z lasu.

W odpowiedzi na apel kierowca ruszył z piskiem opon i oddalił się w tempie, jakiego nie uzyskaliby nawet podczas najbardziej zażartego wyścigu.

Druga porażka przytrafiła mu się na placu Narutowicza, nie miał akurat maski, a zatrzymało go dwóch wulgarnych siłaczy.

- Patrz, kurwa, chcesz rower? - powiedział jeden do drugiego, wskazując Gabriela serdelkiem, który służył mu za palec.

- Trudno będzie taki dostać, chyba już nie produkują - powiedział Gabriel. Łamał mu się głos. Bał się. Widzieli go.

- Żartowniś, kurwa! - zawołał wysokim, dziewczęcym jakby głosem drugi kolos.

- Dawaj kurwa rower - powiedział pierwszy.

Gabriel co prawda nie posłuchał go, ale też poczuł, że nie da rady wyciągnąć maski i pistoletu. Kiedy złoczyńca widzi jego twarz, wciąż jest chudym chłopcem, a nie nocnym prokuratorem. Chrząknął więc tylko i odjechał.

Dużo trudności sprawiało mu pojawianie się niepostrzeżenie. Chciał odzywać się nagle i wylaniać z ciemności, ale często to nie wychodziło. Potykał się, robił hałas albo podekscytowany zaczynał kaszleć i w ten sposób się zdradzał.

Kiedyś zauważył, że naprzeciwko Dworca Centralnego, na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich z ulicą Jana Pawła II, tuż obok zaszczypanych schodów, prowadzących do podziemnego labiryntu, stoi tajemnicza rudera, pasująca do zapuszczonej wsi, a nie centrum europejskiej stolicy. Po drugiej stronie galeria handlowa Złote Tarasy, wyglądająca jak kosmiczny skrzek, który nagle wylądował w centrum miasta, a tutaj zrujnowany dom. Otoczony niebieskim, blaszanym ogrodzeniem, w którym nie było żadnej bramy ani furtki. Od czasu do czasu do środka dostawali się włóczędzy i narkomani, którzy przełazili przez płot, służąc jeden drugiemu za drabinę. Gabriel podskoczył i podciągnął się, zajrzał na zakazany teren. Rudera stała w wielkim, wypełnionym śmieciem dole. Zobaczył szare, nieotynkowane ściany, obryzane czarną farbą czy smołą, blaszany, zapadnięty dach, dziury zamiast drzwi i okien. Poczuł lęk. A jednocześnie pomyślał, że kiedyś będzie musiał wejść do tego domu.

Każdej nocy jechał pod ławicami chmur o brzuchach rozjaśnionych luną wielkiego, grzesznego miasta. Szukał

zbrodni i znajdował ją. Widziano go pod siedzibami wielkich korporacji, pod punktami sprzedaży telefonów, gdzie właściciele zdejmowali simloki ze skradzionych aparatów, pod kościołami i w zajezdniach wśród martwych autobusów, pod klubami, gdzie rytmicznie huczała muzyka, a w obłąkanych światłach dziewczyny kręciły tyłkami, wabiąc noc.

Trasa nigdy nie była taka sama, błękitne światło starego roweru wędrowało po mapie nocnego miasta jak błędna gwiazda.

Polski Batman ratuje kobietę przed utonięciem. Gabriel skrzywił się. Jak zwykle szybciej biło mu serce, kiedy czytał o sobie, ale też miał poczucie jakiegoś fałszowania rzeczywistości. Wstał od komputera i poszedł do kuchni zrobić kanapkę. Wyjął z paczki plaster sera chester i obrał z folii. Na blacie leżało dzisiejsze wydanie „Rzeczpospolitej”. „Kim jest nocny mściciel?” - pytał nagłówek na pierwszej stronie. Przeczytał ten artykuł, nie odchodząc od kiosku, w którym kupił gazetę. Rodzice oglądali telewizję, rytuał kończący dzień pracy.

- Nareszcie ktoś staje po stronie ofiary - mówił w telewizorze podekscytowany głos. - Myślałem, że już po mnie, patroli w ogóle tu nie zagląдают. I wtedy pojawił się on.

Gabriel stanął blisko drzwi, żeby lepiej słyszeć. Ugryzł kanapkę. Lubił ten ser, ale bez keczupu był trochę mdły.

- Mówi komendant Piotr Gawel z Komendy Głównej.
- Popieramy inicjatywę obywatelską, ale cywil nie



może wykonywać naszej pracy, to niebezpieczny precedens, ocierający się o lincz. Kodeksy i sądy powstały w jakimś celu. Sprawiedliwość nie zasadza się na poglądach jednego osobnika, którego zdrowy rozsądek możemy chyba kwestionować, proszę państwa, on ma nielicencjonowaną broń i nosi maskę. Postrzelił bezbronne zwierzę.

- Policjanci to nieroby. Nic dziwnego, że nie podoba im się, jak ktoś pokazuje, że można skutecznie bronić ludzi. W Warszawie pojawił się bohater.

- Mieszkańcy stolicy podzielili się. Niektórzy pokochali nocnego obrońcę, inni mają pewne wątpliwości.

- Wcale nie czuję się bezpieczniej. Jakiś wariat nosi maskę i jeździ z pistoletem po nocach, przecież to komedia. Co takiemu do głowy może strzelić, nikt nie wie.

- A to Polska właśnie. U nas nic nie może być normalne.

- Władze miasta apelują do polskiego Batmana o wydanie się w ręce policji.

- To dewiant, realizuje jakąś własną zemstę. Prawdopodobnie sam wywodzi się ze środowisk przestępczych.

Gabriel zaczął kaszleć. Gdzie tu znaleźć budkę telefoniczną? Czy one jeszcze istnieją?

**G**azeta stołeczna”, słucham? - powiedziała kobieta.

Gabriel stał w budce. Zimna słuchawka przy policzku. Drzewa oślepione światłem latarni. Wysunął rękę, żeby się rozłączyć, ale nagle zmienił zdanie.

- To ja bronię w nocy ludzi - powiedział cicho i zakaszłał.

Cisza. Przed budką przeszła babcia w chodziku. Szła tak powoli, jakby należała do innego czasu, innego wymiaru. Widziała otoczenie jako opętany pęd, niezrozumiały i nieuchwytny. Jej oczy przesłonięte białą, wilgotną pajęczyną.

- Łączę z redaktor Mikołajewską - powiedziała w końcu recepcjonistka.

Kiedy w słuchawce odezwała się pani redaktor - inny kobiecy głos, chrapliwy i stanowczy - od razu przeszła do rzeczy.

- Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie?

- Nie wiem, skąd. Nie kłamię.

- Jest nowy przypadek z zamaskowanym mężczyzną, pochodzi z wczoraj, jeszcze nie przedostał się do mediów...

- Wczoraj, to znaczy dzisiaj w nocy, tej, co się skończyła? Taka zwykła sprawa była, chuligan wyrwał facetowi portfel przy bankomacie na Złotej.

- Proszę do nas natychmiast przyjechać. Albo ja do pana przyjadę.

Gabriel zaśmiał się.

- O nie, nie, tak to nie będzie, przepraszam.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć. Dlaczego pan to robi?

- No właśnie. Ja nie chcę się na nikim zemścić. Po prostu chcę, żeby ludzie przestali się bać.

- Ile ma pan lat? Jak się pan nazywa?

- Proszę pani, mam się rozłączyć?

- Przepraszam. Proszę mówić.

- Nienawidzę zła, rozumie pani? Nie rozumiem go. Nie wiem, jak ktoś może być taki dziwny w środku. Chcę, żebyście przestali o mnie pisać i mówić: polski Batman.

- Czemu?

- Bo to idiotyczne. Czeski Spiderman. To nie komiks, rzeczywistość jest zupełnie inna.

- Jaka?

Gabriel zwiesił głowę i westchnął. Trudno udzielać wywiadu.

- To wszystko jest bardziej brudne, bardziej jakieś... rozmyte.

- To jak mamy o panu pisać?

- To już lepiej nieznany sprawca. Albo nie...

- Nie nieznany sprawca?

- Nazywam się Strażnik Parku.

## Rozdział 6

Detektyw Stanisław Rogucki zadzwonił następnego dnia. Gabriel przestraszył się, że może przez udzielenie wywiadu wyszła na jaw jego prawdziwa tożsamość, ale starszy mężczyzna nic nie wspominał o Strażniku Parku.

- Niestety, przykro mi to mówić, nie możemy podjąć się pańskiego zlecenia - powiedział Rogucki przez telefon, często wzdychając.

- No ale jak to? Przecież już się pan podjął?

- Cóż, w naszym zawodzie zdarzają się nieoczekiwane wydarzenia. Obecnie jesteśmy bardzo zajęci pewnym poważnym zleceniem. Oczywiście zwrócimy panu zaliczkę w pełnej wysokości.

- Ale ja nie chcę zaliczki, chcę, żebyście go znaleźli!

Więcej zapłacę.

- No, niestety, nie mogę się podjąć tego zlecenia, szkoda gadać. Zapraszam po odbiór zaliczki.

Kiedy Gabriel pojechał do agencji Inspectio, po sekretarce również nie było ani śladu. Nie spotkał też detektywa Roguckiego, drzwi do gabinetu były zamknięte. Ponury mężczyzna z ręką na temblaku powiedział, że szef jest w

terenie, i wręczył Gabrielowi kopertę z pieniędzmi. Koper-  
ta nawet nie była nowa. Z tyłu widniał nabazgrany adres  
agencji, podstemplowane znaczki z bazyliką w Sandomie-  
rzu i dworem w Lipkowie.

Wyszedł na dwór i stanął przy kiosku. Kioskarz przy-  
mocował do szyby nowe wydanie „Wyborczej”. Gabriel  
przeczytał wielki nagłówek i zaklął.

Znowu stał w budce telefonicznej, trzymał przed sobą  
zmiętą gazetę.

- Polman? Oszalała pani! Jaki Polman?
- Nie rozumiem, o co chodzi.
- „Nazywajcie mnie Strażnikiem Parku, żąda Polman”. Wielkimi literami, z boku wywiadu. I w ogóle wychodzę w tym wywiadzie na jakiegoś idiotę.
- No Polman, skrót od Polski Batman, bo Polski Batman nie podobało się panu przecież.
- Ale chciałem, żeby napisała pani o mnie: Strażnik Parku.
- No jak pan woli, doradzałabym jednak Polmana. Brzmi lepiej, chwytliwie, i nie kojarzy się z emerytem w stróżówce.
- To chyba ja decyduję, jak się nazywam.
- To może Catman?
- Dlaczego?
- Przecież nosi pan maskę kota...
- To nie jest żaden kot, tylko leśne zwierzę.
- Ryśman w takim razie?

- Pani sobie ze mnie żartuje?  
- No przepraszam, ale pan tak poważnie to wszystko bierze. Nic wielkiego się nie stało.

- Będę pamiętał, żeby nigdy nie ratować żadnego dziennikarza - powiedział Gabriel i odwiesił słuchawkę.

O tym, że jest zakochany w pewnej dziewczynie znad morza, która chciała ratować dzikie wilki, też nie napisali. Nie zmieściło się. Może nie dość ciekawe.

**Z**a tydzień wasza wiedza poddana zostanie sprawdzianowi. - Gruby i łysy profesor geografii, bez fantazji nazywany Globusem, zamknął dziennik. - Oczekuję teraz na protesty zaskoczonej młodzieży.

Po klasie rozniosło się teatralne westchnienie. Nawet kiedy Globus pytał ucznia o nazwisko, brzmiało to podchwytliwie. Gabriel wzruszył ramionami.

Po lekcji stanął na korytarzu w miejscu, gdzie słońce zza okna rzucało na parkiet jasny prostokąt ciepła. W takich miejscach jesienią lubią wygrzewać się koty, sztuczne tropiki w zimny czas. Spojrzał na zamglone słońce. Pomyślał o odległej, płonącej w kosmosie kuli złotego ognia, która daje życie. Nic dziwnego, że dzikusci oddawali jej cześć. Dziwne, że wciąż tego nie robimy.

Ziewnął i delikatnie przetarł oczy, żeby nie przesunęły mu się soczewki. Dzisiaj pierwszy raz założył je do szkoły, okulary zaczęły go denerwować.

- A co ty tu tak, kurwa, stoisz?

Gabriel podniósł oczy. To Kacper, uważający się za najprzystojniejszego chłopaka w szkole. Włosy zaczesane

do tyłu, koszulka Lacoste, na nogach lakierki. Jak zawsze towarzyszyli mu trzej koledzy, starający się dorównać Kacprowi w stylizacji i cynizmie. Na parapecie siedziała Jola i z przyjaciółką malowały sobie paznokcie.

- Wolałbyś, żebym usiadł? - spytał Gabriel.

Dziewczyny zaśmiały się, na twarzy Kacpra pojawił się zły uśmiech.

- A gdzieś ty, Gejbrielu, okulary zgubił?

- Twoja mama pożyczyła, chciała ci mózg odszukać.

„Uuuuuuu!” - zawyły dziewczęta. Gabriel skrzywił się, niezbyt to było dowcipne, ale chyba wystarczyło. Nieprzyzwyczajony do sprzeciwu przystojny chłopiec wy dobył z gardła charczący dźwięk, oznaczający pogardę, i podszedł do Gabriela.

- Problem masz? - zapytał.

Gabriel poczuł, jak napinają mu się mięśnie. Chciał uciec. Powie, że nie ma problemu, i przeprosi. Zamiast tego wziął niewielki zamach i uderzył Kacpra pięścią w twarz. Poczul, jak knykcie rozgniatają wydatne wargi przystojnego chłopaka i zatrzymują się na zębach. Jednocześnie zabolął go kciuk, bo niefachowo zacisnął go pod palcami, zamiast zostawić z boku. Miał pechowe kciuki.

Cofnął rękę i przyjrzał się krwi na brodzie kolegi, który dwa lata temu nasrał mu na kurtkę. Kacper zatoczył się od ciosu, ale nie krzyknął. Jego twarz wyrażała zdumienie, jakby nagle zmieniono podstawowe prawa rządzące światem. Przyłożył palce do ust, zamrugał oczami, odwrócił się i odszedł. Za nim koledzy.

- Fajnie ci bez okularów - powiedziała Jola. Jej przyjaciółka patrzyła tylko na niego i uśmiechała się szeroko.

- Coś takiego - mruknął Gabriel i szybko odszedł do szatni.

**B**oks był otwarty i pusty. Usiadł na ławce, oparł się o kurtki. Serce mu biło za szybko, a palec bolał, chyba jednak nie będzie spał. Na przeciwległej ławce leżało zmięte, kolorowe czasopismo. Magazyn o hip-hopie.

Przerzucił parę stron i zauważył wielkie zdjęcie ponurego Drozia. Była to recenzja jego nowej, solowej płyty *Słowo nie w stylu*. Recenzent przyznał jej zero gwiazdek.

*Co się stało, gwiazdko, co się stało, z pierwszego kozaka wyszedł Don Pedalo? Fama idzie po mieście, że Drozio ze Swołoczy zniewiesciał, a płytka solo w rekordowym tempie nagrana stanowi niespotykaną żalobę. Przykładam ucho i słuchowi nie wierzę. Gdzie zabieranie fantów frajerom? Gdzie elo dla wandali i złodziei? Gdzie dojebywanie psom i garniturkom? Drozio chce zostać pierwszym bardem 997, jak zarzucają mu dotychczas wierni miastowi? Raczej dojrzał w sobie kaznodzieję, odcina się od przeszłości i nauki puszcza w świat niczym jednoosobowe Radio Maryja. Chciał pewnie w telewizorze się pokazać, a tu muka. Powstała pierwsza na świecie płytka HH dla twojej babci. Bity takie, jakich można oczekiwać po raptem tygodniu pracy, stare podkłady, które brzmią jak pierwsze demo do Swołoczy I. Ale najgorsze są teksty. Nie usłyszysz tu kozackich, hardkorowych wersów, z których zastępnął młody i gniewny Drożyński. Zamiast tego serwuje nam takie wstrząsające prawdy: „nie rób innym, czego nie chcesz, by zrobiono tobie”, „złem się popisujesz i cyrograf*



*z rogatym podpisujesz”, no i mistrzowskie: „jedno proponuje: szanuj każde życie”. Ja natomiast Droziowi proponuję, żeby stuknął się w czoło i przestał brać, co teraz bierze, bo poprzednie lepiej mu służyło. Podobno miała to być nowa płyta Swołoczy, ale kiedy pokazał ekipie teksty, odmówili współpracy, no i ja się im nie dziwię. Recenzji ukazało się niewiele, wiadomo, mało kto chce omelać zioma, który tyle niedawno znaczył w świecie polskiego gangsta. Ale znacie mnie, dla mnie liczy się tylko prawda i jak napotykam zakalę, od razu disuję, bez sentymentu. W ostatnim kawałku nasz nagle moralny Dróżek informuje: „to nie są farmazoni z kościelnej ambony”. No ale jednak są, dzieciaku, są. Szkoda, że nie mogę wystawiać gwiazdek minusowych. Za fałsz i koniunkturalizm, najgorsze grzechy polskiego HH.*

**K**iedy Gabriel wrócił do domu, od razu pobiegł do komputera i odnalazł w sieci stronę Drozia. Najwidoczniej raper cierpiał na nieopanowany atak natchnienia. Tuż po premierze *Słowa nie w stylu* na jego stronie pojawił się nowy utwór, do odsłuchania za darmo. *Strażnik Parku*. Gabriel zaśmiał się, latającymi rękami podpiął do komputera słuchawki.

*Pojawił się wreszcie ktoś, no kto?, zapytacie,  
kto na skurwisynów widok nie, nie robi w gacie,  
pokazuje ci i uczy, kto naprawdę jest kozak,  
przyznacie chyba, to do pozazdrosczenia jest poza.  
Kiedyś myślałem: fajnie robić bydło,  
ale mówię dzieciak szczerze, już mi to obrzydło,*

*za trudne jest życie, każdy musi się z nim zmagać,  
każdy jakoś cierpi, nie chcę swojego dokładać.  
Kocham moje miasto, dzieciństwo spędziłem na ulicy,  
więc cieszę się, że jest ktoś, na kogo można liczyć,  
ktoś, kto nie ogląda się na nic,  
i ktoś, kto nie boi się zranić,  
kto psiarni pokazuje, jak się broni ludzi,  
ballada o Strażniku długo się nie znudzi.  
Ta... jeee... posłuchaj o nim... Strażnik... Strażnik Par-  
ku.*

„Wyślij słowo”, głosił napis przy adresie mejlowym. Więc Gabriel wysłał mu słowo. Napisał, że prosi o jak najszybszy kontakt, że to bardzo ważne. Podał numer telefonu.

**D**rozio nie dzwonił.

Następnego dnia po szkole Gabriel sprawdził pocztę, ale dostał jedynie wiadomości o lekach bez recepty i powiększaniu penisa. „Rozmiar MA znaczenie!”, stwierdzał surowo tytuł mejla.

Do domu wrócił ojciec, dzwonił kluczami w przedpokoju, teraz witał się z Guciem. Czemu tak wcześniej? Gabriel ubiegłej nocy też wcześniej wrócił z patrolu. Wciąż myślał o utworze nawróconego rapera, teraz nie chciało mu się spać. Patrzył nad monitorem na bloki za oknem, dzień był niezwykle jasny, ale bez słońca. Usłyszał, że ojciec idzie do łazienki.

Gabriel wyłączył komputer, położył się na łóżku i spojrział na niemy telefon. Zza drzwi wejściowych zaczęło

dobiegać rytmiczne stukanie. To robotnicy na korytarzu wymyślili nową zabawę, uderzali młotkami do rytmu CWKS Legia. Wieczorem miał być ważny mecz.

Wyświetlił zdjęcie Soni. „A to właśnie ja jestem Strażnikiem”, szepnął do niej.

- Matka chodzi i chodzi do tej swojej świetlicy - powiedział ojciec, otwierając drzwi do jego pokoju. - Rano musiałem urządzić konkurs na dwie najbardziej podobne do siebie skarpetki. Nagród nie przyznano, było za to jedno wyróżnienie, i dzięki temu miałem w czym pójść do pracy.

- Skarpetki często giną - odpowiedział Gabriel, nie patrząc na niego.

- Kiedy cię widzę, ciągle leżysz. Czemu się za coś nie weźmiesz?

- Odpoczywam.

- Ciekawe po czym. Co to za obciążenie, parę godzin siedzenia w ławce.

- Jestem słabowity.

- Bo nie ćwiczysz w ogóle. Jakaś świnia od tygodnia pluje w windzie. Zgłosić trzeba do spółdzielni, ale już widzę, jak coś z tym zrobią.

Gabriel leżał i słuchał głośnego oddechu stojącego w drzwiach ojca. W końcu mruknął na znak, że podziela jego oburzenie.

- Wcześniej wróciłem z pracy.

- Naprawdę?

- Przeszliśmy pod nowego kierownika, znowu jakiś nieudacznik, ale ma układy. Cały dział zwolnił dzisiaj

wcześniej, i tak nie macie nic do roboty, powiedział. Ja mu na to, że jestem w połowie projektu, a ten się śmieje tylko. Wyobrażasz sobie coś takiego? A dzisiaj ciocia Irena przychodzi z wujkiem. Czego ci tam tak wałą?

Ojciec odwrócił się, poszedł na korytarz i energicznie otworzył drzwi. Gabriel zaciekawiał się i poszedł za nim.

- Co wy robicie?

Dwaj robotnicy przerwali stukanie i spojrzeli ze zdziwieniem na gniewną postać. Gucio stanął za swoim panem, zawarczał raz, szczechnął jękliwie i uciekł do salonu.

- Płytki kładziemy - odpowiedział mały.

- Bawicie się, nie kładzecie. Co to za robota? Co dla was jest ważne przy tej robocie?

- Żeby szybko skończyć - powiedział wielki. Zaśmiali się szczerym i niskim, ludowym śmiechem.

- I to błąd właśnie. Potem zostają niedoróbki. A to nie wy plujecie w windzie?

- Skąd, szefie, my kulturalni ludzie jesteśmy.

Gruby pochylił się i przytknął płytkę w rogu korytarza. Ojciec aż stęknął, widząc jego ofermowatość.

- Dajcie mi to, pokażę...

Odwrócił się i zauważył Gabriela.

- Synku, weź mi przynieś mój fartuch z pawlacza. I moją skrzynkę z narzędziami, nie to dziadostwo...

Gabriel podał ojcu żądane przedmioty i wrócił do pokoju. Usiadł przed komputerem. Żadnych wiadomości. Może Drozio nie sprawdzał poczty od fanów. Wszedł znowu na stronę Drozia i kliknął na zakładkę „koncerty”.

Ostatni odbył się dwa miesiące temu, nie było żadnych

nowych zapowiedzi. Napisał na adres wydawnictwa muzycznego, że prosi o kontakt z Droziem w bardzo ważnej sprawie.

Jestem psem, którego odpychają nogą, a on ciągle się łąsi, pomyślał.

Z klatki schodowej dobiegał spokojny, rzeczowy głos ojca, objaśniającego robotnikom podstawy glazurnictwa. Gabriel wyłączył komputer i położył sobie na twarzy chłodne dłonie. Ulga dla oczu. Opuścił ręce, spojrzął za okno i oniemiał.

Był zimny październik, godzina trzecia po południu i mewy - czy też rybitwy? - zerwały się do lotu na południe. Nadleciały nad osiedle Gabriela. Ogromne, białe ptaki krążyły wśród bloków, kreśląc w powietrzu szerokie spirale, przypominały mieszkańcom o wielkich i dalekich sprawach, o morzach i Południach. Jesteśmy w drodze, mówiły. Gabriel ujrzał biały kształt, który zawisł przed oknem. Czemu mewy zaglądały do okien?

Nióśł je przecież głos wielkich odległości. Czego szukały na osiedlu?

Białe ptaki wyglądały, jakby chciały ostrzec: nadeszła godzina, albo jakby szukały czegoś, co zostało tu zgubione. Wyglądały jak najazd baśni na codzienny świat. I na chwilę odmieniły rzeczywistość osiedla.

**G**abriel wybiegł z domu, wsiadł na rower i jechał jak mógł najszybciej pod krążącymi nad miastem ciężkimi, białymi ptakami. Wszystko opowie. Pełen podziwu Drozio przekaze siostrze, że teraz chudy chłopak dałby radę ją

obronić. „To ty jesteś Strażnik Parku? - zawoła raper. - Ale jaja!”.

- Mieszkanie wystawione na sprzedaż - powiedział strażnik w budce. - Puste stoi.

Przejechał wzdłuż ogrodzenia. Widział w oddali jej balkon. Pamiętał, jak na nim siedzieli, gadali o wszystkim i niczym, śmiali się.

Wyjął telefon i wyświetlił zdjęcie Soni.

Ja też tam byłem, nocą w parku. I mnie też skrzywdzono. Ale ja nikogo nie obchodzę. Mnie nie wolno uciec ani zwariować. Głupia cipa.

Usuń wybrane zdjęcie.

Usunąć?

Tak.

**P**rzyszły matka z Olą i rozpoczęły się przygotowania do wieczornej imprezy. Ojca opuścili robotnicy, ogłaszając fajrant, więc wrócił do mieszkania i uprał wszystkie skarpety, jakie znalazł. Powiesił je na linkach suszarki i łazienka zmieniła się w mroczną jaskinię, z której sufitu zwisały dziesiątki czarnych i brązowych nietoperzy, chwiejących się niepokojąco nad głowami domowników.

Gabriel nie mógł wytrzymać w samotności, więc poszedł pomagać mamie. Kroił sery i układał je na tacy, potem odpakował wędzonego łososia, skrzywił się od mocnego zapachu uwięzionych w plastiku czerwonych plastrów.

Przed dwudziestą korytarz rozbrzmiał powitalnymi okrzykami i cmokaniem wymienianych w powietrzu

pocałunków. Gabriel obserwował serdeczności z bezpiecznego dystansu, ale nie umknął przed uściskami pachnącej jaśminem siostry matki. Gucio ujadął w łazience. Bardzo chciałby pogryźć wieczornych gości.

Wujek Romek podniósł palec.

- Szwagier, włączaj telewizor, zaraz się zacznie.

Ojciec przyniósł z lodówki piwo.

- Mężczyźni plus mecz równa się piwo! - powiedział i przeniósł się z wujkiem na kanapę, żeby wygodniej im się oglądało i żeby siedzieć dalej od mówiącej nieustannie cioci. Gabriel patrzył na ojca. Wiktor Róziewicz nigdy nie interesował się piłką nożną, ale teraz podskakiwał z wujkiem na kanapie i okrzykami witał gol dla Legii.

- O, jak biegają za piłeczką! O, jak biegają! - kiwała ciocia, pogryzając słone paluszki, a matka śmiała się.

W przerwie otworzyli kolejne puszki, syk i klaśnięcie, stuknęli się i wrócili do stołu.

Wujek Romek był adwokatem i opowiedział o swojej złej przygodzie. Od roku prowadził sprawę faceta, którego podano do sądu za niepłacenie firmom. Wujek wygrał dla niego jedną rozprawę, w dwóch doprowadził do ugody.

- To znaczy on był niewinny, zapłacił im? - spytała mama Gabriela. Ojciec prychnął, a wujek spojrział na nią łagodnie.

- Powiem tak, Klaudia: to żadna sztuka bronić niewinnych. W zeszłym tygodniu zadzwoniłem, żeby upomnieć się o wynagrodzenie. I co ta świnią mi mówi? Panie mecenasie, nie jestem skłonny panu zapłacić! Żebyście widzieli, ile się naślęczałem nad obroną tej kanalii!

- Może wystarczy wujkowi satysfakcja zawodowa? - spytał Gabriel.

- Gabryś, ty mnie nie denerwuj nawet. O rany, nie cierpię tej baby, weź szwagier przełącz.

Ojciec wziął pilota i zmienił kanał na TVN24.

- Brawa dla Polmana! Czekamy tylko, aż weźmie się za politykę i aferzystów - powiedział prawicowy polityk, w śmiechu trząsł policzkami, świecącymi od potu.

Jakbym miał za mało do roboty, pomyślał Gabriel.

Gospodarz programu, z fryzurą, która jeszcze podkreślała prostokątny kształt głowy, uśmiechnął się oszczędnie. Miał ciekawie horyzontalny uśmiech, kąciaki ust nie szły do góry, tylko na boki.

- Panie profesorze? - powiedział i na ekranie pokazał się dyżurny socjolog. Przestał pociągać za wyblakłą brodę i uniósł dziwnie wygięty palec wskazujący.

- Człowiek, który nazywa siebie Strażnikiem Parku, jest symbolem naszej porażki, naszej porażki w zapewnieniu bezpieczeństwa zwykłym ludziom.

Gabriel wpatrywał się w twarze rodziny i czekał.

- Dokładnie, to nie Dziki Zachód - powiedział wujek. - Szeryf się znalazł.

- Wstyd ci, że jakiś mężczyzna ma jaja, żeby porządek zrobić! - ciocia była wciąż zła, że mąż ignorował ją podczas meczu. - Jak byliśmy w kinie i ci gówniarze gadali, słowem nie pisnąłeś.

- A tam gadali, coś tam szepnęli, a ta od razu histeryzuje.

- Na całe kino wrzeszczeli!

- Oj, porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym - powiedziała mama.



- A czemu ty uciekać chcesz od przykrych tematów? - Dawno nie widział tak zamrozonego ojca. Pił tylko od święta, właściwie zawsze z wujkiem. Pewnie znowu będzie jęczał i wymiotował w nocy. - To się dzieje i nie wolno chować głowy w piasek. Wiecie, czemu Temida, grecka bogini mądrości, ma opaskę na oczach?

- Bo sprawiedliwość jest ślepa - odparła matka.

- Dokładnie - powiedział ojciec, zawiedziony, że zagadka okazała się taka łatwa. - Mitologia w ogóle bardzo często posługuje się symbolem, żeby coś nam przekazać. Jeśli stworzyliśmy system prawny, no to przepraszam, on obowiązuje. Nie może być tak, że pierwszy lepszy bierze pistolet i wychodzi na ulicę.

Nagle odezwał się Gabriel, patrząc ojcu w zamglone, pływające oczy.

- Przecież zawsze mówiłeś, że trzeba być mężczyzną i walczyć, kiedy ktoś chce cię skrzywdzić. Bo jak uciekniesz, to nie będziesz mógł spojrzeć w lustro całe życie.

Ojciec odwrócił wzrok i machnął ręką.

- Synku, samosąd to jest barbarzyństwo, już w Sparcie inaczej takie sprawy załatwiali. Nie rozumiałeś, o co mi chodziło.

- No to o co ci chodziło?

- Lekcje odrobione? - zażartował wujek.

- O co ci chodziło, tato?

- Nie ma już łososia? - spytał ojciec.

- Tato. To o co ci chodziło?

- Oj, coś ty się tak do mnie przyczepił? Jak będziesz w naszym wieku, to zrozumiesz. Od takich rozwiązań to się faszyzm rodzi, a motłoch znalazł sobie bohatera.

Gabriel opuścił wzrok na geometryczne kwiaty, pokrywające obrus.

- Ciekaw jestem, co byś powiedział, gdyby jakieś bandziory kopaly cię po głowie w jakimś ciemnym zaułku i nagle on by się pojawił - powiedział w końcu. - Uniósł-bys zalaną juchą twarz i przez powybijane zęby wycedził: „Panie Strażniku, proszę się nie wtrącać, od pańskich rozwiązań rodzi się faszyzm!”.

Wszyscy umilkli. Ojciec spojrział na syna nagle lodowatym wzrokiem.

- Daj spokój, szwagier, młodzi lubią sobie ideała znaleźć - powiedział wujek.

Gabriel miał ochotę wziąć ze stołu nóż i wbić go w gardło adwokata. W piersi pieściła mu się nienawiść.

Wstał i powiedział:

- Przynajmniej młodzi widzą, że coś jest nie tak w zarabianiu pieniędzy na bronieniu oszustów. Państwo pozwolą, że się oddalę, bo muszę zwrócić kolację.

W korytarzu zamknął oczy, zacisnął pięści i uderzył głową w ścianę. Ciszę w dużym pokoju przerwał łagodny głos matki.

- Ja tam uważam, że trzeba nie zajmować się tym, jaki świat jest okropny, tylko samemu być w porządku. Tak też naucza buddyzm. Boksowanie się z kupą to nie metoda, trzeba sadzić fiołki.

Gabriel leżał na łóżku i słuchał, jak rodzice żegnają się z ciotką Ireną i wujkiem Romkiem, jak zamykają drzwi i ojciec porusza kilkakrotnie klamką, sprawdzając, czy dobrze zakręcił zasuwkę. Conocny rytuał. Potem słyszał, jak Wiktor Róziewicz wymiotuje w łazience i ciężko idzie do sypialni.

I Gabriel wyszedł z domu.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, ojciec chwiejnie uniósł głowę z poduszki i zaczął nasłuchiwać.

Noc tętniła odległymi okrzykami. Stolica świętowała zwycięstwo swojej drużyny. Chudy chłopiec w masce zwierzęcia nie śpiewał. Jechał przed siebie na białym rowerze. Nasłuchiwał. Kierował się tam, skąd dobiegało wycie kibiców. Kiedy śpiewają swoje hymny, nie jest to ani śpiew radosny, ani smutny. Tylko takie ryczenie. Nie wiadomo o czym i po co. Słyszać było brzęk tłuczonego szkła.

Był coraz bliżej. Teraz słyszał głucho uderzenia: bam, bam, bam.

Za zakrętem, przy pozbawionym szyb przystanku, zobaczył grupę kilkunastu kibiców. Niektórzy trzymali łańcuchy pozrywane z przydrożnych słupków. Trzy katastrofy genetyczne kopały z rozpędu słup ogłoszeniowy.

Wiele przy tym było śmiechów i okrzyków. Ma słup za swoje, co tak stoi bezczelnie. Któryś uniósł nad głowę płytę chodnikową i rzucił w ostatnią szybę na przystanku. Szyba rozprysła się w tysiące kanciastych diamentów, które jak wodospad przeleciały przez snop światła z latarni.

Gabriel przystanął w ciemności. Zsunął maskę na włosy i schował ją pod kapturem.

Na uboczu wrzeszczącej grupy stał kibic w biało-czerwonej, błazeńskiej czapie, pod zaczerwienioną twarzą patriotyczny szalik. Obok niego narzeczona w zaawansowanej ciąży, z wielkim brzuchem. Coś mu tłumaczyła.

W odpowiedzi kibic popchnął ją ręką, w której trzymał kij bejsbolowy, ale lekko, hamował się. Tylko pokazywał jej, że nie ma żartów.

- Czego ty tak sapiesz ciągle? - spytał.

- Bo ciężko mi iść - odpowiedziała.

- Wkurywiasz mnie tym swoim sapaniem, rozumisz? Śpiewaj z chłopakami, tu bawimy się!

- Chodź do domu już.

- Kurywa, nie idziemy do domu, zabawa jest, ślepa jesteś? Wy-gra-li-śmy!

- Czemu wy psujecie miasto? - spytał młody głos.

Grupa ucichła. Spoczęły na nim nierozumiejące spojrzenia. Bez maski wyglądał na młodszego, anemiczny chłopczyk. Zostawił rower za rogiem i stał przed nimi z kapturem na głowie, z rękami w kieszeniach szarej bluzy.

- A ty komu kibicujesz? - wrzasnął kibic w patriotycznej czapie.

- Nie interesuję się piłką nożną. Interesuję się za to tym, czemu z okazji zwycięstwa warszawskiej drużyny niszcycie Warszawę. Przecież to debilne.

- Co to za gej? - dopytywał się chuligan, który stał z tyłu i nie widział, co się dzieje.

- Nie boisz się nas? - spytał kibic w czapie, podchodząc bliżej. Jego narzeczona złapała się za brzuch i zrobiła parę kroków do tyłu, tymczasem Gabriel zauważył, że pięciu kibiców z łańcuchami zaczęło go okrążyć.

W świetle latarni błyszczały ich łby. Pozostali stali z tyłu, spluwali, rozglądali się, jeden rzucił płytą o chodnik, zaczęli podnosić kawałki, podrzucali je w grubych dłoniach.

- Widzisz, mutancie - powiedział Gabriel. - Zabrano mi nadzieję, a za nią poszedł sobie strach.

- Spierdalaj - powiedział kibic w czapce. - Bo ci łeb urwę i wyjebię w szyję.

- Osobliwe preferencje erotyczne. Posłuchaj, wy zawsze udajecie, że są tylko dwie możliwości. Pieniądze albo życie. Tymczasem możliwości jest zawsze więcej. Można jeszcze krzyżeć, można walczyć, można spokojnie odejść. W życiu nigdy nie ma tak, że są tylko dwie możliwości.

Któryś z tyłu nie wytrzymał tej przemowy i rzucił kawałkiem płyty chodnikowej, Gabriel usunął się. W dwa ognie akurat grał nieźle, był drobny i trudno go było trafić. Beton uderzył w ścianę, odłupując tynk.

- Pudło - powiedział Gabriel, lewą ręką sięgnął pod kaptur i zsunął maskę na twarz, w prawej trzymał pistolet wycelowany w twarz chuligana w czapie.

- Kurwa, to ten pojeb Polman! - zawołał któryś kibic.

Wskazujący palec Gabriela pogłaskał spust Glocka 17. Przez otwory w masce widział czerwony, wściekły ryj, muszka zlewała się ze szczerbinką akurat w miejscu, gdzie łączyły się ze sobą jasne i rzadkie brwi.

Jeden kamyczek spadnie z umęczonego serca świata. Niech się tylko ruszy.

I tamten ruszył się, odwagi dodawały mu alkohol i zwycięstwo Legii, w taką noc wszystko musi się udać.

Uniósł kij i zrobił krok do przodu. Gabriel poczuł, że się uśmiecha, kiedy palec zaczął naciskać ustępujący łagodnie spust, i nagle jego ręka poleciała w bok, huknął

strzał, a mięśnie ścisnęły się od bólu, to pawian z prawej uderzył go łańcuchem, wszystko przez ograniczone maską pole widzenia. Chuligan w błazeńskiej czapce padł na kolana.

Strzał przeraził kibiców, ile już razy Gabriel to widział, zerwali się do ucieczki jak podłe, błotne ptactwo zrywa się na strzał myśliwego. Ból wyłączył myślenie, nareszcie wściekłość kierowała jego ruchami, odwrócił się w prawo i zdążył strzelić w rękę ponownie unoszącego łańcuch pawiana, który z jazgotem złapał się za dłoń. Brzęczący łańcuch opadł na chodnik, a jego płaczący właściciel, oszalały z bólu, odwrócił się i biegł przed siebie. Siedem kul, fajnie, szczęśliwa liczba, pomyślał Gabriel.

Na placu boju został tylko kibic w patriotycznej czapce błazna. Uciekał na czworaka, wypinając szeroką dupę, przed nim biegła dziewczyna w ciąży, wciąż trzymając się za rozkołysany brzuch. Gabriel sapnął ze zniecierpliwieniem.

- Nie biegnij, w ciąży jesteś! Nic ci nie zrobię. Nie możesz biegać.

Chyba go nie słyszała. Gabriel pokręcił głową. W oknie na parterze dostrzegł jakiś ruch.

Za nędznymi firankami stał staruszek w piżamie, trzymał drżące, zaciśnięte pięści na wysokości klatki piersiowej. Widać zasiedziało się nad swoim pismem do administracji i do okna zwabił go dźwięk wystrzału. Kiedy zauważył, że nocne zwierzę na niego patrzy, uniósł prawą dłoń z palcami ułożonymi w znak zwycięstwa.

Zbliżała się policyjna syrena. Gabriel wzruszył ramionami i pobiegł do roweru.

Pędził na rowerze przed siebie, całymi kilometrami.

Zatrzymał się na chwilę, zdjął maskę ze spoconej twarzy i jechał dalej, nie wiedząc dokąd. Nigdy przedtem nie był tak blisko. Kim jest, jak to się skończy? Gdzie jest koniec nocnej samotności? Było coraz ciemniej. Czy to już przedmieścia?

Opadł z sił i zatrzymał się. Oparł głowę o kierownicę i głośno oddychał. Długo kaszłał. Wciągnął lekarstwo z inhalatora. Zimny wiatr przepędził z czoła strużki potu. Rozejrzał się.

Wokół niego były wzgórza placu budowy, który porósł trawą, nikt na nim nic nie budował, pewnie bankructwo, a dalej tylko jeden blok, który pozostał z planów całego osiedla, i światło w jednym oknie. Noc tak ciemna, że ściany bloku nie odróżnisz od nieba, a na prawo i do góry bardzo cienki skrawek olśniewającego księżyca, więc tylko: czern, wiatr, prostokąt światła i świetlny sierp.

Kilkanaście metrów dalej samotny przystanek, tylko ławka i słup z symbolem autobusu. Ktoś tam siedział. Dwie osoby. Gabriel podjechał cicho. Słyszał ich, oni nie słyszeli jego. Widział ich, oni jego nie widzieli.

Siedziało ich dwóch na przystanku, jeden wielki, o ogromnych łapach, drugi mały i zasmakany, z rzadkimi włoskami i wielkim guzem na skroni. Dobrani na zasadzie kontrastu zupełnie jak robotnicy z klatki schodowej. Mały skarżył się płacząco, że nie ma skarpetek. Nawet uniósł nogawki i pokazał chude, gołe łydki nad brudnymi adidassami.

- No to co, ty nie wiesz, ja mam mnóstwo skarpetek do oddania! - powiedział wielki, wyciągając przed siebie

czarne półbuty o startych obcasach. Rzeczywiście miał na nogach niebieskie skarpetki.

- Ja to nie jestem tak bogaty, kurwa, na skarpetki - narzekał mały. - Na zapalki nawet, kurwa, nie mam.

- Ale mi chodzi, że przecież ci mogłem oddać, czego nie mówisz, kurwa.

- Co ja ci, mówić mam? - klócił się mały.

- No co, kurwa, to ja mam się pytać, czy ci skarpetki potrzebne?

Mały pozzrzedził pod nosem i zniknął w ciemności.

Gdy wrócił, wielki, trochę już przysypiający, uniósł głowę.

- Siusiu byłeś?

- Co?

- Na siusiu poszłeś?

Odpowiedź była niezrozumiała.

- Aha - mruknął wielki.

- Do domu chodź - odezwał się mały po chwili milczenia.

- Nie - odpowiedział znowu zasypiający kompan.

- Do domu chodź, no mówię ci. Co ten, kurwa, autobus nie jedzie, spóźnia się, chuj jeden.

- Chuj jebany - mruknął wielki, widać siarczyste przekleństwo dodało mu energii i trochę obudziło.

- Chodź do domu.

- Nie mogę, kurwa, nie idę do domu. Co z tym autobusem?

- Nie martw się. Przyjedzie, no popatrz, za dziesięć minut będzie. Będzie autobus, nie martw się. - Mały rzucił okiem na dziecięcy, elektroniczny zegarek na nadgarstku. Potem spojrział na jezdnię. Gabriel cofnął się jeszcze



trochę w mrok. Dwa okrągłe, żółte światła w ciemności. Dwóch pijaków w ciemności. - No patrz, jest już. No to jedziesz?

- Tak.

- Ja też tak.

Pusty autobus zatrzymał się na przystanku. Potem ruszył. A oni wciąż siedzieli na ławce.

Przynajmniej mają siebie, pomyślał Gabriel. A ja jestem sam. Noc przełamała się, nadchodził świt.

**K**tórejś nocy uratował chłopaka w swoim wieku. Chłopak był trochę otyły, nosił prochowiec i okulary. Nazywał się Marek. Od czasu do czasu pykał nosem, taki dźwięk jak cichutkie chrząknięcie, pfy, jakby przez całe życie coś mu w nosie przeszkadzało i chciał to wydmuchnąć. Mówił, że to przegroda.

Zaczęli rozmawiać. Świetnie się rozumieli. Marek cały czas żartował, ze zmęczonym cynizmem. „Jestem typem dość marzycielskim, i niedawno dowiedziałem się, dlaczego. Ojciec wyznał mi, że podczas dającego początek mojej istocie stosunku z matką wyobrażał sobie inną kobietę!”.

Marek został prawą ręką Gabriela. Kupił jakąś komiczną maskę, z której potem Gabriel się naśmiewał. Wymyślił sobie przydomek Electronic Razor. Razem jeździli po mieście i walczyli ze złem. Gabriel czasem mówił: „jesteś bardzo podobny do mojego przyjaciela z podstawówki, który musiał wyjechać do Ciechocinka. Na pewno nie nazywasz się Jacek?”. „Wypraszam sobie. Nazywam się

Marek”. Raz powiedział: „No cóż... domyślasz się chyba prawdy?”. Ale tajemnica pozostała nierozwiązana.

Marek był magikiem od elektroniki, opracowywał różne gadżety: podsłuchy, paralizatory, strzelające długopisy, które potem zawsze wybuchały albo coś i więcej z nimi było kłopotu niż pożytku. Był też hakerem, włamał się na serwis policyjny i odszukał Mariusza Bazika.

Razem stali i patrzyli, śmiejąc się, jak tłusty chuligan tonie w wiejskim wychodku, wołające o pomoc usta zatkane odchodami. Potem przyczepili go liną do zderzaka samochodu. Ciągnęli wijącego się gnoja po asfalcie, na ulicy zostawała krew i zdarta skóra.

Pewnego dnia Marek zniknął, w tajemnicy przed przyjacielem wyjechał do Gdańska, odszukał Sonię i przekonał ją, żeby wróciła.

„Moja droga jest samotna”, odpowiedział Gabriel dziewczynie, która błagała go o drugą szansę.

**P**od Uniwersamem kupił tani telefon i zestaw startowy Era Tak Tak. W ten sposób otrzymał nowy numer, w żaden sposób z nim niepowiązany.

W kafejce internetowej zarejestrował adres e-mail: [straznik.parku@gmail.com](mailto:straznik.parku@gmail.com). Co chwila musiał zerkać, czy sąsiad, nastolatek w czapce z daszkiem, nie patrzy mu na monitor. Nastolatek przeglądał strony pornograficzne, ale najwyraźniej nie zaspokajało to jego ciekawości świata.

Gabriel napisał z nowego adresu do redaktor Mikolajewskiej. Przytoczył okoliczności rozmowy telefonicznej, żeby nie miała wątpliwości, że pisze do niej prawdziwy

Strażnik Parku, mylnie nazywany Polmanem. Poprosił o opublikowanie adresu w gazecie, żeby wszyscy, którzy potrzebują pomocy, mogli się do niego zgłaszać.

Następnie stworzył profil Strażnika Parku na portalach społecznościowych, na Facebooku, Gronie i Naszej Klasie. Opublikował listę poszukiwanych, na której tylko jedno imię i nazwisko było prawdziwe. Mariusz Bazik.

Resztę zmyślił: Marian Jarzębski, Wojciech Surman, Piotr Gałuszko. Prosił o zgłoszenia na email. Pomyślał, że telefon poda dopiero po pierwszym kontakcie.

Na trzynastu darmowych stronach z ogłoszeniami opublikował wiadomość, że poszukuje Bazika, podał rysopis i ostatni znany adres.

Może był samotny i stracił wszystko. Ale sprawiedliwość zostanie wymierzona.

Nie stracił wszystkiego.

Miał swój tajny skarb.

Wielką nienawiść do kogoś, kto zniszczył jego życie.

**T**rzydziestego października patrolował Śródmieście. Warszawska noc zadrzała od muzyki, dzwonek, okrzyków. Z wiaduktu zaczęły zsuwać się drobne światła, coraz więcej i więcej, aż w końcu ruszyły niekończącym się strumieniem. To były setki rowerzystów, którzy w ostatni piątek każdego miesiąca organizowali przejazd nazywany Masą Krytyczną. Tak walczyli o swoje prawa. Bo zarząd miasta faworyzował właścicieli samochodów.

Zauważyli przyglądające im się dziwne zwierzę z lasu.

- Jedź z nami! - wołali do Strażnika Parku, samotnego na białym, starym rowerze.

Udał, że nie widzi zapraszających gestów i nie słyszy zachęcających okrzyków, opuścił wzrok, podrapał się po głowie.

Ruszył w przeciwną stronę.

Jednym pasem jechało ponad czterystu rowerzystów w kierunku południowym. Przesuwająca się masa świateł, młodych ludzi i muzyki.

Drugim pasem jechał on.

W kierunku północnym.

## Rozdział 7

**K**iedy następnego dnia po upublicznieniu adresu mejlowego poszedł do kafejki i otworzył swoją skrzynkę, znalazł w niej 137 wiadomości. Spędził godzinę na lekturze, aż rozbolała go głowa i oczy zaczęły łzawić.

Było dużo gratulacji i wyrazów podziwu. „Jesteś super, kocham cię. Jakbyś miał ochotę poklikać, podaję moje GG”, pisała Kicial7. „Proszę o odpowiedź, mam 16 lat i też chcę zostać zamaskowanym mścicielem, ale mieszkam w małym miasteczku, proszę napisz, jak to zrobić”.

Trochę kpin. „Pojebana kukło wpadnij do mnie na oś to zobaczymy jaki z ciebie kozak”, ale adresu nie było. „Weź człowieka dorośnij, zanim ktoś ci krzywdę zrobi. Nie chcę, żeby moich dzieci bronił gość, który nie ma kontaktu z rzeczywistością. Życie to nie komiks”.

Prośby o pomoc pisali głównie wariaci. „Kiedy pan się zabierzesz wreszcie za żydów to może będzie można żyć normalnie w tym kraju. Tuske miał dziadka w Wehrmachcie czemu nikt się za to nie weźmie”. „Grażyna Łubiarz wzięła zwolnienie lekarskie a tymczasem ku oburzeniu

ciężko pracujących koleżanek pracuje na szaro a podatnicy płacą ze swojej kieszeni, tymczasem rzekomo chora pije i cieszy się życiem”. „Sąsiad Andrzej Konopka jest to stwierdzone brat cioteczny zmarłego papieża utrzymuje kontakty z niewyjaśnioną cywilizacją kosmiczną, promieniami laserowymi stara się zatruć wodę na całym osiedlu przy ulicy Marco Polo”. Znalazł parę konkretnych skarg na chuliganów, terroryzujących podwórka i parki, ale tonęły one w morzu bełkotu. Jakiś chłopiec skarżył się, że biją go koledzy. „Starsza Warszawianka” narzekała na młodzież, która do późna pije alkohol przed blokiem. Był zdumiony, że kiedy bezpośrednio odezwało się do niego społeczeństwo, zabrzmiało jak stugębny, bełkotliwy szaleńiec.

Dostał wiele próśb o udzielenie wywiadu. Reporter z Superstacji oferował mu dwadzieścia tysięcy za pojawienie się w zaciemnionym studiu lub w miejscu, które sam wybierze, a jego twarz „naturalnie zostanie wypikselowana”. Kusily go te pieniądze. Tylko jak by to miało wyglądać? Chyba że pojawi się w masce i nie będzie jej zdejmował. Ale wtedy będą mieli nagranie głosu, może puszczać zniekształcone, ale gdzieś tam będzie zapisane prawdziwe.

Odpisał tylko na prośbę o wywiad do rubryki „Męska końcówka” w „Wysokich Obcasach”. Matka czytała ten weekendowy dodatek. Wydało mu się zabawne, że przeczyta wywiad z synem, nawet o tym nie wiedząc.

Poprosił więc o przesłanie pytań i zaznaczył, że w artykule musi występować jako Strażnik Parku, a nie żaden Polman czy Polski Batman.

Nikt nie napisał mu o Mariuszu. Może ludzie, którzy znali Bazika, nie zaglądali do Internetu. Żyli w realnym świecie.

Kiedy czytał otrzymaną pocztę, przyszło dwadzieścia parę nowych wiadomości. Zaklął, przejrzał je naprędce i wylogował się z konta.

Wszedł na swoją stronę na Facebooku. Sześć tysięcy osób prosiło o dołączenie do grona przyjaciół. Gdyby teraz chciał wyprawić osiemnastkę, musiałyby wynająć Salę Kongresową w Pałacu Kultury.

Nad listą poszukiwanych dopisał, że z uwagi na dużą liczbę korespondencji prosi o wpisywanie w temacie wiadomości „POSZUKIWANI”.

Wychodząc, spojrzął na właściciela kafejki. Bez zainteresowania czytał pismo o samochodach. Oczywiście nie legitymował klientów, ale może miał jakiś sposób, żeby sprawdzić, na jakie wchodzą strony.

**N**a przełomie października i listopada nastaly dni silnego wiatru, który chłostał poblądle z zimna ulice miasta, mroził mury domów i tramwajowe szyny. Ojciec coraz częściej wcześniej wracał z pracy, próbował tresować nieposłusznego Gucia, siedział na klatce schodowej i pilnował nieudaczných robotników, tropił plującego w windzie lokatora albo po prostu siedział w salonie i oglądał popołudniowe powtórki starych programów.

Program o stylu prowadziła żona byłego prezydenta Polski, Jolanta Kwaśniewska. Rozmawiała z piosenkarką

Natalią Kukulską, która zaczynała karierę jeszcze jako puciołowata dziewczynka w okularach, a teraz zmieniła się w gibką zmysłową panterę i nawet nagrała płytę *Sexi Flexi*, żeby widzowie zapomnieli o wyglądającej na kunkę dziewczynce. Jakby chciała powiedzieć: to nie bylam ja. Kim zatem była ta opuszczona dziewczynka? Została w przeszłości sama, jak sierota.

- Natalko, czy ty pamiętasz, jak wyglądały twoje pierwsze dzinsy? - spytała pani prezydentowa.

- Hahaha! Słyszałeś? - zawołał ojciec do Gabriela, który akurat wrócił ze szkoły.

- Jak wyglądały twoje pierwsze dzinsy - powtórzył Gabriel z korytarza. Gucio warczał na niego z ustawionych w szafce butów.

Ojciec wyszedł z pokoju, nie przestając mówić i poruszać rękami.

- Paul Nipkow, Karl Ferdinand Braun, a także, o czym zbyt często zapomina zagranica, Jan Szczepanik, nauczyciel z Krosna zwany „polskim Edisonem”! Naukowcy nie spali po nocach, porwani wielką, nowatorską ideą, nie dojadali, wciąż pracowali, żeby osiągnąć niewyobrażalne: przesłanie obrazu na odległość! I po co? Żeby jedna baba mogła spytać drugą, czy pamięta pierwsze dzinsy.

- No i co z tego?

- Tylko pomyśl: naukowiec w olśnieniu i ekstazie przesyła obraz na odległość po raz pierwszy w historii cywilizacji. A dzisiaj: czy pamiętasz swoje pierwsze dzinsy?

- Widać ludzie nie zasługują na nic lepszego.

I zostawił ojca w korytarzu.



Miał na głowie sprawy ważniejsze niż zniewaga dla wysiłków Jana Szczepanika z Krosna. Gazety pisały, że szuka go policja. W opisach miał około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, był dość tęgi, nosił bluzę z kapturem i maskę niezidentyfikowanego zwierzęcia. Poruszał się na białym rowerze nieznaney marki.

Usiadł za biurkiem i włączył komputer. Wciąż bolała go prawa ręka, w którą uderzył kibic. Na skórze rozlał się wielki siniak, fioletowy i żółty. Śmieszna sprawa z tym bólem. Ból to nagle poczucie, że mamy ciało, o czym zwykliśmy zapominać. Niepozorny ząb, górna szóstka, nagle zaczyna istnieć, kiedy zaczyna boleć. Obszar bólu powiększa się, staje się istotnym miejscem na mapie ciała i świadomość często go odwiedza. Stłuczony palec u nogi ma wielkość głowy. Tak jest, kiedy coś boli. I tak jest, kiedy czujesz rozkosz. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz odczuwał cielesną przyjemność.

Kiedy wszedł na stronę „Gazety Wyborczej”, powitał go wielki tytuł: „Policja złapała Polskiego Batmana”.

Zdjęcie łysiejącego mężczyzny z zasłoniętymi oczami.

*Sławomir R. zgłosił się wczoraj na komisariat na Mokotowie. Wyznał, że to on nocami pomagał ofiarom przemocy. Miał go skłonić do tego sam Jezus Chrystus, który objawił się w Łagiewnikach. „Nie pokój nam przyniósł, ale miecz!”, powiedział pan Sławomir. Policja nie znalazła przy nim broni. Zatrzymany twierdzi, że schował pistolet w jednym z warszawskich kościołów. Pod aresztem ustawila się niewielka pikieta warszawiaków, żądających wolności dla nocnego mściciela. Czytaj dalej: konferencja prasowa z inspektorem Piotrem Walickim.*

Zamiast konferencji przeczytał notkę o dresiarzach, którzy, nomen omen, w parku Dreszera skopali biegacza na oczach dziecka i ochroniarzy z firmy Lampart.

Ciekawe, że młoda żulia zawsze lubi pić na placu zabaw. Schodzą się tam, gdzie prowadzili ich rodzice, gdy byli mali, tylko teraz zabawy mają inne.

Pod artykułem internauci dyskutowali o nieudolności stróżów prawa. „Zadzwonisz na policję, odesłają cię do straży miejskiej, zadzwonisz do straży, to powiedzą, że to teren prywatny. Może czas, żeby nasze podatki szły na pensję dla Polmana, a nie na tchórzy i nierobów?”.

Gabriel dodał komentarz. „Kiedy wreszcie kretyni naucycie się, że on nazywa się Strażnik Parku?”.

Położył pistolet w wysuniętej szufladzie biurka, rozebrał i zaczął go czyścić według znalezionych w sieci instrukcji. Trzeba dbać o narzędzie śmierci. Szanować je, żeby cię nie zawiodło. Nagle otworzyły się drzwi. Zasuwał szufladę tak szybko, że przyciął sobie palec. Ojciec położył przed nim wielki arkusz czarnego papieru i kartkę z technicznym rysunkiem.

- Nudzisz się, to weź mi pomóż, zrobisz cylinder dla bałwanka.

- Co takiego?

- No przecież Ola ma ten bal maskowy w przedszkolu. Wymyśliłem jej strój bałwanka, uszyłem z białego materiału i watą wypycham, a czasu mało. Tu masz schemat. Nożyczki i klej. Przydaj się na coś.

Ojciec wyszedł. Gabriel zaklął i wziął się do wycinania z arkusza kształtów, zaznaczonych przez ojca przerywaną linią. Praca nad cylindrem zabrała mu godzinę.

Wreszcie wstał od biurka, wziął lepkimi od kleju rękami papierowy kapelusz i zaniósł ojcu, który siedział w salonie i zszywał korpus bałwanka.

- Krzywy, ale można z grubsza stwierdzić, o co chodzi - powiedział ojciec. - Rzemieślnikiem to ty synku nie będziesz.

W nocy w parku Dreszera nic się nie działo. Jak wszędzie wiał zimny wiatr. Gabriel zatoczył parę kółek wokół nieczynnej fontanny.

- Gdzie twoja woda? - spytał.

Nadeszły Zaduszki i wybrali się całą rodziną na Cmentarz Bródnowski, do dziadka. Ola biegła aleją, czerwonymi bucikami roztrącała pożółkłe liście, wypatrywała nieobecnych wiewiórek i śpiewała ułożoną przez siebie piosenkę:

*Posprzątaszki te grobuszki,  
położymy też kwiatuszki!*

Nad grobem swojego ojca Wiktor Rózewicz przeżegnał się czerwonymi z zimna dłońmi, złożył je i stał w swoim szarym płaszczu, w sztywnej pozycji niewierzącego, ale szanującego tradycję inżyniera. Babcia Wala obrzuciła nieprzychylnym spojrzeniem sąsiednie groby.

- Te snoby jakie sobie mauzoleum walnęły - powiedziała. - Myślałby kto, że papież tu leży.

- A mama nie przeżegna się chociaż na grobie własnego męża? - spytał ojciec babcię.

- E, niedługo się i tak nagadamy. - Babcia Wala machnęła ręką. - A ty, Gabrielu, modlisz się?

- Modłę się, babciu.

- Dobrze. Bo to wiesz, modlitwa pomoże nie pomoże, ale i nie zaszkodzi. Co ta stara się z takim wieńcem tam tarabani?

Widzisz, dziadku? Odwiedziłem cię. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony, pomyślał Gabriel.

- Jest! - krzyknęła Ola. Zza dębowego pnia wyrżał rudy pyszczek ze sterczącymi uszami. Wiewiórka zaburzyła poważny nastrój. Trudno się modlić i myśleć o śmierci, kiedy po gałęziach skacze rude zwierzątko.

Zaczęli wracać, babcia narzekała na zimno. Gabriel szedł ostatni. Myślał o tym, że ci, którzy leżą w jamach, którzy łączą się z ziemią, rozumieją go lepiej niż wszyscy żyjący. Czuł, jakby dzielił z nimi język. Język śmierci.

Odwiedzi ich tej nocy. Powietrze znieruchomiało, powoli wirowały w nim pierwsze płatki śniegu.

Po powrocie do domu zjedli gorący rosół przed telewizorem. Spiker ogłosił, że podający się za Strażnika Parku Sławomir R. został zwolniony z aresztu i przekazany do kliniki psychiatrycznej, z której uciekł dwa tygodnie temu. Policja w całym kraju ma nowe zgłoszenia od ośmielonych zdemaskowaniem uzurpatora prawdziwych Strażników Parku. „Teraz, kiedy wyszło szydło z worka, mogę

się wreszcie ujawnić”, powiedział nastolatek w za małej masce lisa. Według napisu na ekranie, był to Jerzy Trojanowski z Nowego Sącza. „Dojeżdżałem do Warszawy pociągiem, żeby zrobić dobro”.

- Psychoza ten kraj ogarnia - powiedział ojciec, stuknął o stół lśniąca od tłuszczu łyżką, sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.

Po obiedzie nastąpiła prapremiera kostiumu bałwanka. Ola wdziała uszyty przez ojca kombinezon, zawiązała czerwony szalik i nałożyła na głowę papierowy cylinder.

Nie mogła odejść od lustra. Z uśmiechem, z błyszczącymi oczami wpatrywała się w najprawdziwszego bałwanka.

- Będę miała najpiękniejsze przebranie na balu! - stwierdziła z mocą.

- Dobre przebranie jest bardzo ważne - powiedział Gabriel.

**P**ostanowił wyjść wcześniej, zanim położą się rodzice. Bał się, że zamkną mu cmentarz.

- A gdzie się tak znowu wybierasz po nocy? - spytał ojciec, kiedy chłopak wkładał kurtkę na bluzę.

- Przecież ósma dopiero.

- Ciągle z tym plecakiem chodzisz. Coś chowasz w nim?

- Maskę i pistolet.

Ojciec śmiał się.

- Synek nosi w plecaku maskę i pistolet! - zawołał do zmywającej po kolacji matki. - Ty, przecież on też ma biały rower!

- Ładne rzeczy - odpowiedziała mama. - Więc to on jest Polmanem!
- Strażnikiem Parku - mruknął Gabriel.
- Ale nie drągi jakieś, co? - Ojciec położył mu dłoń na ramieniu i mrugnął po koleżeńsku. Gabriel odsunął się i ręka ojca opadła.
- Nie, tylko pistolet i maska. Przysięgam.
- No dobrze. Tylko uważaj na siebie.

Noc na ogromnym cmentarzu była jak ciemny olej, nasyczona dymem zniczy. Gabriel minął zabytkowy drewniany kościół, figurę Matki Boskiej, u stóp której rozlewała się kałuża ognia, stało tam kilkaset zniczy i świeczek, i wreszcie odetchnął wielką przestrzenią.

Szedł przez ciemne wzniesienie, usiane drżącymi na wietrze płomykami.

- Byłoby fajnie, gdyby na jednego zmarłego przypadał tylko jeden znicz. Dałoby to wizualne pojęcie o liczbie pochowanych. Każdy znicz mógłby oznaczać duszę - powiedział w ciemność.

Mijał niewyraźne sylwetki żałobników. Patrzył na krzyże i kamienie nagrobne.

- No i co mi powiecie? - spytał, a z jego ust uniosła się mgiełka.

Zmarli milczeli. Widać nagadali się z odwiedzającymi bliskimi. Obok przeszły matka staruszka i dorosła córka. Córka zatrzymała matkę i poprawiła jej wełnianą czapkę.

Skrzywił się. Na rzęsach osiadały mu gwiazdki mokrego śniegu, który falującymi zasłonami opadał z chmurnego

nieba, syczał i skwierczał w płynnym wosku zniczy. Gabriel wyjął z plecaka maskę i założył ją. I tak było ciemno.

Strażnik Parku wędrował po cmentarzu. Trafiał na nagrobek dziecięcy. Pod krzyżem stała rzeźba paroletniego, pyzatego dziecka w długiej koszuli. Dziecko patrzyło w ziemię i trzymało w opuszczonej ręczce serce. Może pier-nik. Strażnik Parku długo stał przy rzeźbie.

Potem wyjął nowy, nieużywany jeszcze telefon i zadzwonił do matki Bazika.

- Nie wiem, czy mnie pani pamięta - powiedział, patrząc na dziecięcy grób. - Szukałem Mariusza i odwiedziłem panią. Czy może Mariusz pokazał się już?

- A pamiętam, ale nie, ani śladu - odpowiedziała.

Chyba była pijana.

- To mam taką prośbę, bo jednak bardzo chciałbym się z nim spotkać. Niech pani do mnie zadzwoni, gdyby się zjawił, dobrze? Podam mój numer.

Kiedy matka Bazika zapisała już numer, kazał jej go odczytać, żeby zapobiec pomyłce. Potem zawahał się i rozejrzał po nocnym cmentarzu.

Zniszczona kobieta w odległym mieszkaniu przez jakiś czas słyszała tylko wiatr. Nie wiedziała, że ten wiatr huczy wśród drzew, krzyży i nagrobków.

- Albo... w ogóle, jakby pani miała z nim kontakt, proszę dać mu mój telefon. Niech pani powie, że bardzo chcę się z nim spotkać.

**N**ie zdejmując maski, wyszedł na ulicę. Ludzie przystawali i gapili się na niego. Narastał szept. Strażnik pochylił

się nad rowerem i wsunął klucz do zamka łańcucha.

- Stać! - krzyknął ktoś. Odwrócił się. Ślizgając się na śniegu, od strony cmentarza biegł policjant. Strażnik Parku szarpnął łańcuchem, klucz się zaklinował. Spróbował mocniej przekręcić, zaraz się złamie.

- Panie oficerze, chwileczkę! - krzyknęła babcia we włochatym, przypominającym straszego pająka berecie i uwiesiła się na ramieniu funkcjonariusza. - Pan pomoże mi pozbierać, siatka się przewróciła.

Gabriel wyciągnął kluczyk i ponownie spróbował go włożyć.

- Proszę mnie puścić! Tam jest Strażnik Parku! - policjant szarpnął ramieniem.

- Jaki strażak? Pożar? - dopytywała się babcia, co chwila rzucając spojrzenie w stronę Gabriela. Ludzie śmiali się i klaskali.

- Brawo babcia! - krzyknął parujący na mrozie pijak.

- Aresztuję panią zaraz! - wrzasnął policjant, odpychając babcię. - Janek?! Gdzie ty jesteś?!

Janek przebiegł obok nich, wciąż żując pańską skórkę. Jedną ręką przytrzymał na głowie czapkę, drugą wyciągał z kabury pistolet. Kluczyk wreszcie się obrócił, Strażnik Parku szarpnął rowerem, ustawił go i wskoczył na siodełko.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął policjant Janek i nie czekając na reakcję, oddał strzał ostrzegawczy w powietrze.

Babcia krzyknęła. Tłum wstrzymał oddech. A Strażnik Parku nacisnął na pedały i ruszył między stłoczonymi na chodniku samochodami. Koło poślizgnęło się na mokrym



śniegu, przewrócił się na maskę starego poloneza. Na Zadzuszki nawet trupy aut odwiedzają ten świat, wyprowadzane z katakumb garaży przez jadących na groby emerytów.

Rzucił okiem na biegnących policjantów, z bocznej ulicy wyjechał radiowóz na sygnale. Jak co roku trwała akcja „Znicz” i pełno było radiowozów na ulicach. Zanosząc się od kaszlu, trzęsącymi się rękami Gabriel postawił rower i znów ruszył między samochodami.

Mur cmentarza skończył się, przejechał przez ulicę na czerwonym świetle, samochód zahamował z piskiem opon, jeszcze raz zachwiał się na chodniku i znalazł schronienie w wąskich, ciemnych uliczkach.

Następnego dnia pierwszy śnieg już się roztopił.

W szkole Gabriel zauważył, że Jola mruga do niego na przerwach. Był zbyt senny, żeby się nad tym zastanawiać. Rzeczywistość widział przez lepkie, ciężkie i spokojne welony snu. Wziął do szatni „Gazetę Wyborczą”, którą kupił rano. Na pierwszej stronie wydrukowali zdjęcie sprzed cmentarza, wykonane telefonem komórkowym. Prawie nic nie było widać, profil mocno spikselowanej, niewyraźnej sylwetki w szarej bluzie z kapturem, zarys roweru. Mimo wszystko Gabriel postanowił, że bluza odejdzie na emeryturę.

Przejeżdżał obok przystanku. Zobaczył, jak dwóch chłopców przypiera młodszego grubaska do ściany kiosku. Oni chodzili może do piątej klasy podstawówki, on do trzeciej. Ścisnął paski plecaka, próbował nie okazywać

strachu, ale był cały czerwony i mrugał wpatrzonymi w chodnik oczami.

Gabriel zatrzymał się przy nich. Starsi chłopcy włożyli ręce do kieszeni i jak na filmach zaczęli patrzeć w niebo i pogwizdywać. Chcieli wciągnąć Gabriela do zabawy. Sympatyczne z nas łobuziaki. Czekali, co powie. Ładnie uczesani przez matki, drogie puchowe kurtki, zagraniczne plecaki z bohaterami Disneya. Grubasek był rozczochrany, kurtkę miał już dość znoszoną, plecak szary i nieefektywny.

- O, jaka ładna chmurka - powiedział jeden bogaty chłopiec. - To my już pójdziemy.

- Czemu, gówniarze, zaczepiacie tego chłopca? - spytał Gabriel.

- Wcale nie zaczepialiśmy, otrzepujemy go, bo się przewrócił! - zawołał drugi bogaty chłopiec. Uśmiechali się. To, co robią, wydaje im się śmieszne. Nie myślą o sobie jako o kimś złym. Instynktownie czują pogardę do biedniejszego grubaska.

- To uważajcie, żebyście wy się nie przewrócili, bo ja was otrzepię - powiedział Gabriel. - Jak się dowiem, że znowu coś mu robicie, nie będzie tak przyjemnie. Już do domu.

- Dziękuję panu - powiedział grubasek, kiedy oprawcy odeszli. Marszczył brwi, starał się wyglądać groźnie. - Ciągle mnie zaczepiają. O, pokazali panu faka, jak pan nie patrzył.

Gabriel odwrócił się, chłopcy zaczęli uciekać, więc wrócił do grubaska.

- A ty co się tak dajesz? Oferma jesteś? - spytał. - Trzeba być mężczyzną i bić się, jak ktoś chce cię skrzywdzić.

Uciekniesz, to nie będziesz mógł spojrzeć w lustro całe życie, a to gorsze niż parę siniaków.

Grubasek przytaknął i skulił się trochę, chyba bał się, że teraz Gabriel zrobi mu krzywdę. I rzeczywiście Gabriel miał ochotę go popchnąć. Ale w końcu sapnął tylko, wsiadł na rower i odjechał. Grubasek przypominał mu siebie z podstawówki. Kiedy ktoś na niego krzychał albo ktoś nim pomiatał, Gabriel natychmiast w myślach przyznawał mu rację. Był po jego stronie. To ja zrobiłem głupio, oferma jestem, on jest normalny. A kto był wtedy tym chłopcem z opuszczoną głową i czerwonymi policzkami? Nie wiadomo. Został w przeszłości sam, jak sierota.

Znowu zaczął padać śnieg.

Po chodniku sztywno kroczył dyrektor podstawówki Gabriela. Widząc go, chłopak zahamował, zaklął i zawrócił. Grubasek wciąż czekał na autobus. Przestraszył się, widząc powracającego wybawiciela.

- Słuchaj, ty chodzisz tutaj do podstawówki?

Mały pokiwał energicznie głową. Nie odezwał się, chociaż miał otwarte usta, z których wydobywała się para. Grube dzieci szybciej oddychają.

- Będziesz mógł mi spłacić dług wdzięczności.

Z głową szkolnego Wujka było zdecydowanie nie w porządku. Nie poznał Gabriela nawet po ostatniej awanturze przy furcie.

- A to kto? - wybulgotał, wskazując dziwnie białym, owłosionym palcem.

- Mój brat cioteczny - wyjaśnił grubasek. - Czasem

odprowadza mnie do domu. Wujku, bo ja zapomniałem książki, a jeszcze miałem pani oddać pracę domową, jak już tę książkę będę miał, ale nie wiedziałem, że to już na jutro, a brata pani też chciała o coś spytać.

- No, nie zawracaj mi tu głowy już - powiedział woźny. - Wchodźcie.

Nie czuł wzruszenia, idąc znów tą samą żwirową ścieżką, wchodząc na te szare schody, pchając znajome wysokie drzwi. Odkąd Jacek wyjechał, nie zdarzyło mu się w tym miejscu nic dobrego. Sześciogodzinne, codzienne więzienie, w którym oduczali go, jak mieć uczucia i rozmawiać z innymi.

W środku odmalowali ściany na zielono, wisiały nowe gazetki ściennie. Ale zapach pozostał taki sam. Gorzki, jak kiedy przyłożyć nos do świeżo złamanej gałęzi.

- Poczekał tu na mnie - polecił grubaskowi i pierwszy raz w życiu wszedł do sekretariatu. Kiedy tu się uczył, sekretariat był najbardziej tajemniczym miejscem w całej szkole, tylko dorośli i nauczyciele mieli do niego wstęp.

Sekretarka wyglądała jak węgorz w blond peruce. Przewracała wyłupiastymi oczami, uwięzionymi za grubym szkłem okularów.

- Dzień dobry, jestem absolwentem szkoły, próbuję odszukać kolegę z dawnych lat, bo mam dla niego bardzo ważną wiadomość rodzinną. Mariusz Bazik się nazywa.

- Ale o co chodzi? - zapytała wrogo sekretarka, jakby nic nie zrozumiała.

Gabriel powtórzył wszystko co do słowa.

- Ale jaką wiadomość? - Agresywny ton na pewno

przydawał się w pracy sekretarki. Komu chciałoby się odwiedzać ją ponownie.

- To poufne, obawiam się, chodzi o zgon pewien, bardzo ważne.

- No ja nie wiem, czy mogę takich informacji udzielać... - Kobieta węgorz wygięła usta w podkówkę i spojrzała na stojący na biurku telefon.

- Ale pan dyrektor wie już o wszystkim - powiedział Gabriel.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Nikt nie odbierał, więc wzruszyła ramionami.

- A no to jak wie, to co ja będę... co mnie to...

Sekretarka wstała, okropnie wzdychając, i zaczęła wodzić palcem po segregatorach.

- Jaki rocznik?

Wreszcie odnalazła odpowiedni segregator i rubrykę.

- No jest tu adres.

- Tak? - Gabriel wyjął długopis i przyłożył do kartki.

- Podaję.

- Jestem gotowy na przyjęcie.

- Osowska dziewięćdziesiąt dwa - odczytała sekretarka.

- Ale to stary! Nowego nie ma?

- Podalam adres, proszę mi tu nie krzyczeć! Taki adres zapisany, znaczy, że taki był. - Węgorze jednak się nie czerwienią. - Sprawa załatwiona i do widzenia!

Czego się spodziewał? Przecież w czasach podstawówki Bazik mieszkał z matką na Osowskiej. Ale i tak nie umiał pohamować wściekłości. Wychodząc, kopnął drzwi, aż zadzwoniły szyby.

- Co, nie udało się? - spytał grubasek.
- Gównu cię to obchodzi.

Ola podskakiwała niecierpliwie, kiedy ojciec się ubierał. Jechali na przedszkolny bal maskowy. W wielkiej torbie trzymała kostium bałwanka. Nie mogła się doczekać, kiedy go włoży.

- Miłej zabawy - powiedział Gabriel.

Powinien pójść do kafejki i sprawdzić pocztę Strażnika Parku, ale nie miał siły.

Nowy telefon milczał.

W nocy znowu mu się śniło, że dostaje informacje, gdzie jest Bazik. Gabriel possał dolną wargę, pogładził szczecinę z tyłu głowy i zalogował się na pocztę Strażnika ze swojego komputera. Przecież policja nie ma pojęcia o Internecie. Zajrzy tylko na sekundę.

Dwieście trzynaście nowych wiadomości. Od razu zauważył tę jedyną, wyczekiwaną od dawna. Temat: „POSZUKIWANI”. Rozejrzał się po pokoju, jakby ktoś mógł go podglądać. Zaschło mu w gardle. Z bijącym sercem otworzył wiadomość.

*Szanowny Panie Strażniku,*

*donosimy uprzejmie, iż poszukiwany przez Pana Wojciech Surman pełni funkcję sołtysa naszej wsi Rozkolniki (powiat grójecki) i rzeczywiście wiele podejrzanych rzeczy tu się dzieje, nikt nie wie na pewno, jak dochrapał się tej funkcji, więc z radością przyjmujemy fakt, iż zamierza Pan przyjrzeć się bliżej działalności naszego „kochanego” sołtysa.*

Gabriel zamrugał oczami. Bazik zmienił nazwisko? Uciekł na wieś? Dopiero po chwili przypomniał sobie o zmyślonych osobach na liście. Zaklął i zamknął pocztę.

Otworzyły się drzwi do mieszkania. Ola zanosila się od płaczu. Wyszedł na korytarz sprawdzić, o co chodzi.

Łzy siostrzyczki spływały po narysowanych szminką rumieńcach. Zerwała z szyi czerwony szalik, rzuciła na podłogę, ściągnęła kurtkę i pobiegła w kostiumie bałwan-ka do swojego pokoju. Zatrasnęła drzwi. Dochodził z za nich nieprzerwany szloch. Ojciec ponuro zdjął płaszcz i powiesił na wieszaku. Podał Gabrielowi pognieciony, papierowy cylinder.

- Co się stało? - spytał Gabriel.
- Wszystkie koleżanki były przebrane za piękne księżniczki.

## Rozdział 8

Zaczyna się ślizgać - powiedział Gabriel.

Słowa zadudniły w ciemnym garażu. Rowerowy magik skrzywił się i przyłożył do warg czarny od smaru palec. „Cśśśśś” - syknął. Odgarnął włosy, zostawiając na czole cztery lśniące, ciemne smugi. Mrużąc oczy, obejrzał rower i wziął się do pracy. Na początek obniżył siodełko.

- A po co tak? - spytał Gabriel.

- Środek ciężkości - wymamrotał mechanik. Potem zniknął za stosem żelastwa. Kiedy pojawił się z powrotem, miał ze sobą koło z kolczastą oponą.

- Jedna taka opona wystarczy? Na przednie koło?

Rowerowy szaman pokiwał niecierpliwie głową. Potem podszedł do Gabriela, nachylił się i zaczął mówić, a ponieważ odzywał się tak rzadko, każde słowo miało wartość objawienia.

- Podczas ruszania i przyspieszania wyższe biegi. Hamujesz delikatniej. Na zakrętach nie przechylasz za bardzo. Trenuj po śniegu. Zmysł równowagi będzie się adaptował.

- Dziękuję - powiedział zaskoczony Gabriel. - Ile się należy?



Spojrzał na dłonie mechanika. Ten wsadził je do kieszeni i powiedział przez zęby:

- Sto.
- Mogłeś pokazać dziesięć palców, teraz bym zakapował. To koło takie drogie?

Mieszkaniec garażu westchnął i wziął banknot. Kiedy Gabriel powoli wyjeżdżał na światło dzienne, odwrócił się jednak za nim i patrzył. Potem wziął z taboretu wielki, przestarzały telefon komórkowy.

**G**abriel pojechał na lewą stronę Wisły i kupił nową, tym razem czarną bluzę w Domach Towarowych Centrum. Mógłby dostać taką w budce pod Uniwersamem, ale postanowił, że to za blisko domu. Nowa bluza będzie używana tylko w nocy, żaden z ludzi dnia nie może jej zobaczyć.

Wyszedł z domu towarowego i poszedł napić się kawy do Coffee Heaven. Siedział przy oknie, wyglądał na ulicę przez zaparowaną szybę i myślał o tym, że po jego stronie Wisły nie ma ani jednej filii Coffee Heaven, a w Śródmieściu były na każdym kroku. Tak jakby na lewym brzegu rzeki zaczynał się lepszy świat. Z punktu widzenia geografii w sumie to Zachód, więc nic dziwnego.

Obok siedzieli zadowoleni, pachnący mężczyźni w garniturach i dyskutowali nad nowym wydaniem gazety giełdowej „Parkiet”. W rogu siorbały latte awangardowe nastolatki, bluzy z różową trupią czaszką, twarze naszpikowane koleczykami. Na stole przed nimi stały białe torby z czerwonym logo H&M. Co chwila huczał ekspres, w

powietrzu unosił się zapach mielonej kawy.

Gabriel otworzył nowe wydanie „Wysokich Obcasów”, które zdjął ze stojaka. W dziale „Męska końcówka” był z nim wywiad. Wstydził się, kiedy go czytał. Wcałe nie był sobą, wywiad nic nie mówił o tym, jak się czuje i jakie to wszystko dziwne. Wydawało mu się, że redaktorka umyślnie wybrała najbardziej błahe pytania i odpowiedzi.

- *Co lubisz jeść?*
- *Bez sensu pytanie.*
- *Strażnik Parku nic nie je? Żywi się samą zemstą?*
- *Je. Białka, węglowodany, czasem jakieś witaminy.*
- *A ze słodyczy?*
- *Lubię bajaderki. jest to ciastko trochę podejrzane i dlatego odpowiednie dla nocnego mściciela.*

Skrzywił się i przewrócił kartkę. Na białym plastikowym jeleniu wisiały naszyjniki. „Rogata biżuteria, nie tylko dla grzecznych dziewczynek”. Grzeczne dziewczynki idą do nieba, niegrzeczne idą tam, gdzie chcą. Grzeczny czy niegrzeczny - w Tak Taku każdy dostaje prezent. Niegrzeczny chłopiec w okularach Dolce & Gabbana. Wygraj niegrzeczny zestaw weekendowy.

To, co grzeczne, było najwyraźniej niemodne. Duch naszych czasów miał rogi i ogon. Sto lat temu bohaterem był pogromca wampirów. Dzisiaj bohaterem jest wampir.

Otworzył „Przekrój”. Zobaczył karykaturę faceta w krótkiej pelerynce i komicznej masce, który stoi przy samochodzie. Facet ma napisane na bluzie „Strażnik Parkingu” i pyta właścicielkę auta: „Popilnować samochodzika, szefowo?”.

W świecie, którym rządzi zło, nie ma nic komiczniejszego od dobrego wojownika. Czym właściwie jest zło? Poczuł, że to bardzo ważne, że musi je zrozumieć.

Ktoś trącił krzesło Gabriela. Odwrócił się. To zniecierpliwiony facet w garniturze. Facet odłożył gazetę, wstał i podszedł do uśmiechniętej dziewczyny za barem.

- Pani w ogóle pamięta o tej mojej kanapce, dziesięć minut temu zamówiłem!

- Przepraszam, mieliśmy drobne kłopoty, zaraz pan dostanie.

- Zaraz to ja muszę być na spotkaniu, i to głodny. Pani myśli w ogóle? Jak macie problemy ze sprzętem, to nie przyjmować zamówień.

Mężczyzna wyrwał pieniądze z ręki dziewczyny, złapał teczkę i wyszedł z kawiarni. Chciał trzasnąć drzwiami, ale nie pozwolił mu na to mechanizm i drzwi zamknęły się łagodnie, powstrzymywane hulającym na ulicy wiatrem. Do lady podeszła jedna z awangardowych nastolatek. Dziewczyna za barem spojrzała na nią niechętnie.

- Pani też chce odwołać zamówienie? - spytała.

- Nie, jeszcze jedno latte proszę.

Będziesz chamski wobec ekspedientki, co jej zepsuje humor, pomyślał Gabriel. Odezwie się nieładnie do klientki, czym przeleje czarę goryczy: nikt jej nie traktuje z szacunkiem, który należy się każdej istocie ludzkiej. Pójdzie do domu i kiedy ojciec po raz kolejny na nią warknie, ona złapie nóż.

Nagle po wnętrzu powiał zimny wiatr, otworzyły się drzwi i z ulicy weszła kobieta z dwójką dzieci. Ubrana w

buraczkowy, stary płaszcz, potomstwo w tanich kurtkach z bazaru. Podeszła do lady z nieufnym uśmiechem, nie puszczać rąk dzieci, ale one wyrwały się i podbiegły do szyby. Pokazywały sobie czekoladowy tort, babeczki z jeżynami. Chłopczyk miał na kurtce i spodniach ciemne plamy, pewnie samochód obryzgał go wodą z kałuży.

Kobieta pochyliła się i spojrzała na ceny.

- Florek, chodź. Małgosia! Na dole pączki kupimy.
- Ale ja chcę torcik!
- Jedenaście złotych takie małe ciasteczko - powiedziała kobieta i zaczęła ciągnąć dzieci do wyjścia.

Gabriel odchrząknął. Zajrzał do portfela, wstał i podszedł do kobiety.

- Witam panią i gratuluję - powiedział. - Jest pani dwudziestym klientem i w ramach promocji proszę pani dzieci o zamówienie dowolnego ciastka gratis.

Stojąca za kasą dziewczyna w czerwonym uniformie wytrzeszczyła oczy. Gabriel spojrzał na nią ciężko.

- Nie, nie, dziękujemy - kobieta w płaszczu spłoszyła się.
- Ale ja mam pieniądze z funduszu promocyjnego, dzieci, jakie chcecie ciastko?

Dwie pyzate buzie uniosły się do niego. Patrzyły z tępyim zdziwieniem, chłopczyk otworzył obślinione usta i wetknął do nich palec.

- Ja znam wasze promocje, potem i tak trzeba będzie zapłacić. - Kobieta odwróciła się, wzięła dzieci za ręce i wyprowadziła z kawiarni. Drzwi zamknęły się za nimi i znów było ciepło.

Ludzie nie spodziewają się dobra. Dobro jest nienaturalne. Jak stomatologia i medycyna, jak akcja charytatywna.

Gabriel poczuł, że wzbiera mu w gardle flegma, ostatnio często się to zdarzało. Odchrząknął i dyskretnie splunął do tekturowego kubka po kawie, potem wyrzucił go do kosza przy wyjściu. Zapiął kurtkę i wyszedł na mróz.

Chodnikiem szedł powoli młody narkoman. Wziął na swoje barki dokładne zbadanie świata, tak pobieżnie oglądane przez żyjących na powierzchni przechodniów. Zanurkował w dziwne głębiny i starannie zastanawiał się nad otaczającymi fenomenami. Lśni jak złoto Eldorado papierek po gumie do żucia. Jaką odgrywa tu rolę? Gołąb leci nad głową. W jaki sposób tnie przestrzeń i jakie budzi uczucia? Skąd i dokąd ten lot?

Narkoman wszedł na pasy dokładnie w momencie, kiedy dla przechodniów zapaliło się czerwone światło i ruszyły samochody. Gabriel złapał go za kurtkę i wciągnął z powrotem na chodnik.

- Odbiło ci, człowieku? - krzyknął.

Narkoman obejrzał go spokojnie. Zamrugał szklistymi oczami.

- Odprężyc się trzeba - poradził łagodnie i zaczął się śmiać. Gabriel miał ochotę wepchnąć go pod koła przejeżdżającego właśnie autobusu, ale tylko sapnął i wrócił na miejsce czekać na zielone światło. Narkoman postać chwilę, chwiejąc się na wietrze jak myśląca, choć nieco zamrożona trzcina, i odszedł dalej badać dziwny świat miasta.

Kiedy zapaliło się zielone światło, przez ulicę przeszło dwóch młodych mężczyzn. Jeden w skórzanym stroju motocyklisty, drugi w blond peruce, ubrany w czerwony kobiecy płaszcz i szpilki, z torebką, manikiurem i makijażem. Szli z godnością, trzymając się za ręce. Przed nimi szła inna para, długowłose dziewczę z tipsami i jej Miś.

Miś aż się odwracał i przystawał, żeby śmiać się głośno, wyzywająco i piskliwie z transwestyty. Miał na sobie wełnianą, debilną czapkę, spod której wystawała nalana gęba z wodnistymi oczkami, miał szarą skórę, pokrytą śladami po wypryskach, i cienkie zęby w takim samym kolorze. Narzeczoną targają wybuchy chichocików. Tak mała nienawidzi rajskiego ptaka.

- Oto warszawski plebs - powiedział mężczyzna w stroju motocyklisty.

Gabriel pomyślał o swojej nocnej zwierzynie. Z jakiegoś powodu źli wyglądają bardzo podobnie. Żaden nie wyróżniał się jak Joker czy planujący zniszczenie świata szalony doktor. Nikt nie obejrzałby się na ulicy za Bazikiem, człowiekiem, który skrzywdził go najbardziej.

Czy to jest tak, pomyślał, że zło mieszka w identyczności, w uniformach, w nieodróżnianiu się? A więc wszelka indywidualność jest przeciwieństwem zła.

Ale tamci, motocyklista i rajski ptak, wiedzieli, że będą kłuli ludzi w oczy. Czy ich prowokacja nie była więc aktem zła, aktem pogardy? Za które spotykała ich kara w postaci wyśmiania przez kretyna w wełnianej czapce?

Może każdy zasłużył na to, co go spotyka. Dziewczyna wracała za późno z dyskoteki. Chłopiec reklamujący kurs angielskiego obnosił się ze spódniczką, zamiast zmienić

ją po pracy na spodnie. Mały grubasek pod kioskiem był rozlazły i strachliwy. Wcześniak, którego widziała w szpitalu matka, pewnie poszedłby do domu dziecka i wyrósłby na chuligana.

A jak on i Sonia zgrzeszyli? Mieli stosunek seksualny bez ślubu.

Gabriel zaklął, pokręcił głową i splunął. Ślina zaczęła zamarzać na chodniku. Powiesił torbę z bluzą na kierownicy i ruszył do domu.

Jechał przez czarny most. Na brudnej rzece unosiły się cienkie kry.

**P**rzystanął po drugiej stronie Wisły, obok sterczących w zachmurzone niebo żurawi.

Chodnikiem szła babcia w kapeluszu, obok niej dreptał odebrany z przedszkola wnuczek. Wyrывał się, podśpiewywał, nie lubił babcynych nauk. Babcia była nudna i denerwująca, od taty nauczył się, jak ją lekceważyć i irytować. Gabriel ruszył za nimi.

- Januszkule, przechodzimy przez jezdnię. Daj mi rączkę.

- Nie!

Co za wstyd: iść z tą lękliwą kobieciną za rękę. Żeby tylko nie spotkać kogoś z przedszkola.

- Daj rękę mówię, bo powtórzę tacie i dostaniesz w skórę!

Chwycił babcie za rękę i szarpnął w stronę ulicy. Kiedy już znaleźli się na pasach, które babcia przemierzała, strachliwie wypatrując samochodu, umyślnie zatrzymywał

się co kilka kroków, udawał, że zobaczył coś na asfalcie, podtańcowywał.

- Chodź, bo przejedzie samochód! - krzyczała przerażona babcia.

- Nóżka mnie boli!

- Zobaczmy na chodniku! Szybciutko!

Wreszcie na chodniku wyrwał dłoń z suchych i twardej palców. Po paru krokach odwrócił się i udał, że zaraz wbiegnie z powrotem na ulicę. Babcia mało nie umarła na serce. Śmiał się długo i kpiąco. Nawet kiedy już mu się nie chciało śmiać i ruszyli w dalszą drogę, wciąż wydawał z siebie wysokie, przeciągłe chichoty. Ona coś tam bełkotała o obiedzie.

- O, kosz! - zawołał. - Zaraz coś wygrzebię.

Podbiegł do śmietnika i zanurzył w nim ręce, starannie uważając, żeby nie dotknąć śmieci, bo jednak bał się, że dostanie zarasków i umrze.

Babcia poczerwieniała. Powiał wiatr i zerwał jej z głowy kapelusz, ale nawet go nie goniła. Stała, nic nie mówiąc.

- Niech pani wsadzi go głową do tego śmietnika! - zawołał Gabriel.

- Co takiego?

Babcia i wnuczek wpatrzyli się w chudego chłopaka na rowerze.

- Naje się obszczanych gazet i starych kości, to będzie grzeczniejszy.

Przestraszony interwencją obcego wnuczek przyłgął do dającej bezpieczeństwo babci. Ciekawe, pomyślał Gabriel. Ludzie jednoczą się w obliczu zagrożenia. Możliwe,



że złoczyńcy zaczęli już organizować bandy polujące na Strażnika Parku. A gdyby nie był Strażnikiem Parku, tylko Szatanem z Parku, może zjednoczyłby społeczeństwo?

Ludzie potrzebują wroga, żeby byli dobrzy.

**N**a klatce schodowej spotkał ojca. Znowu wcześniej wrócił z pracy. Teraz cicho gwarzył z robotnikami.

Oglądali różową fugę, wystającą pomiędzy kafelków.

- Znowu ta świnia napluła w windzie, tato.

- Cholera! - ojciec zerwał się i zajrzał. - Ja już prawie zlokalizowałem, to musi być ktoś z ósmego piętra. Ale zwykle jeździ wcześniej, koło drugiej po południu. Uważaj, nie zepsuj nam roboty.

Kiedy Gabriel wchodził do mieszkania, ojciec oderwał się na chwilę od fugi i spojrzął za synem. Ściągnął usta, nad czymś się zastanawiając.

**Z**achodziło słońce. Zapalały się światła wysokich bloków. W zamrożonym powietrzu między betonowymi olbrzymami unosiły się maleńkie gwiazdki lodu. Gabriel odwrócił wzrok od okna, usiadł przed komputerem i sprawdził pocztę. Żadnych wiadomości o Baziku. Więc zaczął czytać kronikę policyjną. Polski Batman uratował dwóch nastolatków pod Dworcem Wschodnim. Zamordowano kolejnego włóczkę. Zgwałcono kolejną kobietę.

Zło przecieka mi przez palce. Nie usuwam go. Jest tak, jakbym trzymał sito i przesiewał czarny piasek, sypiący

się z nieba, a u moich stóp rośnie wzgórze. Piasek nie ginie i nie znika.

Są same bitwy, wojna nie istnieje.

Zmieniłbym coś, gdybym zabijał tych bandytów. Byłoby ich mniej. Zmieniłbym coś, gdyby ludzie się zmienili, zaczęli coś robić, zamiast siedzieć na dupie. Ale wszyscy są zbyt leniwi, zbyt strachliwi.

Przesiewam czarny piasek.

**G**abriel, do Gucia przyszedł pan weterynarz! - zawołał ojciec niskim głosem. Gabriel zdziwił się. Nie wiedział, że pieskowi coś dolega.

Młody weterynarz stał w przedpokoju. Wyglądał jak człowiek lasu - czerwona, grubo ciosana twarz, na nogach zielone kalosze, wielkie dłonie z grubymi palcami i czarnymi obwódkami za paznokciami. I co chwila się śmiał. Ojciec kiwał się nerwowo i zacierał ręce.

- Marcin - przedstawił się gość i ścisnął mocno dłoń Gabriela. - Byłem z twoim ojcem w kole łowieckim, z nim nie wyiękła.

- Żadne wyiękła, ty wiesz, ile ja mam pracy? - oburzył się niskim głosem ojciec.

- To też od pracy?

Marcin ścisnął sadło na brzuchu ojca. Ten zachichotał jak dziewczynka i aż się skręcił.

- To gdzie ten twój choleryk?

- Zaraz zaprowadzę. - Ojciec złapał Marcina za rękaw. - Daj, powieszę kurtkę.

- Nie, czasu nie mam, że tak powiem. Chłopstwo już

pewnie drzwi do gabinetu wyważyło. A mi ręce mdleją od wciskania krowom w tyłek.

Gabriel spojrzął na swoją dłoń.

- Wkładam rękawiczki - zaśmiał się Marcin. - Masz wrażliwego chłopaka.

Ojciec rzucił okiem na Gabriela, twarz ściągnął mu krótkotrwały tik.

- Prowadź mnie do potwora.

Marcin nawet nie ściągnął kaloszy, wstępując na dywan. Podszedł do kanapy, ukucnął i zajął za oparcie.

Rozległo się stłumione, wściekłe warczenie.

- Aha, taki wypierdek, a jaki groźny jestem!

Marcin sięgnął ręką za oparcie i Gabriel skrzywił się, przygotowując uszy na okrzyk bólu. Marcin wyciągnął warczącego pieska, zaciskając mu pysk prawą dłonią. Lewą zaczął go obmacywać. Gucio najwyraźniej nie mógł pojąć, że ktoś odważył się na coś takiego, i warczenie umilkło. Marcin zajął mu do uszu, do oczu, a w końcu rozwarł mu pysk, obejrzał cienkie ząbki i podniebienie. To musiało Gucia ostatecznie zbić z tropu. Kiedy Marcin go puścił, piesek popatrzył na niego wylupiastymi oczami, po czym odwrócił się, wpełzł z podwiniętym ogonem do swojej jamy i tam dopiero zaszczekał.

Marcin wstał i otrzepał ręce.

- Zdrowy pies.

- A te zaburzenia? - spytał ojciec. - Jakies proszki na uspokojenie może?

- Mam dla konia, Gucio się po nich obudzi w psim raju.

- To powiedz mi co, sam kupię.

Marcin zastanawiał się. Spojrzał na ojca i Gabriela, który stał z boku i milczał.

- Gucio szczeka i gryzie - powiedział Marcin - bo jest malutki, a wy wszyscy jesteście duzi. Boi się was.

Wzruszył ramionami.

- Lekarstwo jest takie. Nie stójcie nad nim jak Godzilla, że tak powiem, tylko kucajcie, jak ja. Żebyście wydali się choć trochę mniejsi. Mówcie do niego cicho i spokojnie. Spróbujcie klękać i z takiej pozycji podawać mu jakąś kielbaskę.

- Będziemy musieli nauczyć się przed kimś klękać, może być ciężko - zażartował ojciec, ale nikt się nie roześmiał. - Ile jestem ci winien?

- Nie wygłupiaj się.

- No to chociaż się napijmy.

- A teraz mówisz do rzeczy. Ale szybko.

Nie zdejmując kurtki, Marcin usiadł za stołem i westchnął. Niektórzy ludzie zawsze wzdychają, kiedy usiądą. Gabriel zobaczył, że ojciec stawia na obrusie trzy kieliszki.

- No to za spotkanie - powiedział ojciec, podnosząc kieliszek z wódką.

Marcin połknął zawartość kieliszka, zacharczał i potrząsnął głową. Dobrze mu zrobiło. Gabriel poszedł w jego ślady i aż mu wykręciło twarz, kiedy gardło podrażnił płynny ogień.

- I zwierzęta zawsze atakują, bo się boją? - spytał.

- Najczęściej. - Marcin podstawił ojcu kieliszek do napełnienia. - Na drugą nóżkę proszę. Ale raz zdarzyła mi się, że tak powiem, ciekawa historia. Na własnym podwórku. Mam dwie suki, matkę i córkę, i ta matka

nieustannie młodą prześladowała. Odganiała przy głaskaniu, a jak żarły, to zawsze pierwsza kończyła i zabierała resztę tamtej.

- Kurde, ale miłość macierzyńska - skomentował ojciec.

- No dokładnie. I rosła młoda, ciągle bojąc się matki, chowała się przed nią. Pewnego dnia, że tak powiem, wracałem od krowy, i one witały mnie przy bramie. Stara tak skoczyła, że jej się łapa zaklinowała między prętami i nie mogła wyciągnąć. I ledwo młoda to zobaczyła, stało się coś, czego normalnie w życiu u niej nie widziałem. Zjeżyła się cała i rzuciła się na matkę z zębami. Widziała, że tamta nic nie może zrobić. I chyba ją zagryzła, gdybym pindy ze szlauchu nie oblał.

- Zemściła się - ojciec pokręcił głową.

- No więc wcześniej myślałem, że zwierzaki zawsze atakują ze strachu, a tu okazało się, że mogą też z zemsty.

- Ale zemsta też może być za to, że żyła w strachu - powiedział Gabriel. - Czyli na jedno wychodzi.

Ojciec prychnął. Widać było, że wstydzi się przed konkretnym facetem marzycielskiego syna.

- Weź ty lepiej nie kombinuj tyle.

- Może i na jedno... - Marcin spojrział na zegarek. - No, krowie dupy czekają. Czołem!

Gabriel patrzył, jak Marcin ściska ojca i całują się z dubeltówki. Nigdy wcześniej nie widział ojca przy takich czułościach, może czasem na Gwiazdkę, kiedy trzeba było witać się z rodziną. Witać takie zwyczaje miał Marcin, człowiek z lasu, i ojciec się podporządkowywał.

- A co pan sądzi o Strażniku Parku?

Marcin uniósł brwi.

- A co ja mam o tych waszych miejskich sprawach sądzić. Jak ktoś się awanturuje na wsi, pokazuję sztucer i jest spokój.

Marcin wyszedł z mieszkania i pojechał do domu za miastem, i Gabriel nie zobaczył go już nigdy więcej.

Chciał, żeby to Marcin był jego ojcem.

**T**ato, gdzie jest klucz od piwnicy?

- A co chcesz?

- Lunetę.

- Wracasz do astronomii?

- Dzisiaj jakieś meteory mają być.

- A kiedy? To też chętnie popatrzę.

- Oj, jeszcze sprawdzić muszę, nie pamiętam.

Klucze zadzwoniły o metalowe drzwi. Za nimi wąskie betonowe schody. Gabriel przekręcił włącznik. W korytarzu zamigotały jarzeniówki. Szedł pod zakurzonymi rurami. Pajęczyny i rdzawe zacieki na ścianach. W rurach szumiała gorąca woda, głosy z wysokich pięter. Przystanął przy jednej wielkiej rurze, biegnącej od sufitu po podłogę, i przyłożył do niej ucho. Usłyszał wielki bełkot bloku, niezgrany chór głosów z telewizora, rozmów, muzyki, i szum.

A więc to strach jest istotą złą? Mariusz nie bał się Soni. Piątoklasiści nie bali się ofermowatego trzecioklasisty. Dog argentyński nie bał się Gabriela. Atakował, bo tak kazał mu jego pan. Ludzie różnią się od zwierząt. Krzywdzą dla przyjemności. I umieją się śmiać.

Idąc piwnicznym korytarzem, Gabriel usłyszał śmiech Mariusza, kiedy znęcał się nad nimi w parku. I zobaczył wesołe twarze dwóch piątoklasistów. To oni byli zdrowi, a nie ten czerwony na twarzy, kulący się grubasek. Niektórzy są źli dla zabawy, a nie ze strachu. Wesoło być złym.

Bazik uosabiał zło płynące ze śmiechu, z rozigrania. Bije nie dlatego, że się boi, tylko dlatego, że sprawia mu to przyjemność, jest śmieszne. Cudze upokorzenie jest dobrym żartem, jak w komedii.

Gabriel otworzył drzwi do piwnicy Różewiczów. Światło padło na zakurzone pudła, stary telewizor, emerytowany rower ojca, milczącą skrzynię ich pierwszego komputera.

Stanął na palcach i zdjął z najwyższej półki amatorski teleskop. Stojąca obok puszka z farbą spadła na podłogę. Gabriel zaklął, nie chciało mu się wycierać. Zacisnął zęby i dwa razy kopnął puszkę, rozbryzgując na ściany czarną farbę.

Trzymając pod pachą teleskop, wracał korytarzem do wyjścia z piwnicy, patrzył na buty. Wszedł po schodach, zgasił piwniczne światło, odcharknął, splunął flegmą w ciemność i zatrzasnął metalowe drzwi.

**M**ama wróciła już ze świetlicy i podśpiewując, jeszcze w wyjściowym stroju, szykowała kolację. Odkąd zaczęła tam pracować, stała się bardziej ożywiona.

Znowu nakładała makijaż.

- No i jak tam było? - spytał ojciec.

- W porządku - odpowiedziała z uśmiechem.

Gabriel zgasił światło i postawił teleskop na biurku. Kupił go dwa lata temu, mówił rodzicom, że interesuje go astronomia, nawet dla niepoznaki powiesił na ścianie mapę nieba. W rzeczywistości ciekawiły go biusty i tyłki sąsiadek. Szybko jednak przekonał się, że autor słów piosenki „W domach z betonu nie ma wolnej miłości” wiedział, co mówi.

Dwa lata temu chował teleskop za firanką, a kiedy sływał kroki w korytarzu, drżał i szybko kierował wylot lunety w niebo. Teraz, kiedy zajmowała go sprawa mniej intymna, z niczym się nie krył. Pożądał odpowiedzi na pytanie, którego nie umiał nawet zadać.

Jestem okiem opatrznosci, zagląającym za zasłony, okiem tego, który się opiekuje i dobrze życzy. Jestem okiem człowieka, który szuka źródeł zła.

W pierwszym mieszkaniu chłopak siedzi przed komputerem, na jego twarzy błyska światło z monitora. Jak wyłączony. W drugim mieszkaniu kobieta siedzi przed laptopem, stuka w klawisze, przerywa, żeby obrać kolejnego ziemniaka i wrzucić go do blaszanej miski. Ich twarze nic nie wyrażają. Ich dusze są gdzie indziej. W trzecim dziewczyna w szlafroku wróciła z łazienki, chodzi po pokoju, przytykając sobie do głowy suszarkę, gorące podmuchy unoszą jasne włosy i wygląda to tak, jakby w pokoiku płonęło złote słońce. Potem ćwiczy przed lustrem nowy taniec na dzisiejszą imprezę. Nierządnicą, ale przynajmniej coś się u niej dzieje. W czwartym mieszkaniu kobieta ogląda telewizję i powoli, z namysłem skubie nos. Na szybach zaczęły pojawiać się krople deszczu.



Otworzyły się drzwi, w kwadracie światła stanęła niezgrabna sylwetka ojca.

- No i jak te meteory?

- Pomyliło mi się, to nie dzisiaj - odpowiedział Gabriel, nie odejmując oka od teleskopu.

- Kurczę... - powiedział ojciec. - Gdzie ty masz głowę?

Postał trochę, wyszedł.

W prywatnym życiu ludzi nie było tajemnic. Była pustka. Wyłączone, obwisłe twarze. Gabriel po raz ostatni spojrzął przez teleskop, wiatr rzucił o szybę większą garść kropel, więc nie widział już tak wyraźnie.

Piąte mieszkanie było puste, odmalowane, czekało pewnie na wynajem. Nagle zapaliło się światło. Pojawił się goły mężczyzna i ubrana w płaszcz blondynka, jakby weszła prosto z ulicy i za chwilę miała na nią wrócić.

Blondynka uklękła przed mężczyzną i zaczęła wykonywać głową szybkie ruchy do przodu i do tyłu. On poruszał biodrami i od czasu do czasu unosił wzrok do sufitu.

Oto miłość, pomyślał Gabriel. Tak wygląda ten świat.

Nagle facet pochylił się, poderwał z ziemi prostytutkę, objął ją i przylgnął do niej mocno. Uderzenie niewyjaśnionego uczucia. Próbowwała się wyrwać, ale nie chciał puścić. Wreszcie odepchnęła go. Zgarbił się. Wyjął portfel z leżących na podłodze spodni.

**W**szyscy już spali, kiedy Gabriel włożył czarną, pachnącą nowością bluzę. Zębami oderwał metkę, przyczepioną plastikową nicią. Miał dość bitew, chciał wziąć udział

w wielkiej wojnie. Nie chciał już przesiewać czarnego piasku, wariował od czekania na wiadomość od kogoś, kto zna Bazika. Ale dokąd pojedzie? Czy istnieje centrum zła?

Gdy wyjechał na rowerze w deszczową noc, przy pierwszym uderzeniu mroźnego wiatru przypomniał sobie o ruderze przy Dworcu Centralnym.

W środku miasta, przeoczony przez Ratusz i prywatnych deweloperów, stoi plugawy dom. Możliwe, że to tam znajduje się centrum zepsucia.

Pusty dom przyciąga degeneratów. Wspinają się przez ogrodzenie, a nie widać, żeby ktoś wychodził. Co tam jest? Może w środku są ściany z gadających resztek ludzkich, tych kalek i wyrzutek, którzy połączyli się w jeden ohydny, śmierdzący organizm, jedni bez rąk, inni bez nosów, z liszajami, z egzemą, plastry i bandaże, i co chwila dołączają do nich nowi, ich ułomne ciała lepią się w kolejne ściany i piętra, i tak powstaje dom zła w samym środku Warszawy, i na całe miasto promieniuje z niego zbrodnicza wola.

Gabriel przypiął rower do słupa, stojącego przy pustym przystanku. Za wiaduktem, którym pędziły nocne samochody, świecił blado budynek dworca. Chłód i kapryśny deszcz wygnały przechodniów. Gabriel podszedł do blaszanego plotu, podskoczył i podciągnął się. Wypełniony śmieciami dół, ciemna rudera. Na gałęziach drzew powiewały strzępy ubrań. Cicho i ciemno. Tylko krople deszczu dzwonią o blaszany dach. Przeciągnął nogi nad ogrodzeniem i skoczył na stos gazet, butelek, mokrej tektury. Przykucnął i stłumił atak kaszlu.

Tym razem naprawdę się bał. Nie wiedział, czy drży z zimna, czy ze strachu. Widział czarną dziurę, tam powinny być drzwi. Opuścił na twarz maskę Strażnika Parku, wyjął z kieszeni pistolet i ruszył w stronę rudery, brnąc przez mokre zwały nieczystości.

Nagle zatrzymał się, nogi nie chciały dalej iść. Poczul, jak na karku podnoszą mu się krótko obcięte włosy. Usłyszał chichot.

Dom śmiał się. Ohydny, cichy śmiech wylatywał przez dziury okien jak z bezzębnych ust degeneratki.

Zło mieszka w śmiechu. Gabriel zmusił wyschnięte gardło, by przelknęło odrobinę śliny. Śmiech ucichł i już nie wiedział, czy to wiatr grał z obluzowaną blachą, czy szeleściły stare, tłuste kartki gazet.

Jeśli ten dom jest centrum grzechu, moje nieszczęścia pochodzą właśnie z niego. Z niego promieniują złe myśli i zatruwają głowy bandytów. Mariuszem Bazikiem steruje zły dom. Czas z tym skończyć. To stąd sypie się czarny piasek, opada na ulice miasta.

Gabriel uniósł głowę, żeby zaczerpnąć siły z nieba. Odchylił maskę i poczul na twarzy lodowate krople. Otrzeźwiły go. Potrząsnął głową i odetchnął. Powietrze było tak zimne, że aż bolało gardło. Wypuścił z ust chmurę białej pary. Do roboty.

Z maską zakrywającą twarz lękliwego człowieka, ścisnąc w zgrabiałej dłoni Glocka 17, który zawsze wiedział, co robić, Gabriel ruszył w dół hałdy śmieci. Stracił równowagę, poślizgnął się na wysmarowanej czymś gazecie i zjechał na sam dół. Przed nim ziała czarna otchłań wejścia. Znow rozległ się śmieszek, dom drwił z jego

upadku. Gabriel zacisnął szczękę tak mocno, że aż go zabolęły. Wstał i wszedł do plugawej rudery.

Śmierdziało. Czasem wsiada do tramwaju włóczęga, po włochatej kurtce pełzają wszy, i wszyscy odsuwają się, aż mdli od smrodu niemytego ciała. Tutaj nie było ucieczki, wydawało się, że cały dom zbudowany jest z tego smrodu. Gabriel stłumił odruch wymiotny i rozejrzył się po pomieszczeniu.

Ciemno. Blade i chore światło z dworu oświetlało tylko część podłogi, zasłanej kawałkami cegieł i lśniącymi odłamkami szkła. Przy wejściu leżała zeszywniała z zimna szmata, nasączona jakąś mazią. Reszta ginęła w ciemności. Z lewej dobiegł szmer, Gabriel szybko nabrał haust powietrza i wycelował w tamtą stronę. Cisza. Wyciągnął z kieszeni bluzy telefon komórkowy i otworzył. Ekranik rozświetlił się i Gabriel skierował go w ciemność. Niebieskawe światło padło na zabazgraną, poplamioną ścianę.

Nikogo.

Oświetlając drogę telefonem, Gabriel wszedł na korytarz. Starał się stąpać jak najciszej, ale szkło chrzęściło pod butami. Wymijał kulawe, porozbijane w ataku szalu meble. Słyszał swój oddech, który stawał się chrapliwy, zaraz nie wytrzyma i zacznie kaszleć. Chyba zostawił w domu inhalator.

Teraz chichot był blisko, dochodził z kogoś z pomieszczeń, znajdujących się po obu stronach korytarza, coś zaczęło szurać, przesuwać się. Gabriel wzdrygnął się i upuścił telefon, który upadł ekranem do podłogi. Chrapliwie dysząc, kucnął i na oślep starał się go wymacać. Szuranie było coraz bliżej. Jeszcze chwila i strzeli w tamtą

stronę. Gabriel syknął, ostry kawałek szkła z podłogi rozorał mu lewą dłoń, ale wreszcie odnalazł telefon i błyskawicznie go podniósł, kierując strumień niepewnego światła w stronę, skąd dobiegał dziwny dźwięk. W korytarzu było pusto.

Gabriel miał dość. Serce biło mu tak mocno, że aż się cały trząsał. Trzymając przed sobą pistolet i komórkę, zakradł się do dziury w ścianie i oświetlił boczne pomieszczenie.

W kącie, owinięci brudnymi kocami, leżeli brodaty włóczęga i narkomanka z twarzą staruszki. Objęmwali się i patrzyli w stronę Gabriela, mrugając napuchniętymi oczami. Widzieli tylko niebieskie światełko komórki.

- Tu zajęte - wybełkotał włóczęga i uniósł butelkę. - Ale zapraszamy na poczęstunek.

Narkomanka zachichotała i Gabriel wycelował w nią, poznając chichot, który przeraził go na hałdzie śmieci.

- Nie przeszkadzać, my tu miesiąc miodowy mamy! - zaskrzeczała i przytuliła się do zawszonego brodacza.

- Przepraszam - zdołał tylko powiedzieć Gabriel, wycofał się i z telefonem oświetlającym drogę przeszukał pozostałe pomieszczenia. Włóczędzy, bezdomni, narkomani spali pod ścianami, owinięci kocami, blisko siebie jak zwierzęta w norze. Niektórzy objęmwali się, próbując w zimną noc późnej jesieni znaleźć trochę ciepła i dającego zapomnienie snu.

Dom nie był centrum zła. Był przytuliskiem. To nie z niego opadał na miasto czarny piasek. Który przecież nawet nie istniał.

Gabriel wyszedł z domu narkomanów, wspinał się po wzgórzu śmieci i przelał przez ogrodzenie. Nowa bluza zaczepiła o wystający pręt i rozdarła się. Ale ledwo to zauważył. Stał na chodniku i łapał oddech. Nad czarnymi budynkami wirowały białe płatki śniegu, które zastąpiły deszcz.

Gabriel zrozumiał. Centrum zła nie istnieje w żadnym opuszczonym domu. Centrum zła istnieje w każdym żywym człowieku.

## Rozdział 9

W niedzielę rano poszedł do łazienki umyć zęby. Stał nad umywalką z odkręconą wodą i patrzył w lustro. Nagle przyszło mu do głowy, że dzieci w Etiopii nie mają co pić, i zakręcił kurek. Przemieścił spienioną pastę z jednego policzka do drugiego i z powrotem. A on też jest zły? Może jest. Bo nie jest ofiarą, a Bóg kocha tylko tych, którzy pokornie znoszą udrękę.

Odkręcił wodę, wypluł pastę i przepłukał usta. Potem poszedł do pokoju Oli.

Na środku dywanu siedziały lalki, odbywał się wielki pokaz lalkowej mody. Gabriel usiadł obok ubranej w piżamę siostry. Spojrzał na małą twarz.

- Co to będzie? Jadą na bal? - spytał i odchrząknął.

Nie będzie przecież pluł na dywan.

- Na premierę filmu, w którym Joanna gra główną rolę. Najbardziej chciałyby pojechać na koniu, ale nie mam ani jednego konika! - Ola uniosła gołą lalkę z długimi, jasnymi włosami. - I Joanna nie wie, co na siebie włożyć. Niby tyle w szafie, a wszystko z zeszłych sezonów i wyszło z mody.

- Ta niebieska w sam raz na premierę. Z brokatem.  
- Stare łachy - westchnęła Ola. - A na premierze ma być Johnny Depp.

- Ubranie to nie wszystko. Joanna może go oczarować swoją osobowością.

- Niech będzie. Tekla, przynieś niebieską! - plastikowa Joanna wskazała władczo szczupłą ręką.

- Słucham i wykonuję, o pani - odpowiedziała Tekla, płaska, szmaciana lalka. Na brzydką twarz opadały jej wełniane włosy.

- Szybciej, kocmołuchu, bo nie zdążymy! - tupnęła nogą czarnoskóra modelka Rihanna.

- Ej, czemu one są takie niemiłe dla Tekli? - spytał Gabriel.

Ola wzruszyła ramionami.

- To ich służąca, nieco opieszła i mało rozgarnięta.

Tekla położyła u stóp Joanny niebieską sukienkę i zaczęła prosząco podskakiwać na szmacianych nogach.

- O pani, a czy mi wolno będzie pojechać na premierę?

- Chyba żartujesz, brudna ściero, bekniesz albo puścisz baka i wstydu mi narobisz!

Wciąż wyciągniętą ręką Joanna zdzieliła Teklę w głowę. Służąca zaczęła siąkać nosem i uciekła do kuchni.

- Posłuchaj, niech Tekla pojedzie na premierę. - Nagle Gabrielowi zaczęło na tym bardzo zależeć. - Proszę cię.

- Nie-e.

- Ale dlaczego jesteście dla niej takie złe? Przecież nic wam nie zrobiła.

- Bo Tekla jest głupia i brzydka! - zawołała Joanna, podskakując z emocji.



- Mam nadzieję, że rozbijecie się w drodze na tę ważną premierę - mruknął Gabriel i wstał.

Patrzył z góry na główkę bawiącej się Oli. Przecież nie miała w sobie okrucieństwa, kiedy była tylko czerwonym przybyszem z wodnego świata, który mrużył oczy od światła i wykonywał rączkami nieskoordynowane, powolne gesty. Skąd się to w niej wzięło? Z przedszkola? A dzieci w przedszkolu skąd to wzięły? Może znikąd. Samo w nich wyrosło.

W każdym człowieku mieszka zło, nawet w dziecku. Jak w każdym domu mieszka choć jeden tłusty, czarny pajak. W najbardziej zadbanym budynku, może w kącie za szafką kuchenną, może za deskami na strychu, może w ciemnym garażu. Jest tam gdzieś. Przebiera włochatymi nogami. Póślepy. I czeka.

Po obiedzie ojciec uparł się, że pójdą na rodzinny spacer do cukierni. Była niedziela, nie mógł więc nadzorować robotników, przestał też przynosić projekty z pracy. Mama zgodziła się bez entuzjazmu. Gabriel powinien pisać wypracowanie pod tytułem „Droga Kordiana do samopoznania”, ale stwierdził, że jeszcze zdąży.

Wędrowali szarymi ulicami Grochowa, po wczorajszym śniegu nic nie zostało, znowu padał deszcz. Szli po liściach, przyklejonych do mokrych chodników. Obok człapały napęczniałe od wilgoci gołębie. Złota polska jesień. Wszystko przygaszone i oklapłe, nasiąknięte brudną wodą.

Gabriel szedł z tyłu. Patrzył na nich. Matka w białym płaszczu trzymała za rękę podskakującą Olę w czerwonej

pelerynie, razem wyglądały bardzo patriotycznie. Obok kroczył ojciec, trzymając nad nimi rozłożony parasol.

- Chodź, synku, bo zmokniesz, zmieścisz się - powiedziała mama.

Gabriel pokręcił głową.

W cukierni nie było innych klientów, ale panowało ciepło i z radia płynęły stare piosenki Mieczysława Fogga. Mama zamówiła szarlotkę z bitą śmietaną, ojciec kawę z adwokatem, Ola serniczek. Gabriel zauważył za szybą stos bajaderek na tacy. Stała przed nimi kartka: bajaderki Strażnika Parku. Był chyba drugim w historii Polakiem, który miał własne ciastko. Papież musiał dzielić się swoją napoleonką z Napoleonem, bajaderka należała tylko do Gabriela.

- Ja poproszę bajaderkę Strażnika Parku - powiedział. Nawet gdyby ciastko nie było nazwane na jego cześć, zamówiłby to samo. Lubił tę śmieciową kulę zbitą z okruszków i niepotrzebnych składników.

Jedli w milczeniu. Ola rozdziobywała widelczykiem sernik. Starsza pani w białym fartuchu patrzyła na nich zza lady. Siedzący przodem do okna Gabriel odwrócił się i zerknął na nią. Nie był w stanie jeść wypieków kogoś, kto na niego patrzy. Miała na policzkach biały meszek. A jakie jest twoje zło, pani Cukiernico?, pomyślał. Plujesz do ciasta? Plotkujesz o klientach? Dajesz za dużo mąki i za mało bakalii?

- No co ty robisz z tym sernikiem. - Ojciec przerwał milczenie. - Zjadaj porządnie.

- Rodzyneczków nie ma - odpowiedziała Ola.

- Chciałaś rodzyнки, to trzeba było pójść do sklepu

i kupić paczkę rodzynek. To tak, jakbym chcąc zjeść jajko na twardo, kupował żurek i zjadał z niego tylko jajko. Albo narzekał, że nie ma w nim jajka, bo ja samo jajko chciałem. Zamówiłaś sernik, więc zjesz sernik.

Ola skrzywiła się i nadeła policzki. Odsunęła od siebie talerzyk z rozdrobnionym ciastkiem. Ojciec złapał srebrny widelczyk i stuknął nim w blat stolika.

- To ja cię nakarmię! Ty wiesz, że dzieci w biednych krajach w życiu nie widziały sernika, a ty fochy będziesz stroiła?

Pani za ladą z zainteresowaniem przechyliła głowę.

Gabriel szybko odgryzł pół bajaderki i żując ją, przyglądał się, co będzie dalej.

- Wiktor! - krzyknęła matka. - Oleńko, jak nie masz apetytu, to nie jedz.

Tylko matka w zasadzie jest dobra, pomyślał Gabriel. Ale jej dobro jest jakieś takie nawykowe, automatyczne. Nienaturalne. Tylko czyniąc zło, jesteśmy naturalni. Może niepokoimy się, słysząc w telewizji o przemocy, bo sami chętnie zrobilibyśmy to samo.

Czerwony na twarzy ojciec wziął na widelczyk kawałek sernika i zaczął podtykać pod zaciśnięte usta Oli. Jej oczy zaszkliły się łzami.

- Jedz!

- Wiktor, przestań natychmiast!

Ola zaczęła płakać. Z jej ust wydobywało się przeciągłe „eeeeee...”. Ale ojciec nie zwracał na to uwagi i patrząc na matkę, wciąż potrząsał smakołykiem przy twarzy córki.

- Daj mi wychowywać - powiedział. - O ile pamiętasz, ja się z tobą nie kłóciłem przy tych twoich eksperymentach wychowawczych.

Matka zacisnęła usta i opuściła wzrok.

- Jakich eksperymentach? - spytał Gabriel.

Za szybko powoli przejechało czarne, stare bmw. Na siedzeniu pasażera siedział Mariusz Bazik, rozmawiał z kierowcą, śmiał się nalanym ryjem.

Gabriel odsunął talerzyk, zerwał się z krzesła i pobiegł do wyjścia.

- Teraz ten znowu. Skończ bajaderkę! - krzyknął ojciec, ale Gabriel już był na ulicy i gonił przez deszcz oddalający się samochód. Nie mam maski. Nie mam pistoletu. Co zrobię, kiedy się zatrzymają? Zacznę go dusić rękami? Nie. Będę biegł za nimi, zobaczę, dokąd jadą.

W pędzie potrafił kobietę, z ręki wypadła jej siatka z zakupami.

- Uważaj, jak łazisz! - wrzasnął, nawet się nie oglądając. Bmw stanęło na światłach. Zostało mu kilkanaście metrów. Zacisnął pięści.

Samochód skręcił w prawo i przyśpieszył. Gabriel zatrzymał się na skrzyżowaniu, dopadł go atak kaszlu, zgięty wpół wykastywał obłoki pary. Zaczął rozglądać się za taksówką. Ulica była pusta.

Szukać czarnego bmw. Ile może być na Grochowie czarnych bmw? Nawet nie zapamiętał numerów. Na ogrodzeniu wisiała skrzynka na listy. Podbiegł do niej i uderzył głową w blaszaną ściankę.

Odwrócił się i ocierając usta, wrócił do cukierni.

- Czy możemy uznać rodzinny spacer za skończony? - spytał.

Rodzice w milczeniu podnieśli się z krzesel.

- Czemu tak wybiegłeś nagle? - spytała Ola. Ze zdziwienia zapomniała o płaczu.

- Zobaczyłem kolegę. - Gabriel wyjął z kurtki inhalator. - Chciałem odpisać pracę o Kordianie.

**M**atka bawiła się z Olą, ojciec klęknął przy kanapie i próbował łagodnymi słowami wywabić Gucia z nory. Gabriel usiadł obok i włączył telewizor.

Na ekranie pojawiła się idąca przez deszcz demonstracja. Kobiety niosły transparenty z napisami „Mój brzuch, moje prawo”, „Tak dla prawa do aborcji”.

- Kobiety demonstrują, bo chcą zabijać dzieci - powiedział Gabriel.

Ojciec wychylił się zza oparcia i rzucił okiem na telewizor.

- Sam bym poszedł, ale wolałem spędzić czas z wami - odpowiedział ponuro. - Nie chcą zabijać dzieci, chcą mieć prawo wyboru.

- Kiedyś od zabijania byli mężczyźni, walczyli na wojnie - powiedział Gabriel. - Kobiety chciały mieć dzieci i je kochały.

Ojciec podniósł się.

- Synku, ty masz średniowieczny jakiś umysł. Po pierwsze, nie zabijanie dzieci, tylko usuwanie ciąży, płodu.

- Próbujesz zamaskować słowami prawdę. - Gabriel wzruszył ramionami. Właściwie sam nie wiedział, czy wierzy w to, co mówi, ale mówiło mu się dobrze. - Płód to inne słowo na dziecko. Przecież byłeś na USG Oli, widziałeś, jak jej bije serce. Sam widziałem ten film, taki migoczący piksel to było jej życie.

- Ale to życie jest częścią kobiety, twoja wątroba też żyje! Kobieta chyba ma prawo decydować o swoim ciele? Bo dziecko na tym etapie to część jej ciała właśnie, nie żyłoby poza nią.

- A jeśli nauka odkryje, jak odchowac dziecko poza ciałem kobiety, to już wtedy nagłe usunięcie go będzie zabójstwem? - zaśmiał się Gabriel. - Fajna ruchoma moralność.

- To może jeszcze zakazesz onanizmu, bo to zabójstwo nienarodzonych dzieci? - Ojciec uderzył dłonią o udo. - Ja zawsze prowadziłem postępowy dom, nie rozumiem, naczytałeś się czegoś?

- Zło właśnie bierze się z tej względności wszystkiego, którą nazywasz postępowością. Wszystko wolno, to wolno zabijać. Przynajmniej mam jakieś zasady moralne.

- Rany boskie, przecież ty już możesz głosować! I co, na te prawicowe, obrażone krasnale chcesz oddawać głos, który powstał z moich genów?

Przestraszony podniesionym głosem właściciela Gucio zaczął szczekać, jakby popierając oburzenie ojca.

- Są obrażeni, bo wszyscy się z nich śmieją. Po to, żeby ośmieszyć walkę z przestępczością i korupcją. Komuś na tym zależy.

- No nie - ojciec uniósł dłonie do uszu. - Ty mi kazań o polityce prawil nie będziesz.

- Bo się boisz, że nie masz argumentów.

- Mam argumenty! Ty wiesz, w jakich warunkach, w jakim cierpieniu żyją niechciane dzieci?

- Nie było ci ich szkoda w brzuchu, to czemu ci ich szkoda, jak już się urodzą? Tylko absolutna moralność ma sens, nie taka hipokryzja.

- Bo wtedy nie czuły, do cholery! To jest absolutna moralność: zapobiegać cierpieniu. Płód nie cierpi. Musisz dorosnąć najpierw, zanim mi te prawicowo-kościelne brednie z Radia Maryja zaczniesz wciskać.

- A co powiesz, tato, jak niedługo zatwierdzą prawo do eutanazji starych rodziców?

Ojciec odwrócił się i kucnął przy Guciu, plecami do Gabriela.

- Jak jesteś taki mądry, to czemu nie masz przyjaciół?  
- powiedział w końcu.

Gabriel poszedł do swojego pokoju. Zatrzęsął drzwiami. Zdziwiła go własna wściekłość. Jeszcze chwila, a uderzyłby ojca w twarz. Naprawdę był prawicowy? Sam nie wiedział. Prawicowcy z partii rządzącej na pewno byli śmieszni i niemodni, wszyscy w szkole się z nich śmiali. Ale przecież z Gabriela też się wszyscy śmiali. Też był niemodny.

Nie zapalał nawet światła. Wiedział już, że nie napisze o drodze Kordiana do samopoznania i dostanie ocenę niedostateczną. Włączył komputer, usiadł w sinym świetle monitora i wpisał do wyszukiwarki „sonia drożyńska”. Nie było wiele wyników.

Miała profil na portalu fotograficznym, ostatnie zdjęcia wrzuciła dwa lata temu. Słupy telegraficzne, za nimi drzewa. W komentarzach użytkownik pod pseudonimem

Ostrze z Obsydianu wydziwiał nad nazbyt widoczną manipulacją programem do obróbki zdjęć. „Jak na ostrze jesteś dosyć tępy”, odpisała mu Sonia. To był ostatni ślad jej obecności na portalu.

Była też wpisana na „Internetową Listę Ateistów i Agnostyków imienia Kazimierza Łyszczyńskiego”, widać zarejestrowała się na tej stronie, zanim odkryła gnozę i usłyszała, jak coś ją woła po imieniu. Gabriel rzucił okiem na stronę z komentarzami, żeby zobaczyć, czy czegoś nie napisała od siebie. Komentarzy było bardzo dużo, ale ani słowa od Soni. „Przestaję wierzyć w Boga, bo mieszkam bez mamy. Sama mogę decydować o tym, czego chcę, i myślę, że jeśli tak dalej pójdzie, to zostanę ateistką”, pisała dziewczyna pod pseudonimem Dziwne.

„Mam 16 lat, ale straciłam wiarę. Jestem agnostykiem i nie boję się do tego przyznać!”, ogłaszała Renata. „Mamy już prawie 11 tys. wpisów na ILAiA”, informował Staromodny. „Praktycznie już tylko uczniowie wpisują się samym imieniem. Wiem, że życie w katolickim kraju. Ale przecież to my chcemy zmienić tę sytuację. Nie lękajcie się pokazać nazwiska! Za kilkanaście lat to wierzący będą się wstydzić swego światopoglądu!”.

Gabriel wyłączył komputer, usiadł w ciemności na łóżku i podniósł gitarę. Spróbował uderzyć trudny akord F. Wyszło mu za pierwszym razem. Zabrzmiało czysto i dźwięcznie. Przestraszył się i odłożył gitarę na podłogę.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Soni. Rozłączył się po pierwszym sygnale. Odrzucił telefon i położył się na łóżku. Patrzył na światła z ulicy, przesuwane się po suficie. Po policzkach chudego, krótko ostrzyżonego chłopaka zaczęły spływać łzy.



Dosyć rozmyślał o naturze zła. Odpowiedź nie istnieje. Musi zdobyć więcej kul. Musi zacząć zabijać. Ale nawet jakby zabijał, sam niewiele zdziała. No i złapie go policja.

Być może aborcja nie jest takim złym pomysłem. Trzeba wprowadzić pozwolenia na dzieci, dopiero po badaniu psychologicznym, czy rodzice nie wychowają jakiejś zakały. Przestępców i pijaków od razu sterylizować.

Potrzebna jest wielka społeczna akcja. Stowarzyszenie ludzi dobrej woli. Razem zbudują wielki obóz, w którym zamkną wszystkich złoczyńców. Wystarczy, że kogoś skrzywdzisz, już ciebie znajdą i zamkną w obozie. A w środku, żeby nie obciążać państwa, jak to robią beuzyteczne więzienia, uniwersytety bandytyzmu, w środku źli będą eliminowani. Zastrzyki z trucizną. Co to jest trucizna, żadna kara. Źli muszą poczuć, co oznacza krzywda. Trzeba zgasić w nich ten ohydny śmiech.

Będą biczowani drutem kolczastym. Będą przypalani rozgrzanymi do czerwoności prętami. Będą mieli wyrywane paznokcie. Ktoś ich spyta: „Nadal uważasz to za zabawne?”. Na świecie zostaną sami przyzwoici ludzie. Zapanauje spokój. Gabriel zobaczył tłustego Bazika, przywiązanego do krzesła w takim obozie.

- Witaj w piekle, mendo - powiedział. - Piekło jest potrzebne, żeby niebo mogło zwyciężyć.

Nagle zrobiło się jasno i Gabriel poderwał się na łóżku. Przetarł łzy pięścią. W drzwiach stał ojciec i patrzył na syna. To ojciec zapalił światło.

- Czemu tak siedzisz po ciemku? - spytał cicho.

- Przyszedłeś znowu jakieś swoje nauki wygłaszać? -

W głosie Gabriela brzmiała nienawiść. - Coś mądrego chcesz powiedzieć?

- Nie... - Ojciec wzruszył ramionami i zamrugął oczami.

- No to zamknij drzwi. Za sobą.

- Bezczelny gnojek - powiedział ojciec i wyszedł.

Gabriel wstał, zgasił światło i rzucił się na łóżko, wcisnął twarz w poduszkę.

Tak kończyła się jesienna rodzinna niedziela. W pokoju absolutnie ciemno, ale słyszeć, jak daleko, na otwartej przestrzeni za ostatnim blokiem faluje, rozrasta się zawieszona w nocy galaretowate cielsko, monstrualna chmura wyjącego, mroźnego wiatru. Szum nieustannie zmienia barwę i wysokość, co jakiś czas z pełnym rozkoszy i bólu westchnieniem lodowata łapa omiata ściany i szyby. I panuje cisza, prócz pomruku tego zimnego istnienia nad szeroką ziemią za osiedlami, nad krzyżami telefonicznych słupów. I nagle zaczyna istnieć w szumie wiatru małe pulsowanie, które potem rośnie i zbliża się, wyjąca karetka pogotowia.

I pojawia się conocne wezwanie, którego musi posłuchać osiemnastoletni, samotny chłopiec. Wkłada do plecaka maskę zwierzęcia i pistolet. Wkłada czarną bluzę. Czekają, aż wszyscy usną. I wychodzi za wezwaniem w nocne miasto, bronić tych, którzy się boją, przed tymi, którzy się bawią.

**J**edenastego listopada nie mógł się doczekać, żeby wszyscy zasnęli. Z okazji Święta Niepodległości przez

Warszawę przeszła faszystowska demonstracja. Zamierzał spytać ich, czy słyszeli o tym, że ukochany Hitler uważał Polaków za podludzi i gdyby mu się powiodło, mogliby wznosić swoje antysemityczne okrzyki dwa metry pod ziemią. Zastanawiał się też, czy nie dałby rady przemówić im do rozumu i spowodować, żeby bojowego ducha zaprzęgli do walki z przestępczością. Mieli siłę liczebną, nie bali się przemocy, mógłby z nich stworzyć doskonałe bojówki. Niestety, kiedy wyjechał na rowerze w jesienną noc, po krzepkich faszystach nie było już śladu, większość chyba przybyła na demonstrację z prowincji. Przy Dworcu Centralnym zauważył tylko pięciu czy sześciu białych, chorowicie wyglądających wyrostków w glanach i ortalionowych kurtkach. Trzymali się na uboczu i patrzyli w ziemię. Nie byli u siebie, padał deszcz, więc na dodatek zmokli na demonstracji. Gabriel podjechał do nich bez maski.

- No i co, jak leci hajhitla? - spytał.

Nie odpowiedzieli. Byli jakoś nadąsani. Żaden z nich materiał na superbohaterów. Gabriel wzruszył ramionami i pojechał patrolować Śródmieście.

Późną nocą odnowione Krakowskie Przedmieście lśniło w świetle latarni. Pokazywało, jak wyglądałaby Polska, gdyby wszystko poszło lepiej. Dwóch trzydziestolatków rozpierała radość, coś im się udało. Szczególnie jeden dokazywał pod czujnym spojrzeniem ukrytego w bocznej ulicy Strażnika Parku. Młodzieniec był przystojny, modnie rozczochrany i gładko ogolony, nosił ciepły płaszcz i

trampki firmy Converse. Podbiegał, podskakiwał, kopnął puszkę i uklonił się teatralnie manekinom na wystawie. Kolega śmiał się i kręcił głową.

- No to przybij piątkę wreszcie! - zawołał.

Z bocznej ulicy, zza maski zwierzęcia patrzyła na nich nienawiść.

Podochocony młodzieniec przykucnął, potem poderwał się, zrobił piruet i jeszcze raz kopnął puszkę. Poleciała prosto w grupę pięciu barczystych chłopców, niepostrzeżenie zbliżających się z naprzeciwka. W przeciwieństwie do wątych patriotów spod dworca byli bezpartyjni, bezi-deowi i niezwykle konkretni.

- Oho - mruknął Strażnik Parku. Patrzył przez chwilę, jak wesoly do niedawna młodzieniec leci na ścianę, kolega upada na czysty chodnik i brudzi go krwią. Właściwie to nie było przestępstwo. Świat przywracał równowagę.

- Pokażcie im, chłopaki, jakie wesole jest życie - powiedział Strażnik Parku, odwrócił się i odjechał.

**R**obiło się coraz zimniej, nadszedł grudzień. Chłostane mroźnym wiatrem, czerwone i suche dłonie, zaciskane na kierownicy. Ogromne noce, pod niebem jakby pogłębionym mrozem, migoczące gwiazdami jak czarny diament na czarnym aksamicie. Wszystko puste. Coraz trudniej napotkać przestępcę, coraz trudniej napotkać kogokolwiek na ulicach miasta. Przestępcy gdzieś się pochowali. Gabriel miał najwięcej roboty przy nocnych klubach, przez ich drzwi wytaczali się napojeni wódką i piwem faceci, z których nie zdążyła jeszcze wyparować żądza awantury.

- Czego tak stoicie na ulicy? - pytał, przejeżdżając na rowerze.

- A co, nie wolno?

- Nie wolno. Bo mi się takie stanie nie podoba.

Bez maski był anemicznym i alergicznym nastolatkiem, a jednak nikt nie chciał go bić. Ktoś tam ewentualnie mruknął: „spierdalaj”. Pewność w głosie peszyła awanturników. To strach ofiary budzi ochotę do zabawy. Skoro ich zaczepia, skoro się nie boi, widać jest silniejszy, decydował instynkt samozachowawczy, a ponieważ byli zamrozczeni, mogli słuchać jedynie jego głosu. Instynkt czuł bestię, która mieszkała w chudym chłopaku. Więc odwracali się, mamrotali coś.

- Ej, mówię do was! Znacie Mariusza Bazika?

- Jedź stąd, cwelu.

- Co powiedziałaś?

Cisza.

Podziemnym przejściem pod skrzyżowaniem Jagiellońskiej z aleją „Solidarności” idą mutanty. Daleko przed nimi dwóch pracowników ochrony w żółtych kamizelkach. Mutanty rozochociły się, jeden z podnieceniem uderza pięścią o otwartą dłoń i buczy jakąś melodię, mającą pewnie zagrzewać do boju. Ochroniarze udają, że nie słyszą, i oddalają się z godnością. Nagle z bocznego przejścia wychodzi mała, chuda figurka, twarz zasłonięta kapturem czarnej bluzy.

- Mógłbyś proszę nucić trochę ciszej, bo głowa mnie boli? - zwraca się do podochoconego śpiewaka.

- Chcesz kurwa, żeby cię bardziej bolała?

- A co, kurwa, taki mocny jesteś? - odpowiada Gabriel. - Wiecie, że mam w plecaku pięć tysięcy?

- To idź na zakupy.

Odchodzą.

- Stać! - krzyczy, sięga pod kaptur i opuszcza na twarz maskę, drugą ręką wyciąga z kieszeni pistolet.

- No i co teraz, pizdy? - pyta. Przystają. Słyszą w jego głosie, że marzy o tym, żeby strzelić i zabić. - Teraz już nie jesteście tacy mocni?

Patrzy na ich nieruchome sylwetki, nienawiść wykrzywia mu twarz. Wyciągniętą lufą zakreśla łuk, celuje po kolei w prymitywne pyski.

- Bam! - mówi, podrywając do góry pistolet. - Bam!

- Człowieku, daj spokój - mówi jeden. - Zrobiliśmy ci coś?

- W waszym zachowaniu wyczułem coś nieodpowiedniego.

Milczą.

- „Ktoś, kto nie ogląda się na nic, i ktoś, kto nie boi się zranić, kto psiarni pokazuje, jak się broni ludzi, ballada o Strażniku długo się nie znudzi!” - wyrecytował Gabriel.

- Znacie?

Pokręcili głowami.

- Widać nie wiecie, co jest modne w hip-hopie teraz. A znacie Mariusza Bazika?

Kręcą głowami. Chcą żyć. Każdy chce żyć, jakie to nudne.

- No dobrze. Mam dziś dobry humor. Won mi stąd. I jak ktoś was prosi, żeby ciszej śpiewać, to na przyszłość

ściszać jadaczkę. Dobro nade wszystko! Dobro zwycięży!  
Pa.

Na ulicy Poznańskiej stoi zmarznięta córa miasta. Przekrwione, zmęczone oczy, czego nie może ukryć cień do powiek. Zaciska wąskie, obwiedzione karminową szminką wargi. W kącikach ust pojawiają się pionowe zmarszczki, warstwa pudru zapada się. Czeka na zbłąkanych wędrowców, żeby zwabić ich w sidła swoich ud. Na ulicy Poznańskiej gwizdże grudniowy wiatr, stare gazety lecą na plecach tego niewidzialnego lekkoducha. Ze studzienek ściekowych unosi się para, tylko tam czuć ciepło, bijące od podziemnej rzeki ludzkich nieczystości, drugiej, tajnej Wisły. Rzeki grzechu.

Pojawiają się potencjalni klienci. Dwa bycze karki, brązowe, skórzane kurtki z jasnym futerkiem.

- Ooo, twardziele! - woła do nich dziewczyna.

- Chyba pierdziele - mówi chudy chłopiec w czarnej bluzie, jadący za nimi na rowerze.

- A ty guza szukasz? - pyta jeden potencjalny klient.

- A ty widziałeś go gdzieś? - odpowiada pytaniem Gabriel.

- To twój braciszek? - pyta zdziwioną prostytutkę drugi kolos.

- Chodź, Sławek, będziesz się dziwką zajmował i jakimś pedałem.

- Jak to jest, że wy, zawsze chodzący w męskich parach, uważacie innych za pedałów? - chce wiedzieć chłopak, ale tamci odchodzą.

- Znacie Mariusza Bazika? - woła za nimi.
- No i co teraz? - pyta dziewczyna. - Spłoszyłeś mi gości. Może ty masz na coś ochotę?

Gabriel zsiada z roweru. Zastanawia się.

- A co proponujesz?
- Sprawdź.

Stanął przed prostytutką, wsunął dłonie pod krótką spódniczkę i złapał ją za tyłek. Zbadał jego kształt, dwie półkule obciągnięte rajstopami z lycry. Poczul na jej poślądkach gęsią skórę, drżała z zimna. Skrzywił się. Spojrzał w ziemię i odchrząknął.

- Nie, dziękuję - powiedział i wsiadł na rower.
- Zajebana noc - stwierdziła dziewczyna. - Ale ty mi jednak zapłacisz.

- Naprawdę?
- Tak.
- Za to, że dotknąłem?
- Pieczywo dotknięte uważa się za sprzedane.

Zamrugnął oczami. Sięgnął po portfel. Zaśmiała się.

- Nie no, jaja sobie robię.

Chciał odjechać, ale podniosła rękę.

- Zapłacisz mi, bo znam Mariusza Bazika.

Zeskoczył z roweru, który pozbawiony oparcia przewrócił się na chodnik.

- Daj mi pięć dych - powiedziała.

Opuściła wzrok na banknot, zaczęła zwiijać go i rozwijać.

- Może przesadziłam z tym znaniem. Dwa lata temu, jak jeszcze w agencji robiłam, jakiś starszy wujek, widać, że przy kasie, przyprowadził takiego grubego, młodego blondyna. Powiedział, żebym z nim delikatna była.



- Delikatna - powtórzył Gabriel i uśmiechnął się.
- No i faktycznie, ten gruby jakiś rozstrojony strasznie, nic nie robił, może naćpany albo co. Tylko zaczął płakać i spytał, czy uważam, że śmiesznie się nazywa, Mariusz Bazik. A potem krzyczał, że wszystkich pozabija. Chory gnojek.

- No i co dalej? Wiesz, gdzie mieszka?
- Nie legitymujemy klientów, wyobraź sobie. Na nowo się rozkleił i mówił, że jest bardzo nieszczęśliwy. Ale mi się już słuchać tego nie chciało, powiedziałam, że albo coś chce, albo do widzenia. Rzucić się zaczął znowu, walnął pięścią w drzwi i wyszedł.

- A tego starszego nie znasz, co go przyprowadził?

- Pierwszy raz na oczy widziałam. I cała historia.

Gabriel milczał. Nie były to dobrze wydane pieniądze. W końcu podniósł głowę.

- Oszukał cię - powiedział, podnosząc rower.

- Naprawdę?

- Mariusz Bazik dopiero będzie nieszczęśliwy.

**I** tak jak puste były grudniowe noce, tak puste stawały się wyprawy w poszukiwaniu zła. Jeździł coraz dalej. Błękitna gwiazda na przedzie białego roweru krążyła po coraz większych orbitach.

Często jeździł Wałem Miedzeszyńskim. Zatrzymywał się na nasypie przy brzegu rzeki i patrzył na czerwone i niebieskie światła na szczytach dwóch wieżowców-bliźniaków po drugiej stronie Wisły. Te światła oznaczały dalekie piękno, tajemnicę, przyszłość. Był w nich absolut.

Wiał bardzo silny, lodowaty wiatr. Tylko emocje są święte, niosą w sobie wieczność. Nie umiemy ich nazwać, nie umiemy ich wyrazić, zawrzeć w słowach. Są poza nami i nie wiadomo, co oznaczają, różne od strachu, przyjemności, miłości, agresji.

Lubił też porywisty wiatr. Lubił wszystko, co związane z wiatrem, co trochę chłodne. To życie, zmiana i ruch. Letarg jest ciepły i cicho szumi. Nic się nie czuje.

Z braku zajęcia podczas jałowych podróży zaczął zastanawiać się nad rewolucyjnym systemem fizycznym. A co, myślał, jeśli energia to tak naprawdę chłód, a nie ciepło? I to zimno utrzymuje wszechświat w całości, bo w ciepłe zaczęłyby się rozkładać, śmierdzieć. Może zresztą są dwie energie. Ludzie powinni zacząć zauważać energię lodowatą, która zamraża, a nie ogrzewa.

Jeździł pod nowymi, czterdziestopiętrowymi biurowcami, przeszklone, świeciły nocą jak zimne choinki, za szybami pelzły panoramiczne windy.

Architektura tego miasta, te wieżowce, kościoły - to przecież kiedyś był projekt na papierze, a przedtem wyobrażenie w czyjejś głowie. Teraz chodzimy wśród wznoszących się nad nami betonowych marzeń o nowych krajobrazach miasta. Ta myśl oszałamiała go. Pomysł zamienił się w stal. Ale ostatnio budowy stanęły.

Do niedawna w centrum wyrastał jeden wieżowiec za drugim. Jeden wyższy od drugiego, a każdy w innym stylu głoszący zamożność inwestora. Otoczenie zmieniało się co dnia. Przeszkłone biurowce zasłaniały stare widoki, tylko po to, żeby nazajutrz zniknąć w cieniu nowych budowli. Budujemy nowe, budujemy nowe. A teraz nagle dźwigi stanęły, bo gdzieś za oceanem upadł bank Lehman

Brothers. Ludzie zdziwili się, że bank może upaść, zaczęli się bać i nastąpiły czasy kryzysu.

Drapacze chmur z zewnątrz były wspaniałe, a w środku puste i zimne, nie było już nikogo, kto dysponowałby wystarczającą ilością pieniędzy, żeby wynająć w nich biuro. Puste, przeczyste kondygnacje wisiały w milczeniu nad ulicami.

Kiedy miasto go już męczyło, kiedy nie znajdował w nim nic do roboty, wybierał się poza jego granice. Długo jechał drogami wylotowymi, tam gdzie budynków było coraz mniej, a coraz więcej lasów i nieuprawnych pól.

Osiemnastoletni chłopak w masce stoi, oparty o rower, przy oświetlonej latarniami ulicy. Za nim zagadka lasu. A przed nim pędzą samochody, cel - stolica, miasto pracy i marzeń.

Samotni mężczyźni w niedzielę późną nocą zdążają z czterech stron świata do Warszawy. Prowadzą w milczeniu. Czeka ich pięć dni w korporacji. Po weekendzie spędzonym wśród swoich jadą w firmowych autach, słuchając nocnego radia, a na wieszakach, przyczepionych do zagłówków, kołyszają się wyprasowane garnitury.

**W**racał o świcie z uczuciem niedosytu.

Brak połączeń na nowym telefonie.

Brak wiadomości o Baziku.

Znalazł w Internecie strzelnicę w kompleksie basenowym Warszawianka. Pojechał tam po szkole. Spodziewał się surowego wnętrza jak z amerykańskich filmów, tymczasem kiedy zszedł po schodkach, ujrzał skórzane kanapy,

złote trofea, recepcję z urodziwą recepcjonistką, a korytarz otwierał się na salę z fotelami, w których siedziały zadowolone grubasy i o czymś gwarzyły. Było drogo.

- Życzysz sobie tarczę sportową? - spytał nerwowo mrugający młody instruktor.

- Proszę tę z Bazikiem.
- Słucham?
- Tarczę z człowiekiem.
- Jaka broń? Mamy desert eagle.
- A Glocka 17 macie?

Wyglądał zupełnie jak jego Glock. Tak samo wygodnie leżał w dłoni i zapraszał do strzału.

- Nie wolno kierować broni poza tę linię. Nie wolno wychodzić z bronią poza tę linię. Cały czas musi być skierowana w stronę tarczy. Nie odwracaj się!

- Bo co, zastrzelisz mnie? - zaśmiał się Gabriel.

Założył ciężkie ochraniacze na uszy, instruktor też. Nie słuchał wyjaśnień nerwusa, który pytał, czy chce strzelać z postawy sportowej czy taktycznej.

- Proszę o oddanie pięciu strzałów - powiedział wreszcie instruktor.

I Gabriel zaczął strzelać. Raz za razem. Wdychał zapach prochu, w ekstazie i w gradzie wypryskujących z boku lufy łusek. Jeszcze, jeszcze, prosił pistolet. Instruktor krzyczał, żeby Gabriel przestał, już dawno poszło pięć kul, ale bał się go dotknąć. I nagle pistolet przestał pluć ogniem, choć Gabriel wciąż naciskał na cyngiel. Zauważył w końcu, że zamek zatrzymał się w odciągniętej pozycji, skończył się magazynek. Odłożył pistolet na podest, zakrył oczy i westchnął głęboko. Zdjął ściskające mu głowę słuchawki.

- Który to guzik? - spytał pobladłego instruktora i nie czekając na odpowiedź, nacisnął przycisk w blaszanej puszcze. Papierowa płachta, zawieszona pod sufitem na szynach, podjechała do niego z furkotem. Nie chciało mu się liczyć dziur w głowie, w piersi, nawet w szyi. Trup.

- Broń pusta, sprawdziłem - instruktor wypowiedział formułkę drżącym głosem i zabrał pistolet. - Proszę wyjść.

- Czy mogę prosić jeszcze jeden magazynek?

- Nie.

Na schodach minął czterech młodych mężczyzn w garniturach. Świeciły im się oczy. Po dniu spędzonym na nudnej pracy w dziale marketingu wreszcie sobie troszkę postrzelają.

To było dobre. Ale za drogie. Parę takich sesji i skończą mu się wszystkie oszczędności. Może przyjdzie tu na imieniny.

**Z**apisał się też na siłownię Apollon, mieściła się nad ich sklepem spożywczym. Na dole kobiety i starszankowie nosili wśród regałów czerwone koszyki, pakując do nich bułeczki i wołowinę, a na górze dziewczęta na steperach wspinały się na nieistniejące szczyty i nabici mięśniami mężczyźni sapali na ławkach, podnosząc i opuszczając sztangi. Czasem któryś wstawał z ławeczki, ocierał pot, podchodził do lustra, przybierał pozy i w milczeniu długo patrzył, co osiągnął, wykonując od lat różne ruchy metalowymi ciężarami. Kiedy ćwiczy się hantlami, warto kontrolować, czy łokieć dobrze się zgina, i generalnie śledzić

pracę muskulatury, więc przed każdym lustrem tłoczyło się paru siłaczy. Marszczyli brwi, opuszczali po męsku kąciki ust i wpatrywali się w swoje imponujące postacie, omijając wzrokiem odbicia kompanów ze względu na wymogi uprzejmości i dyskrecji. W kącie sali jeden z gigantów przycupnął na stołeczku, chrupiąc ryżowe pieczywo.

Gabriel wstydził się, że jest taki chudy - każdy z mężczyzn miał na sobie tyle mięsa, że starczyłoby na pięciu Gabrielów. On nie zajmował wiele miejsca w świecie. W przeciwieństwie do większości atletów, ćwiczących w koszulkach bez rękawów albo wręcz nagich do pasa, przechodził odziany w zakrywający wszystko szary dres. Rzucał się na sztangi i unosił je, a ból mięśni, gorąco i sprzeciw całego ciała napełniały go rozkoszą. W siłowni ginęło zniecierpliwienie kolejną pustą nocą. Doprowadzał siebie na próg śmierci z wyczerpania i kiedy wychodził na ulicę, czuł się cudownie lekki i wszechmocny. Czuł, że mógłby zonglować tymi emerytami, dźwigającymi siatki pełne parówek i kefirów. Już po kilkunastu minutach ćwiczeń prosił wzrokiem atletów z siłowni Apollon, żeby spróbowali zażartować z jego wątłej sylwetki. Ale oni zajmowali się sobą.

- Masz masę okej, tylko z rzeźbą jest kłopot - mówił jeden siłacz do drugiego.

Po powrocie z siłowni Gabriel spróbował posłuchać swojej muzyki. Położył się na łóżku ze słuchawkami w uszach i włączył King Crimson. Po chwili wyłączył.

- *Helicopter fuck* - mruknął.

*Helicopter fuck* była to rewolucyjna, nowa metoda odbywania stosunku seksualnego. Gabriel zapoznał się z tą ciekawostką parę lat temu, oglądając w Internecie japoński film. Polegało to na tym, że kobieta kładła się na plecach, łapała się pod kolana i przyginała nogi do głowy, a mężczyzna wchodził na nią, wkładał penisa, po czym sprawnie odpychając się rękami w lewo lub w prawo, wirował na niej niczym skrzydła helikoptera. Czego to ludzie nie wymyślą.

Teraz wydało mu się, że cały ten rock progresywny to *helicopter fuck*. Muzycy przypominali mężczyzn, którzy zdobywają najpiękniejsze kobiety świata po to, żeby robić im *helicopter fuck*. W prostocie siła.

Jego muzyka nie przynosiła mu już wytchnienia.

Nawet nie próbował brać się za Rimbauda.

Kim był chłopak, który czytał te poematy.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł ojciec. Uśmiechał się i kręcił głową. Usiadł na łóżku obok Gabriela.

- Pora chyba pogadać - powiedział. - Zbierałem się i zbierałem, ale chyba najwyższy czas.

- O czym?

- No o czym. O tych twoich nocnych eskapadach.

Gabriel znieruchomiał. Wyjął słuchawki z uszu i powoli położył je na poduszkę. Próbował wyczytać z twarzy ojca, co teraz nastąpi.

- Co, myślałeś, że nikt nie zauważy? - Ojciec przy-mrużył oko. - Ja mam czujny sen. Od dawna już wiedziałem. Nie bój się, nic nie powiem matce.

- To dobrze...

- Ale uważacie? Wiesz, co mam na myśli.  
- Uważamy - odpowiedział, wpatrując się w twarz ojca i próbując zrozumieć, o co chodzi.

- Bo jeszcze jestem za młody, żeby dziadkiem zostać.

- A... no tak. Uważamy.

Inżynier pochylił się nad synem.

- Pamiętaj, żeby ten czubek tak ścisnąć przy zakładaniu, bo może powietrze zostać i pęknie cały interes.

- Ściskam czubek.

- To Sonia cały czas? Jak ona zniosła to wszystko?

- Trochę w szoku była, ale już jest dobrze.

- Przyprowadziłbyś ją kiedyś do nas. To już ile, parę miesięcy? A jeszcze ani razu nie widziałem, czy mój syn dobrze wybrał, he, he.

- Dobrze, tato.

- U niej się spotykacie, nie szwendacie się po mieście?

- U niej, u niej.

- Tylko uważaj, jak wracasz, niebezpiecznie teraz.

- Uważam, tato.

- I dobrze zamykaj drzwi, jak wychodzisz.

- Sprawdzam dwa razy.

- No widzisz. Można na mnie polegać, co?

Gabriel zacisnął chude palce na wyciągniętej ku niemu dużej, miękkiej dłoni. Ojciec potrząsnął nią, mrugnął i wyszedł.

Ciekawe, czy powstałem, bo ojciec nie ścisnął czubka, zastanowił się Gabriel, patrząc w ścianę. Nikt nie wie, że moja droga prowadzi w ciemność.



## Rozdział 10

Było jeszcze ciemno, kiedy jechał do szkoły. Kolejny grudniowy dzień zemrze, zanim się naprawdę narodzi, we mgle, w szarości. Zeszłej nocy przepłoszył tylko paru nastolatków, siedzących na ławce i pijących piwo.

Wojna oddalała się, nie wiadomo, nad jaką ziemią dobro walczyło ze złem pod burzowymi chmurami. Nawet jego nędzny czarny piasek sączył się nikłym strumieniem. Nie mógł się doczekać siłowni.

Pod koła wszedł mu zagapiony urzędnik. Wyminął go i zadzwonił przeraźliwie dzwonkiem.

- Ścieżka rowerowa, nie widać?! - wrzasnął.
- Ty kretynie jeden! - krzyknął urzędnik.

Gabriel zatrzymał się i cisnął rower na trawę. Podeszedł do znieruchomiałego mężczyzny.

- Co powiedziałeś do mnie? - spytał i popchnął go w ramię.

- Odczep się, małolacie ty! - powiedział wciąż gniewnym, ale drżącym głosem urzędnik, odwrócił się i odszedł, starając się nie biec.

Gabriel zaśmiał się głośno, żeby tamten słyszał. Wrócił do roweru i ruszył w dalszą drogę. Jak ludzie nie szanują

przepisów, nigdy nie będzie dobrze w tym kraju.

**T**rwał ostatni dzień szkoły przed przerwą świąteczną. W rogu sali stała choinka, na gałązce wisiał Święty Mikołaj, nieco sfatygowany, bo podczas przerwy służył uczniom za piłkę. Przyjemnie było siedzieć obok choinki.

Gabriel wdychał zapach iglastego drzewka i przeglądał się w bombkach. Ruszał głową i wtedy odbicie twarzy komicznie się deformowało. Wyglądał jak potwór z innej planety.

- Gabriel.

Odwrócił się w stronę tablicy.

- Ogłuchłeś, chłopcze, czy zabawa z choinką tak cię pochłonęła? - spytała profesor Duda.

- Słucham?

- Nie było cię na wigilii szkolnej.

- Szczerze mówiąc, umknęło mi to ważne wydarzenie.

**P**o drugiej lekcji poszedł przespać się w szatni. Labirynt boksów, klatki dla zwierząt w zoo. W jego boksie trzech muszkieterów dyskutowało o jakichś swoich nieudacznym zainteresowaniach. Trzymali na kolanach karty do gry fantasy.

- Zielony troll zawsze pokona złodzieja - dowodził imperator w przepoconym swetrze, a pokręcony zając trząśł w powietrzu chudym palcem, dając do zrozumienia,

że zaraz powie coś takiego, co ostatecznie przekona rywali.

- Spieprzajcie stąd - powiedział Gabriel, stając w wejściu. - Gejbriel was ładnie prosi.

Podnieśli się z wyniosłymi minami na brzydkich twarzach. Minęli go bez słowa.

- Nie zapomnijcie zatyczek do dupy - rzucił za nimi, wszedł do boksu i wyciągnął się na ławce.

Przymknął oczy, ale zaraz je otworzył, usłyszał kroki. Do szatni weszła Jola. Gdzieś odstawiła dwie nieodłączne, gadatliwe kapłanki swojej gwiazdy.

- Nie wyśpię się dzisiaj, widzę - powiedział Gabriel i usiadł. - Zapomniałaś czegoś?

- Ale ty kozak się zrobiłeś - Jola usiadła przy nim. Przez materiał sukienki grzało go jej konkretne udo. - Lecisz na czymś?

- Na powietrzu - odpowiedział. Poruszyła nogą i poczuł, że przebiega go przyjemne drzenie.

- Zadzwońłbyś czasem do koleżanki z podstawówki, zaprosił na jakieś tańce przytulańce.

Skrzywił się. Jak ona ohydnie mówi, zaciąga.

- Nie mam twojego numeru.

- To ci dam. Dżizas fak, ty jednak wciąż mało rozgarnięty?

- Dlaczego?

- Nie chcesz chodzić ze mną?

- A po co?

- A po co się chodzi?

- Nie wiem.

- No to ci powiem.

- No to mi powiedz.
- No różne rzeczy można robić.
- Na przykład?
- O na przykład.

Pocałowała go. Wziął jej rękę i położył sobie na kroczu. Zaśmiała się.

- O, ty jednak wiesz, o co chodzi, konkretny jesteś.
- No to zejź na dół.
- To nie bardzo zaciszny kącik...
- Ale ty to jednak sztywna jesteś jak zakonnica.
- Sam jesteś sztywny! - Zacisnęła rękę i zagryzła wargi, światelko błysnęło za wysmarowanymi tuszem rzęsami. - No to dawaj.

Rozpięła mu rozporek i opuściła głowę. Gabriel oparł się o kurtki kolegów z klasy. Ssała mu, było to w miarę przyjemne uczucie, ciepłe i śliskie. Oburącz ugniatał przez bluzkę jej legendarne piersi. Były ciepłe i elastyczne. Kiedyś śnili o nich koledzy z klasy i Gabriel także. Oto sen się spełniał. Ale nie był pewien, czy najpierw będzie miał orgazm, czy najpierw zaśnie. Orgazm jednak nadszedł pierwszy, już na granicy osuwania się w drzemkę. Nawet otworzył oczy. Jola krzyknęła i wypuściła go z ust, dokończyła ręką, śmiejąc się na widok każdego wystrzału spermy. Potem potrząsnęła członkiem, jakby potrząsała dłonią dyplomaty.

- Miło mi pana poznać. No i co, zakonnica jestem?

Gabriel wytarł się czymś szalikiem, wciągnął majtki i zapiął spodnie. Jola wyjęła telefon.

- Wstukuj. Pięćset dwa...
- Sama sobie wstukaj.
- Co?

- Nie jesteś zakonnica - rzekł uprzejmie Gabriel. - Ale dziwką to ty jednak jesteś. I to w takim wieku.

Wstał, wziął kurtkę i wyszedł z szatni. Jolę najpierw zatkało, potem zaczęła ciskać za nim przekleństwa, nawet podbiegła i uderzyła go pięścią w plecy. Tylko się zaśmiał.

Przy stoliczku, ustawionym przy drzwiach szkoły, siedział emerytowany ochroniarz. Był żółty i pomarszczony, twarz wyglądała jak stare mydło, rozsychające się w szafce pod zlewem.

- Idę do domu - powiedział Gabriel.

- Po drugiej lekcji?

- Źle się poczułem. Chyba będę rzygał.

- To do pielęgniarki proszę najpierw... - ochroniarz złapał go za ramię.

- Puszczaj mnie! - wrzasnął Gabriel i wyrwał się starszemu. - Bo zastrzelę!

Zbiegł po schodach na podwórze. Stał przy rowerze i zaczął pluć. Dziadek stał na schodach i coś krzyczał.

Gabriel odwrócił się do niego.

- Kim jestem?! - wrzasnął. - Wiesz, kim ja jestem?

Ochroniarz umilkł. Gabriel odczepił rower i odjechał, rezygnując na ten dzień z edukacji.

Ojciec nie zdziwił się na jego widok ani on na widok ojca, choć nie wybiło nawet południe. Ojciec siedział na dywanie w salonie, głaskał Gucia i płakał.

- Zwolnili mnie z pracy - powiedział. - Nie pojedziemy na ferie w Alpy.

- Są ważniejsze rzeczy niż wyjazd w Alpy, tato - odparł Gabriel.

- A skąd będziemy mieli pieniądze na życie, może mi powiesz? - zaskomlał ojciec. - Z tej świetlicy matki?

Gabriel skrzywił się. Miał przed sobą zalaną łzami, czerwoną na twarzy babę.

- Nie wiem, tato.

- Nie wiesz!

- Jeszcze jestem dzieckiem.

- Nie zdejmuj kurtki - ojciec pociągnął nosem i przetarł oczy. - Pójdziemy po choinkę.

**P**od Uniwersamem rozstawił się wigilijny przekupień. Wokół ciśniętych na stos choinek chodzili klienci i badali urodę drzewek. Ustawiali je, przymykali oczy i wyobrażali sobie, jak będą wyglądały obok telewizora.

- Nie no, ta jakiś oświęcimiak - powiedział z niesmakiem pan w futrzanej czapie i odrzucił choinkę na iglastą stertę.

Zaczął padać śnieg. Gabriel oglądał z ojcem choinki.

- Mam trzy miesiące wypowiedzenia. Ale ten dupek powiedział, że biurko i komputer potrzebne, więc nie muszę przychodzić. Zobacz, ta może być?

- A stać nas na choinkę?

Ojciec zacisnął usta i zaczął wlec upatrzone drzewko do sprzedawcy. Gabriel wystawił język, żeby posmakować śniegu.

Pod Uniwersamem kłębiły się tłumy spoconych, przeklinających ludzi, taszczyli torby wypchane jedzeniem i prezentami.

Gabriel pomyślał, że właściwie osiemnastolatek powinien zacząć kupować rodzinie prezenty na Gwiazdkę. Dorosłość miała złe strony.

Może kupi coś Oli?

- Jeszcze karpia musimy wziąć. Wezmę martwego, nie wiem, jak inni ojcowie mają w sobie tyle barbarzyństwa, że w domu jatkę urządzają.

Ojciec boi się zabić rybę.

- Ja mogę zabić, jeśli trzeba.

Na słupie ogłoszeniowym wisiał plakat reklamujący koncert piosenki ulicznej „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka”. Gabriel przystanął przed plakatem i z obrzydzeniem przeczytał parę słów o szemranym, nieco bandyckim uroku, o warszawskich podwórkach, Czarnej Mańce i kozakach z Gnojnej. O honorze warszawskiego złodzieja, który polega na tym, że warszawski złodziej nie okradnie sąsiada. Łaskawca. Artyści podniecają się tym romantycznym półświatkiem, którego na oczy nie widzieli, jak wszyscy inteligenci, wychowani w cieplarnianych warunkach. Oby ich warszawscy złodzieje złapali w nocy i zgwałcili kijem. W sumie nie są sąsiadami, więc honor warszawskiego złodzieja nie dozna uszczerbku. Wtedy wymuskani artyści poczują, co to znaczy świat przestępczy, jacy Robin Hoodzi w nim mieszkają.

Parę dni temu bardzo się ucieszył, kiedy przeczytał w kronice kryminalnej, że znany reżyser komedii gangsterskich został napadnięty pod swoim domem, paru bandziorów skopało go i wybiło mu zęby. Być może zastanowi

się, zanim nakręci kolejny film o tym, jak śmiesznie jest w gangsterskim świecie. Pora na komedie romantyczne.

Na śniegu leżała czarna ulotka reklamująca sylwestra w klubie Tiffany's, wykonana w stylistyce plakatów *Rodziny Soprano*. „The Sylvester 2009. Poznasz smak gangsterki... Śpiesz się z rezerwacją, tak szybko odchodzą. Po północy zapraszamy na pieczonego prosiaka faszerowanego kaszą i grzybami. Dla wytrwałych gangsterów i ich pięknych dam Tiffany's przygotuje śniadanie ok. 5.00”.

Gabriel podniósł ulotkę. Z naprzeciwka nadjeżdżała wózkiem inwalidzkim owinięta czarną chustą staruszka. Jej pięćdziesięcioletnia córka z trudem pchała wózek przez śnieg. Między nogami staruszki jechała wielka choinka.

**K**iedy matka szykowała wigilijne potrawy, ojciec opowiedział o trudnej sytuacji. Gabriel stał w drzwiach kuchni. Pachniało jak w dzieciństwie, ten wieczny, dobry zapach Gwiazdki.

- Na pewno coś się znajdzie, masz doświadczenie - powiedziała.
- Doświadczenie to ci menedżerkowie mają w dupie.
- Niemożliwe.
- Dobrze, że zostało jeszcze trochę oszczędności.
- Dzięki temu, że przestałeś grać na giełdzie.
- Oj, daj spokój, miałem dobry system, ale bossa na rynku i najlepszy system się wali. Wydawało się, że hossa, ale to była fałszywa hossa, grubasy mydliły oczy



drobnemu akcjonariatowi. Ale tak myślałem z tą świetlicą twoją...

Matka wróciła do garnka i zaczęła w nim mieszać.

- Trzeba kupić uszka, nie mam siły lepić w tym roku.
- Oni nie mogliby ci zacząć płacić?

Matka milczała.

- To wolontariat - powiedziała w końcu. - Za darmo.

Dla radości. Pamiętasz, co to praca dla radości?

- No to może na Wigilię zeżremy radość zamiast karpia! - Ojciec walnął pięścią w stół. - I pod papierkami, w prezentach, o! Radość! Dziękuję, Święty Mikołaju!

Gabriel wycofał się i chciał pójść do siebie, ale kiedy minął pokój Oli, zobaczył, że drzwi są otwarte. Dziewczynka trzymała w dłoni lalkę Joannę i patrzyła ze strachem w stronę kuchni.

- Ubierzemy choinkę? - poprosiła go.

**W**ieczorem ojciec poszedł na wigilię dla pracowników w restauracji Papu. Wrócił z prezentami od firmy: pudełkiem luksusowych czekoladek Ferrero Rocher i karnetem na peeling ciała w hotelu Intercontinental.

Oddał karnet matce i przeprosił za awanturę.

- To było upokarzające - poskarżył się. - Wychwalał mnie i dziękował za to, co dla nich zrobiłem, zupełnie jakby nie wypieprzał mnie właśnie na pysk. A kiedy Święty Mikołaj wyczytał moje nazwisko, ten kretyn Jurek zawołał: o, ten to był bardzo niegrzeczny w tym roku!

- Mówiłeś, że on zawsze upija się pierwszy - powiedziała matka.

Gabriel odsunął się od drzwi ich sypialni, włożył kurtkę na czarną bluzę i wyszedł na klatkę.

**D**aruję ci życie z okazji Bożego Narodzenia - powiedział do trzęsącego się chłopaka, który nadal trzymał w ręku torebkę. Przestał do niego celować. - Wesołych świąt życzy Strażnik Parku.

Zaczął odjeżdżać. Usłyszał za sobą krzyk złodzieja:

- To ty tu jesteś nienormalny! Rozumiesz, debilu? To cię trzeba zamknąć!

- Oj, bo się rozgniewam i Gwiazdki nie będzie - powiedział Gabriel, ale kiedy się odwrócił, po chłopaku nie został ślad.

**N**astał najpiękniejszy dzień w roku. Ludzie świętowali urodziny człowieka, który dwa tysiące lat temu z miłości do nich dał się przybić do krzyża. Ale nikt nie miał siły o tym myśleć. Wszyscy cieszyli się, że nastał koniec tego całego pierdołnika z szykowaniem Gwiazdki.

Gabriel siedział z Olą w salonie, oglądał świąteczną telewizję i zastanawiał się, czy jest sens czekać z nadzieją, aż Kevinowi, który jak co roku został sam w domu, przydarzy się coś naprawdę potwornego. Do pokoju weszła mama w zielonej bluzce z broszką, za nią ojciec w garniturze, ogolony i pachnący wodą kolońską. Na końcu babcia Wala w czarnej sukni. Podeszli do stołu.

Sztywny biały obrus, sianko i opłatek. Na talerzach

lśniły śledzie w oleju, miski czekały na gorący barszcz. Ale najpierw trzeba podzielić się opłatkiem.

- Życzę ci synku wszystkiego dobrego, spełnienia marzeń, powodzenia w szkole, a przede wszystkim dużo miłości i wybaczenia - szepnęła mu do ucha matka. Żuł opłatek.

- Dlaczego wybaczenia? - spytał.

- Bo to ważne, żeby umieć wybaczać.

Rozłączyli się, nadszedł ojciec, który właśnie skończył składać życzenia Oli.

- Niesmaczny ten wasz opłatek, wiór taki - powiedziała babcia Wala. - Mówiłam, żeby w moim kościele kupić.

Zaczęli jeść. Gabriel nie miał apetytu, choć lubił smażonego karpia. Czym posolisz sól, kiedy straci smak. Jedli, aż napełnili brzuchy, a potem jedli jeszcze więcej.

Gabriel zauważył, że ojciec do niego mruga.

- Muszę do łazienki - powiedział głośno do Oli i wyszedł do pokoju. Na łóżku leżał włochaty kozuch ojca, czapka uszatka i broda z waty. Przebrał się. Założył brodę. Potem sięgnął do plecaka i wyjął pistolet. Włożył Glocka 17 do kieszeni kozucha.

„Bo narodził się Zbawiciel, wszego świata odkupiciel!”, śpiewał w telewizji chór dzieci. Jestem Antychrystem, pomyślał nagle Gabriel. On dał się zabić, a ja zabijam. Pokręcił głową i zakaszłał. Co za bzdury. Nikogo nie zabiłem. Wziął worek.

- Czy są tu grzeczne dzieci? - spytał, wchodząc do salonu.

- Na pewno - mruknęła babcia, dokładając sobie śledzia.

- Jaaa byłam grzeczna! - krzyknęła Ola. - A to Gabriel przecież!

- Jaki Gabriel, on jest w łazience! Święty Mikołaj przyszedł do ciebie - powiedziała mama.

Ola śmiała się, mrużyła oczy. Przybysz był dla niej jednocześnie Świętym Mikołajem i bratem. Widziała raz jednego, raz drugiego i bardzo jej się to podobało.

- Co my tu mamy... - powiedział Święty Mikołaj. - No, worek chudy w tym roku, to przez kryzys na rynkach światowych.

Postawił worek przy choince i wyjął pudło podpisane flamastrem „Ola”. Wręczył je dziewczynce. W środku była książka z obrazkami o amazonce Krysi i zestaw „Mały elektronik”. Ola patrzyła na pudełko, zawierające transformatory i oporniki.

- Ale super! - upewnił ją ojciec. - Zaraz coś ułożymy. Wiesz, że z tego nawet radio można zbudować?

Sam ojciec dostał jakieś nudziarstwo - krawat i wodę kolońską. Ale gadał o tych prezentach strasznie długo, widać było, że chce zrobić przyjemność darczyńcy. Czyli matce Gabriela, bo babcia Wala już dawno uznała się za zwolnioną z rozdawania podarków żyjącym. Założył krawat i popsikał się wodą kolońską. Matka dostała książkę telewizyjnej kucharki Nigelli Lawson.

- Chyba Mikołaj usłyszał, że ci się jej program podoba - powiedział ojciec.

- Na to wygląda! Dziękuję, Święty Mikołaju!

Mama rozciągnęła usta, żeby na twarzy pojawił się uśmiech. Święty Mikołaj zaczął się śmiać, ale nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Obdarowani z początku też się podśmiewali, ale śmiech Mikołaja w końcu zaczął ich przerażać.

- Może tak Mikołaj się opanuje i dokończy rozdawanie prezentów? - spytał zniecierpliwiony ojciec.

- Babcia Wala - powiedział Mikołaj i podał staruszce niewielki pakunek. Babcia Dawne Czasy zerwała opakowanie, w środku był jakiś kosmetyk. Założyła okulary i zmrużyła oczy, żeby odczytać napis na pudełku.

- Aleście się wykosztowali, widziałam taki za dwadzieścia złotych na bazarku - powiedziała. - No i na co komuś w moim wieku krem na noc? Dupę sobie mogę wysmarować.

Teraz Ola nie mogła przestać się śmiać. „Pokój niesie ludziom wszem”, śpiewał telewizor, a na ekranie gwiazdy podrzędnej wielkości dzieliły się opłatkiem. Telewizja Polska zapłaciła im, żeby spędziły Wigilię w studiu.

- A tu jest napisane: dla Gabriela, ale chyba nie widzę tu nikogo takiego - powiedział Święty Mikołaj.

- To nasz synek, w łazience jest - powiedziała mama.  
- Niech Święty Mikołaj rozpakuje.

Pod czerwonym papierem w niebieskie gwiazdy ukrywała się bogato ilustrowana książka *Bodybuilding mistrzów*. Na okładce na tropikalnej plaży długowłosa mężczyzna przeżył muskularne ciało.

- Co takiego? - zdziwił się Mikołaj.

- Chyba Święty Mikołaj podejrzwał kogoś, jak wychodził z siłowni - zaśmiał się z dumą ojciec. - Ciekaw jestem,

czy mój syn się ucieszy.

- Musiałby być wielkim niewdzięcznikiem, żeby odrzucić taki hojny dar - powiedział Mikołaj i odłożył książkę na stół. - No, renifery czekają. Wiele jeszcze rodzin muszę odwiedzić. Żegnam! Wesołych świąt!

Odwrócił się i ruszył do drzwi, ale nagle przystanął i włożył rękę do kieszeni kożucha.

- A zaraz, chyba jeszcze jeden prezent mam.

- Dla mnie! Dla mnie! - zawołała Ola.

- Wydaje mi się, że to prezent dla wszystkich - powiedział Święty Mikołaj i wrócił do stołu, wciąż z ręką w kieszeni. - Gdzie ja go włożyłem?

Święty Mikołaj patrzył na zebranych. Staruszka, która straciła już zainteresowanie chwilą, jadła makowiec. Matka, pracująca w świetlicy dla biednych dzieci, patrzyła na Świętego Mikołaja z pogodnym i bezmyślnym uśmiechem. Ojciec, bezrobotny inżynier, nerwowo poruszał wetkniętą w usta wykałaczką, chciał skarcić Mikołaja za takie szopki, ale bał się zepsuć nastrój. Neurotyczny pieśk Guccio gryzł przy kaloryferze ogromną kość, którą dostał na Gwiazdkę, a teraz warczał na nią za jakieś wymaginowane przewiny. Ola nie odrywała wzroku od brodatej postaci. Mikołaj rozkaszał się.

- A figę, nie zasłużyliście! - zagrzmiał nagle. - Tylko dla ciebie coś mam, dziewczynko. Ale to prezent z jednym zastrzeżeniem.

Wyjął pustą rękę z prawej kieszeni. Włożył rękę do lewej i wyciągnął seledynowego plastikowego kucyka z

wielkimi oczami i złocistą grzywą. Ola krzyknęła z radości i wyciągnęła ręce.

- Zastrzeżenie jest takie: podobno może na nim jeździć tylko lalka Tekla. Masz taką?

- Mam! - Ola była radośnie zdziwiona, jakby podejrzewała, że odbywa się tu jakieś wesołe oszustwo.

- No. Więc to jest jej kucyk, nie innych lalek. Więcej prezentów nie ma, bo nie zasłużyliście! Wesołych świąt życzy Święty Mikołaj!

- Nie wiem, czego może nauczyć taki konik - powiedział do siebie ojciec.

Gabriel wyszedł, zdjął przebranie, schował pistolet do plecaka i wrócił do stołu. Grzecznie odegrał rozczarowanie, że przegapił wizytę Świętego Mikołaja, i miłe zaskoczenie pięknym podręcznikiem dla siłaczy.

**P**otem były słodycze i film w telewizji. Babcia Wala wyszła pozmywać, choć wszyscy tłumaczyli jej, że od tego jest zmywarka. Gabriel wszedł do kuchni.

- Leżę właśnie w gorącej, parującej kąpieli i otwierają mi się wszystkie pory - powiedziała aktorka z filmu.

- Żeby jej się selery nie otworzyły - powiedziała babcia i zaśmiała się sama ze staruszkowatego żartu.

- Babciu, mam do ciebie takie pytanie - zwrócił się do niej Gabriel.

- No co tam, Święty Mikołaju?

- Mówiłaś kiedyś, że matka ma za co żałować. Powiedz mi, o co chodzi.

Babcia wzruszyła ramionami i włożyła pod strumień wody kolejny talerz.

- Niech sama ci powie.
- Babciu.
- A, w dupie mam was wszystkich. Więcej spokoju na święta u siebie bym miała.
- Dam babci spokój, kiedy mi powie.
- Przysięgnij, że nie wygadasz, bo skreślę z testamentu!
- Przysięgam.

Babcia zakręciła wodę i zamknęła drzwi do kuchni.

- Matka twoja, jak ją mój głupi syn poznał, studiowała pedagogikę.

- No wiem przecież. To ta tajemnica?
- Nie przerywaj, jak mam ci coś powiedzieć! Za moich czasów kobity same wiedziały, jak się dzieci wychowuje, ale nie ona przecież. Więc jak się urodziłeś i dali ci to przeklęte imię na gie, próbowałam trochę pomóc, a ta: niech się mama nie wtrąca, ja na uniwersytecie uczyłam się dzieci wychowywać! I miała, rozumiesz, taki podręcznik głupi dla głupków pisany. Tam pan autor czy pani autorka radzili, że niemowlaki muszą uczyć się wszystkich emocji, nie tylko buzi buzi, głasku głasku. Więc jak w genialnym podręczniku naukowym pisali, matka twoja słuchała, i zaczęła uczyć cię emocji różnych, co miało ci wyjść na dobre, a między innymi uczyła cię strachu.

- Matka uczyła mnie strachu?

Poczuł dreszcze na plecach. Babcia wzięła się pod boki, zadowolona.



- Jak? - spytał.

- Kupiła maskę potwora, rozumiesz. Zostawiała cię w łóżeczku czy wózku, wychodziła, zarzucała płaszcz i wracała w tej masce, wydając jakieś okropne zawodzenia. Wrzeszczałeś jak opętany, płakałeś, no ale trzeba przecież cię wychować, to dla twojego dobra, nie tam, żeby lepiej cię nauczyć pacierza. Syn mój, pantoflarz jak wiadomo, słuchał jej i nie przeszkadzał.

- I co dalej?

- No co dalej. Zacząłeś bać się byle czego, chowałeś się, jak ktoś przychodził, uciekałeś na czworakach i właziłeś pod stół, a w końcu jak poszedłeś do szpitala dzięki imieniu swojemu wspomniałemu, coś ją wreszcie trafiło, podręcznik wylądował w śmieciach razem z maską. Rzuciła studia, to od razu zmądrzała. Dobrze, że Olę chociaż po ludzku wychowywali.

Gabriel nic nie mówił. Babcia patrzyła na niego, mrużąc małymi, złymi oczami. W końcu pokręciła głową.

- Lżej mi, jak ci powiedziałam. Jakiś pożytek z tej Gwiazdki przynajmniej.

Stali jeszcze trochę w ciszy.

- Tylko nie bądź zły na nią, głupia bo głupia i z prowincji, ale dobrze chciała.

W korytarzu zabrzmiały kroki. Przyszedł ojciec, żeby zawieźć swoją matkę do ciemnego mieszkania przy placu Waszyngtona.

Ulice tej nocy były zimne i puste, błękitne światelko krążyło po mieście, szukając światła żywej istoty. Okna

ciemne, nadęci kilogramami jedzenia mieszkańcy snuli ciężkie sny, tylko niektóre szyby migotały sino i nierealnie, tam oglądali telewizję, wesoły film na święta. Rower zatrzymał się dopiero przy torach pod wiaduktem.

Strażnik Parku uniósł głowę i wpatrywał się w samotną sylwetkę na górze. Na wiadukcie stał stary mężczyzna w płaszczu i kapeluszu, może nie miał rodziny, z którą mógłby spędzić święta, a może miał aż za dużo rodziny i nie mógł z nimi wytrzymać. Szalik powiewał na wietrze.

Strażnik pomyślał, że mężczyzna chce skoczyć. Ale tamten tylko stał pod nieczułymi gwiazdami miasta, patrzył przed siebie, jedyny w wigilijną noc. Więc Strażnik Parku odjechał. Nie chciał przeszkadzać. Może sam skoczy tej nocy z wiaduktu. Może wykorzysta siódmą kulę Glocka 17, żeby zakończyć historię dziecka, które nauczyło się strachu.

Napotkał ludzi wychodzących z kościoła po pastercie. Stał w cieniu pod drzewami i z nienawiścią obserwował ich zaróżowione, pijane wigilijnymi likierami twarze. Szli zadowoleni, nic nie wiedzieli o niczym. Wyszli z ciepłego kościoła, w którym wyli hymny do nieistniejącej istoty. To ich broni Gabriel przed wilkami. Żeby mogli w spokoju tyć, spędzać dnie, wypełniając w pracy tabele Excela, a wieczorami wpatrywać się w ekrany komputerów, oglądać w telewizji ćwierćmózgie polskie gwiazdy, zadyszane, pretensjonalne, strojące miny do kamery. Dla tego letargu, dla tego domowego rozkładu każdej nocy ryzykuje życie.

Korzyść z przerwy świątecznej była taka, że się wysypiał, spał do południa, potem nawet do drugiej czy trzeciej. Przeszkadzał mu tylko ojciec, sprząający mieszkanie, naprawiający szufladę w bielizniarce, wymieniający uszczelki w kranach. Kiedy za bardzo hałasował, Gabriel naciągał koldrę na głowę i spał dalej, jak niedźwiedź w leśnym legowisku. Nie chciał już nigdy wstawać.

Parę dni przed sylwestrem do drzwi zapukali robotnicy.

- No, robota skończona. Klateczka jak nowa. Chcieliśmy się pożegnać i co złego, to nie my!

Gabriel zawołał ojca. Ojciec był smutny i rozkojarzony.

- No, to do widzenia... na przyszłość nie będziecie chyba tak partaczyć.

- Szefie, ja się w technikum tyle nie nauczyłem, co przez te parę dni z szefem.

- Naprawdę? - na twarzy ojca pojawił się rozmarzony uśmiech.

- No, ale czas na nas. Życzymy wszystkiego dobrego!

- Chyba za późno na wszystkiego dobrego, mnie właśnie z pracy wylali.

- Niemożliwe!

- Możliwe, możliwe. Kumoterstwo i nepotyzm w tych złodziejskich korporacjach, że trudno sobie wyobrazić. Tam wiedza się nie liczy, liczy się tylko, żebyś lizał tyłek prezesowi.

Robotnicy spojrzeli na siebie. Jeden podrapał się po głowie.

- Szefie, a poprosimy na klateczkę na chwilę.

Gabrielowi nie chciało się podsłuchiwać. Pewnie chcą wyłudzić parę groszy na pożegnalne piwko. Może się jeszcze zdrzemnie.

Ojciec wrócił wieczorem. Był pijany. Z dumą stanął przed jedzącą kolacją rodziną.

- Pan kierownik robót idzie! - zawołał, ale zamiast iść, kołysał się w drzwiach, trzymając się framugi. Miał na sobie zielony kombinezon, taki sam, jakie nosili robotnicy remontujący klatkę.

- Zamieniłeś się z nimi na ubranie? - spytała matka.

- Ta, zamieniłeś! To mój własny służbowy uniform. Czwartego stycznia zaczyna się remont w urzędzie dzielnicy!

- Dali ci pracę w ich firmie?

Mam domyślną matkę, pomyślał Gabriel. Straszy dzieci i wykonuje logiczne operacje myślowe.

- Mój szef to jest dopiero facet, nie taka menda jak Kato. A jak umie pić... - Ojciec przechylił się niebezpiecznie, podciągnął na framudze i zaczął chichotać. Nagle przestał. - Przepraszam, na chwilę do łazienki muszę.

Międzyświąteczne noce były pracowite dla Strażnika Parku. Zwolniono z więzienia wielu rzezimieszków, którzy nie umieli odnaleźć się na wolności. Mieli oczy z kamienia, twardą skórę, miejscy chuligani to przy nich panienki. Ale w więzieniach słyszeli legendę o Strażniku Parku.

- Z panem Strażnikiem to przyjemność pracować - powiedział niski, wytatuowany buldog, stojąc pod ścianą z uniesionymi do góry rękami. Za Strażnikiem Parku napadnięty student przyciskał do piersi odzyskany plecak i wycierał krew z brody. - Bo z psami to ja szacunku nie mam.

- Sam im to powiesz - odpowiedział Strażnik i wciąż celując do buldoga, zwrócił się do studenta: - Dzwon po policję.

- Ale numeru nie znam...

- Dziewięć dziewięć siedem - westchnął Strażnik. - A ty odwracaj się i na kolana!

Kiedy student wezwał policję, Strażnik Parku wręczył mu żeglarską linkę i kazał związać recydywistce nogi i ręce. To był nowy patent, kupował cienkie, ale mocne liny w sklepie żeglarskim i zostawiał policji bandytów związanych jak paczki z prezentami. Nadzorował całą operację z wyciągniętym pistoletem. Buldog nie robił problemów, gadał tylko nieustannie.

- Panie Strażniku, no i po co to wszystko, możemy se pogadać jak ludzie z miasta, my się przecież rozumiemy...

Rozumiemy się, pomyślał Gabriel. Obaj gardzimy tym pociągającym nosem okularnikiem, który po raz piąty próbuje zaciągnąć sznurek, bo trzęsą mu się ręce.

- Zamknij mordę! - krzyknął. - Nie mam nic wspólnego ze złodziejami. Ja robię tu porządek.

Na końcu ulicy pojawił się radiowóz.

- Związałeś, ty cioto?! Cholera jasna...

Gabriel wskoczył na rower i odjechał. Buldog zaczął

się wyrywać z luźnych jeszcze więzów, ale z radiowozu już wybiegli policjanci.

Rzucona w krzaki kobieta jeszcze płakała, miała naciągniętą na brzuch sukienkę i porwane rajstopy, a on stał tuż przed kościstym czterdziestolatkiem, trzymał lufę przy jego piersi i wpatrywał się w rekinie oczy, ozdobione po bokach niebieską kropką. Rekin złapał za ściskającą pistolet rękę chłopaka i wygiął ją do góry, siłowali się i pewnie tylko dzięki ćwiczeniom w obiekcie sportowym Apollon Gabrielowi udało się wyrwać pistolet gwałcielowi. Strzelił nad jego ramieniem tuż przy uchu, tamten skulił się i padł na ziemię. Wściekły za zmarnowaną szczęśliwą kulę numer siedem Gabriel zaczął go kopać. Miał zimowe buty przypominające glany, ciężkie gumowe podeszwy uderzały o żebra dziwnie cichego mężczyzny. Jego głowa była tak blisko, parę kopniaków i społeczeństwo odetchnie. Zniknie jedno ziarenko czarnego piasku.

Sam go związał, kobieta tylko płakała i nie chciała się ruszać. Wziął od niej komórkę i zadzwonił na policję.

- Pozdrowienia od Strażnika Parku, lenie śmierzące - powiedział. - Do odebrania na rogu Szaserów i Garwolińskiej.

Potem spojrzął na kobietę. Pod rozchylonym płaszczem i rozerwaną bluzką całkiem w porządku piersi. Zaczęła naciągać majtki, ale zauważył, że ma wygoloną cipkę. Nie spodziewała się, dla kogo to robi, kiedy przejeżdżała w dole brzucha damską golarką. Stał nad nią i patrzył

w milczeniu. Coś mu się przecież od życia należy. Dokończy sprawę i nikt się nie dowie. Uniosła na niego błyszczące od łez oczy. Dziwne zwierzę z lasu zakaszlało i potrząsnęło głową.

- Chcesz go zastrzelić? Wyjdzie za parę lat i znowu będzie to robił.

Wycie radiowozu. Zwierzę syknęło i wskoczyło na rower.

Rodzice organizowali sylwestra w domu. Miała przyjść ciocia z wujkiem, jeszcze parę osób. Spytał, czy będzie Marcin, leśny człowiek, ale ojciec odparł, że nie zna go na tyle dobrze. Więc Gabriel powiedział, że ktoś z klasy zaprosił go na sylwestra.

Wyszedł z domu wcześniej niż zwykle, w telewizji akurat zaczął się program sylwestrowy. Ubierając się, słuchał z korytarza bełkotu zebranych w studiu aktorów. W czym lepsze od ściganych przez niego bandytów są te gwiazdy z seriali, tyle tylko, że żrą lepsze rzeczy i noszą lepsze ubrania. Prowadzący talk-show, budujący karierę na chamskim traktowaniu gości, albo łysy grubas, który skacze przed kamerą jak wiejski wodzirej, wypindrzona i zmanierowana aktorka udająca hrabinę. Gdyby nie mieli dobrze płatnej pracy, gdyby chowali się w biedzie, wyszłaby z nich bestia. A tak tylko podgryzają się nawzajem w brukowcach.

Ludzie na ulicach też się bawili. Tłukli szyby. Nieodpowiedzialnie strzelali fajerwerkami w tłum. Bili się na skutek alkoholowych nieporozumień. Dziwne zwierzę,

śmieszny przyjaciel z lasu, krążyło w cieniu, pilnowało porządku, patrząc z nienawiścią na pijane mordy, cieszące się na nowy rok tego samego gówna.

Nie kryjąc się, wyjechał przed wesołą grupę. Zatrzymał się na środku ulicy. W otworach maski błyszczały oczy.

- Panie Polmanie! Szczęśliwego nowego roku! - zawołał młodzieniec w wielkiej czapce wojsk radzieckich.

Reszta zaczęła bić brawo. Nie wierzyli, że go naprawdę spotkali.

- Szczęśliwego - odpowiedział z godnością. - Nazywam się Strażnik Parku.

- Niech się pan napije z nami!

- Jestem na służbie - powiedział.

- Tylko łyeczka! - Młodzieniec ruszył w jego stronę, wymachując butelką. Gabriel cofnął się. - Superbohaterowie nigdy nie piją? Alkohol pana zabija?

- Dziękuję, mówiłem już.

- A ukarze nas pan? - zapiszczała dziewczyna. - Byliśmy niegrzeczni!

- Bardzo niegrzeczni! - zawtórowała jej koleżanka.

- No, czas na mnie. - Gabriel zawrócił.

- Do widzenia, panie Strażniku! Powodzenia w walce z łotrami i wszelką kanalią!

- Idioci - mruknął Gabriel.

Pojechał na Marszałkowską, pod klub Tiffany's. Z gangsterskiego sylwestra wyszło akurat dwóch młodych mężczyzn w smokingach i czarnych okularach, palili papierosy, oparci o ścianę. Gabriel rozejrzał się, czy nikt inny ich nie widzi, zatrzymał się przed imprezowiczami



i wycelowwał w nich. Papierosy wyslizgnęły się z palców, z sykiem spadły w śnieg.

- Któremu mam najpierw rozjechać mózg? - spytał Gabriel. - Chcecie poznać smak gangsterki? Chcecie, żeby moi chłopcy wsadzili was do plastikowych worków i zakatowali?

Wpatrywał się przez chwilę w przerażone mordy. Chcieli się pobawić w udawanie gangsterów na imprezie The Sylvester 2009. Teraz srali ze strachu. Napluł na jednego i drugiego i odjechał. Powinni się cieszyć, dostali, za co zapłacili.

Odjechał za place budowy, za wiadukty i tory, tam gdzie było ciemno i cicho. Oblodzone grudy ziemi skrzyły się na połączeniach nieużytków. Położył rower i nie zdejmując maski, patrzył na fajerwerki nad miastem. Eksplozje kolorów na zamrożonym niebie. Śnieg zmieniał barwę, kiedy wybuchały. Zielony. Czerwony.

Ciekawe, czy matka nie zmęczyła się w swojej świetlicy i da radę dzisiaj tańczyć.

Syn dziwki i nieudacznika.

Strażnik Parku zsunął maskę na czoło. Włożył do ust lufę Glocka 17. Zimna jak śmierć. Na czarnej lufie zabieliła się mgła ciepłego oddechu.

Wcześniej nie myślał o tym, że kula z pistoletu robi dziurę. Zastrzelić kogoś - to nie znaczy: odebrać życie, zabić. Człowiek nie jest maszyną, która ma włącznik i wyłącznik. Zastrzelić to zrobić dziurę, przez którą krew wycieka, aż się skończy i świadomość zgaśnie. Chyba że strzelisz w głowę. Ale przecież wtedy też nie umrzesz od

razu. Poza bólem poczujesz przez chwilę rozdartą rzeczywistość, myślenie zmienione, myślenie dziwne, płynące z uszkodzonego mózgu.

- No i co, nie umiesz? - spytał Strażnik Parku. Śmiał się.

Czwartego stycznia zaczęła się szkoła. Jola wyminęła go na korytarzu, otoczona chichoczącymi kapłankami. Nie spojrzała na niego.

Kiedy wrócił do domu, w skrzynce znalazł list adresowany do Gabriela Róziewicza. Adres na kopercie był wydrukowany. W środku kartka, też z komputerowej drukarki.

„Szczęśliwego nowego roku. To, czego szukasz, znajduje się na Grobelnej 4 mieszkania 12. Anonimowy wielbiciel”.

## Rozdział 11

Zwyczajny blok. Betonowy sześcian. Sześć pięter. I środkowe okno. Czasem zapala się w nim światło, czasem jest ciemno. Zależy kiedy patrzeć. Czasem za żaluzjami pojawi się jakaś sylwetka. Szczupła blondynka, około dwudziestu pięciu lat, która dostała to mieszkanie po babci. Albo otyły, krótko ostrzyżony osiemnastolatek. Palcami wygina żaluzje, patrzy na ulicę, ale nie widzi tego, co powinien dla własnego dobra zobaczyć. Czasem otwiera okno, żeby splunąć na ulicę.

Otyły, krótko ostrzyżony osiemnastolatek dla własnego dobra powinien zobaczyć chudego, krótko ostrzyżonego osiemnastolatka z twarzą zasłoniętą kapturem, który stoi na rowerze między świerkami, za kolczastym krzakiem, i nie odrywa wzroku od okna. Czasem zakaszle i wciągnie duszący pył z inhalatora. Czasem splunie na śnieg.

- Jesteś, bracie - mówi chudy, czarnowłosy chłopiec, kiedy w oknie pojawi się tłusty blondyn.

Przestał chodzić do szkoły. Całe dni spędza na tym małym skwerku, ukryty wśród świerkowych gałęzi. Nie

czuje, że zamarza. Notuje, kiedy gruby wychodzi z mieszkania, kiedy do niego wraca. Kiedy gruby wychodzi wieczorem, chudy jedzie daleko za nim, nie traci go z oczu. Ale zawsze na ulicy są ludzie albo na grubego czeka kilku kolegów i idą razem do samochodu. Nie można gonić samochodu na rowerze.

- Gdzie odjeżdżasz, bracie? - pyta chudy osiemnastolatek.

Nie jeździ już nocami po mieście. Waruje w krzakach, na skwerze przy szarym budynku. Kiedy tamci idą spać, kiedy światło gaśnie na dobre, wraca do domu i śpi mocno snem istoty, której już nie ma. Snem kamienia.

**W** piątek po dwudziestej drugiej Mariusz Bazik ze starszą od siebie konkubinią Wiolettą Raczewską wyszli z domu. Udawali się na imprezę do znajomych. Szli powoli po mokrym śniegu, Wioletta Raczewską miała na nogach wysokie szpilki. Mariusz był ubrany w skórzaną kurtkę z jasnym futerkiem, Wioletta w czerwony płaszcz, na głowie miała wełnianą czapkę.

Po minucie zza świerków, ciężkich od śnieżnej piany, wyjechał na rowerze Gabriel Różewicz. Jechał za nimi. Było ciemno i zimno, ale on nic nie czuł.

Czemu cały się trzęsę, pomyślał. To dlatego, że serce uderza mi coraz mocniej i coraz szybciej. Poszli w lewo. Przecież tam jest park. Nie będzie żadnej ulicy, w którą można skręcić. Muszą przejść obok parku.

Zatrzymał się i wyjął z kieszeni telefon. Jego głos brzmiał wesoło w słuchawce, choć był trochę zadyszany.

- Mamo? Nie denerwujcie się, bo ja może nie wrócę na noc.

- A co się stało?

- Znajomy zaprosił mnie na imprezę.

- A nie możesz najpierw wrócić do domu?

- Nie mogę wrócić do domu.

- Ale gdzie ty będziesz? Co to za znajomy?

- Mój brat.

- Co takiego?

- Żartuję. Tak mówię na niego.

- Synku, ale czy znamy tego...

- Nie, ale ja znam go jeszcze z podstawówki.

- Ale będziesz pod telefonem?

- Pewnie, cały czas jestem pod telefonem.

- Jak sam będziesz miał dziecko, to zrozumiesz. Tylko przyjdź na urodziny Oli.

- Muszę kończyć. Kocham was.

- No proszę! - matka znowu się zaśmiała. - Już zaczęliście?

Gabriel rozłączył się, włożył telefon do kieszeni i ruszył za dwiema sylwetkami. Znajdowali się na wysokości parku. Minęli mężczyznę z papierosem, na smyczy truchtał miniaturowy pies. Mężczyzna rzucił niedopałek na chodnik i wszedł z pieskiem do bloku. Mariusz klócił się z Wioletką.

- Kurwa, no to normalne buty trzeba było nałożyć, i na schodach zmieniałyś. No ja pierdołę, już godzinę jesteśmy spóźnieni.

- Mariusz Bazik - powiedział ktoś za ich plecami. - Do tablicy.

Odwrócili się i w świetle latarni zobaczyli chłopaka w masce i kapturze. Jedną ręką trzymał rower, w drugiej pistolet.

- Ani słowa, bo zabiję jak psy. I to nie będzie tak, że nagle zgaśnie światło. Ono będzie dalej świeciło, tylko wy go już nigdy nie zobaczycie.

Tłusta twarz Bazika ściągnęła się w komicznym zdziwieniu. Grube wargi ułożone w literę O, jak u karpia. Wioletta była blada pod tlenioną grzywką, wytrzeszczała oczy.

Kiedy weszli między drzewa, Gabriel odrzucił na bok rower. I szli dalej. Minęli ośnieżony trawnik z postumentem, na którym nie stał żaden pomnik. Alejką po drugiej stronie przechodziła wesoła grupa, śpieszyli się na piątkową imprezę.

- Zawołaj do nich o pomoc - powiedział Gabriel. - Spróbuj.

Ale Mariusz nie próbował, tylko z gardła Wioletty wydobyl się proszący jęk. Trzęsła się. Obserwował ich plecy. Szeroki, byczy kark młodego chuligana, porośnięty jasną szczecina. Szli pod pozbawionymi liści drzewami. Park zamienił się w zimowe państwo wron. Tysiące czarnych ptaków patrzyły z kościstych koron, słychać było ich nieustanny krzyk, rozmowy, gruchania, przestrzeń dźwiękowa falowała.

Przeszli przez krzaki i zatrzymali się obok majestatycznego, zastygniętego w niemej groźbie jesionu.

Gabriel rzucił Mariuszowi zwój żeglarskiej linki.

- Zwiąż ją.

Wioletta zaczęła jęczeć, ale uciszył ją sam Mariusz.

- Zamknij mordę - powiedział chrapliwie. Jego ręce drżały, kiedy owijał linkę wokół kostek i nadgarstków dziewczyny.

- Porządnie ma być związane - powiedział Gabriel. - Nie oszukuj.

- Zostaw nas! - zawyła Wioletta.

- Nic wam nie zrobię, spokojnie. Chciałem tylko porozmawiać.

Aż chwiał się od krwi, która uderzała w jego ciało, rytmicznie pompowana przez serce. Czuł mrowienie w dłoni, ściskającej pistolet. Był parkiem, był zimnym wiatrem, który nadleciał z wielkich wysokości i przyginał jęczące korony drzew.

- Naciągnij jej czapkę na oczy.

Mariusz stękał, wykonując polecenia. Teraz Wioletta nic nie widziała, siedziała bez ruchu w śniegu, jak elegancki chochoł. Mariusz rozglądał się na boki.

- Prędkość początkowa pocisku wynosi trzysta pięćdziesiąt metrów na sekundę - przerwał te rozglądania Gabriel. - Umiesz tak szybko biegać?

Mariusz przestał się rozglądać.

- No właśnie. Stań pod drzewem, żebym cię dobrze widział.

Bazik stał przed nim, tłusta, zaaferowana twarz, z niemowlęcych ust wylatywały obłoczki pary, jak z komina mięsnej lokomotywy.

- Czego od nas chcesz? - zapytał, marszcząc brwi.

Ma głos jak nadąsane dziecko, pomyślał Gabriel. I jaki ohydny akcent. „Czygo od nas chcysz?”.

- Mariuszu Baziku - powiedział. - Ej, Mariuszu Baziku.

Wciągnął głęboko świeże, mroźne powietrze. Zimowe wieczory są piękne i groźne.

- Już mówiłem, że chcę tylko porozmawiać. I potem was puszczę. Poznajesz mnie?

Mariusz wpatrywał się w maskę dziwnego zwierzęcia.

- Jesteś Strażnikiem Parku - powiedział.

Gabriel zdjął z głowy kaptur. Zsunął maskę na włosy.

- A teraz?

- Nie poznaję - wydyszał gruby chuligan.

- Nie poznajesz - powtórzył Gabriel. - No i co ty ze mnie zrobiłeś?

- Puść nas.

- Jezu, jaki ty nudny jesteś. Więc nie poznajesz mnie?

- Nie.

- Ja poznaję ciebie. I dobrze ciebie poznałem.

Gabriel pociągnął nosem. Nie pomogło, więc lewą ręką wytarł wilgoć i zobaczył, że to nie smarki, tylko ciemna krew.

- Oho - powiedział i pokazał Mariuszowi zakrwawioną dłoń. - Mam słabe naczynka w nosie.

Czekał na odpowiedź. Nie doczekał się.

- Powiedz mi coś, Mariuszu Baziku.

Mariusz stał w bezruchu pod jesionem. Patrzył na pistolet, zupełnie jakby widział w nim coś więcej niż metalowe, nieskomplikowane i właściwie przestarzałe urządzenie.



- Dzidzius potrzebuje, żeby go ciepło owinąć, żeby go przytulić - powiedział Gabriel. - Wszystko, czego potrzebuje. Całe dobro. Ty tak nie miałeś? Czułeś się dobrze dopiero wtedy, kiedy biłeś inne dzidziusie?

Mariusz przeniósł wzrok z pistoletu na oczy Gabriela. To, co zobaczył, spowodowało, że podniósł dłoń w obronnym geście. Gabriel znów otarł krew z nosa.

- Rękę podnosisz - powiedział, jakby obrażony. - Kiedy ktoś jest głodny, marzy o tym, żeby coś zjeść. Postaw przed nim kanapkę i będzie szczęśliwy, to będzie jego dobro. Przecież nie żyjemy w takich czasach, żebyś głodował, nawet żebrak ublicha tyle, żeby się najeść. I ty jesteś inny?

Gabriel zauważył, że biała, bobasowata dłoń Mariusza, którą trzymał uniesioną, jakby chciał zgłosić sprzeciw na zebraniu samorządu, trzęsie się. Zaraz go puszczyć, pomyślał, tylko się z nim pobawię.

- Odpowiesz mi w końcu? Ręka ci się trzęsie. Jak komuś jest zimno, marzy, żeby się schować w ciepłym, w zimie, jak idziesz za lekko ubrany, dobrze jest wreszcie dojść do domu. Ja nie rozumiem, przecież ty masz dom, to znaczy masz to mieszkanie, i zawsze możesz do niego wejść, jak ci zimno. No to czemu jesteś zły?

Wioletta płakała, łykała powietrze. Gabriel zerknął w stronę szlochających dźwięków.

- Zamknij się. Zakocha się ktoś, to marzy, żeby z tą osobą się spotykać, całować. Najwyższe dobro wtedy oznacza, że razem różne rzeczy robimy. I ty też masz dziewczynę, jakąś beznadziejną blacharę, ale masz. No więc nie rozumiem.

Gabriel poczuł zimną wilgoć na górnej wardze, obliznął ją i poczuł metalowy smak krwi. Podniósł lewą rękę, skrzywił się, jakby coś go zakłuło w boku, i podrapał się w czoło.

- Ja też miałem dziewczynę - powiedział. Skurcz puścił jego twarz, spojrzał trzeźwo na Mariusza. - *Do you want pee-pee?* Bo tak krzyżujesz nogi, kucasz. *Yes or no!*

Mariusz rzeczywiście kucał, opierając się plecami o je-sion. Może chciał się schować, wniknąć w potężne drzewo. Gabriel zrozumiał, że niczego się nie dowie. Nic mu nie powie ta drżąca galareta. Czas odejść.

Wtedy pomyślał o starzejącej się kobiecie z odrostami, mieszkającej w ponurym heksagonie, która zapala światło w pokoiku bez okna i patrzy na plastikowy samolot.

- Odwiedź matkę - powiedział zrezygowany. - Martwi się.

Wtedy zobaczył, że Mariusz się śmieje. Nalaną gębę skurczył chichot, z tłustych ust wydobywało się hi, hi, hi, oddeszki krótkie i raptowne, rwane i rytmiczne szmery.

- Z czego się śmiejesz?

- Nie... śmieję się...

- Z czego się cieszysz? Co tu jest śmiesznego?

- Nie śmie-ję-ję się.

- Przecież widzę i słyszę, że się śmiejesz. Czemu mnie oszukujesz?

- On się nie śmieje, on płacze! - zawołała Wioletta.

- Płaczę - zaskrzeczał Mariusz przez wygięte w podkówkę wargi, kucnął jak przedszkolak i odwrócił się twarzą do drzewa. Kołysał się w tej pozycji, dotykając czołem kory.

- Więc to jest to samo? - zdziwił się Gabriel, ale nikt mu nie odpowiedział, bo w tym momencie strzelił w kark Mariusza. Huk, zmiana, cisza. Nikt już się nie śmiał, ciche rżenie. Mariusz wyglądał, jakby nic mu się nie stało, dalej się trząsał, wtulony w drzewo, więc Gabriel strzelił po raz drugi.

Kula przebiła tłusty kark. Mariusz osunął się na śnieg. Przestał się ruszać i nigdy się już nie poruszy. Na jasnej i pofałdowanej skórze, wśród szczeciny, pojawiła się ciemna plamka.

Gabriel patrzył, jak plamka rośnie. Zamienił się w posąg. Posąg wyglądał tak: jedna noga z tyłu, druga wysunięta do przodu. Prawa ręka wyciągnięta pod kątem sześćdziesięciu stopni do wyprostowanego ciała, dłoń zaciśnięta na boskim, metalowym narzędziu sprawiedliwości. Głowa: śmieszna maska leśnego zwierzęcia zsunięta na włosy. Błada twarz i otwarte usta. Na policzku puls życia, drobne, regularne drganie. Lewa ręka z tyłu, jak lustrzane odbicie prawej. Tylko kończąca ją dłoń nie miała pistoletu. Palce szukały większej dłoni. Dłoni tego, kto mógłby się zaopiekować i wszystko wytłumaczyć.

Było inaczej niż zawsze.

Świat został odnowiony.

Wśród ogromnej ciszy, w którą zapadł Gabriel, odezwał się wysoki, nieprzyjemny dźwięk. Dźwięk dochodził z ust dziewczyny, która pod drzewem opierała się o grube żyły kory. Spod czapki, naciągniętej na oczy, spływały czarne od tuszu strużki gęstej wody.

Gabriel schował pistolet do kieszeni bluzy, podszedł do dziewczyny i złapał ją mocno za twarz. Chudymi palcami

wcisnął jej policzki między szczęki, przez ciepłe ciało wyczuwał opór zębów. Drugą ręką zaczął rozpinać rozprek.

Wilgoć na palcach, którymi ścisnął twarz dziewczyny.

Nagle poczuł ogromne zmęczenie. I zobaczył, jak wchodzi do ciemnego pokoju z dzieciństwa, paroletni chłopczyk, w ich poprzednim mieszkaniu na Bródnie, i na łóżku w tym ciemnym pokoju śpi matka, a on podchodzi i kładzie się obok, i zasypia w tym ciepłe. Matka jest obecnością, dobrem i spokojem.

- Już dobrze - usłyszał, że mówi do dziewczyny. Potrząsnął głową, ścisnął skronie palcami i znów zamrugał.

Rozwiązał dłonie Wioletty. Przycisnęła je do wykrzywionych w płaczu ust.

Potem westchnął niecierpliwie, jak ktoś, komu po raz kolejny rozpada się domek z kart.

I zaczął uciekać.

**N**ie pamiętał, jak długo biegł i dokąd. Biegł przez zimne, wietrzne miasto po chodnikach, ulicach i trawnikach, wciąż przed siebie. Zobaczył kościół, czarną budowlę w czarnej nocy. Szarpnął wrota, ale były zamknięte. Więc biegł dalej. Pod latarniami, przez kładki dla pieszych, przez nasypy kolejowe. Upadał, podnosił się i uciekał. Dłonie krwawiły, zdarł sobie skórę na lodowym żwirze. Biegł pod wiaduktem, na którym stał w wigilijną noc mężczyzna w kapeluszu. Na wiadukcie nikogo nie było. Dobiegł do placu budowy, przy którym dawno temu siedzieli dwaj pijacy, czekający na autobus. Budowa nie posunęła

się naprzód, ławka stała pusta. Usłyszał, że dyszy z wyczerpania. I przystanął, a wtedy poczuł pieczenie, rozpełzające się po chudej piersi. Padł na kolana, oparł głowę o ławkę i dyszał, głowa tonęła w wydychanej parze. Nagle poczuł wibracje w kieszeni spodni. Przełknął ślinę i odebrał. Ojciec. Ten głos z innego świata.

- Tak dzwonię, czy wszystko w porządku. Dobrze się bawicie?

- Świetnie.

- No, jutro sobie pogadamy. To nie w porządku, powinienś nas wcześniej uprzedzić. Jesteś niepoważny.

- Chyba tak, tato.

- Narkotyków żadnych nie bierz i pozdrów Sonię. No! Dobranoc.

Gabriel schował telefon. Zdjął maskę i włożył ją do plecaka. Przełożył pistolet z kieszeni do plecaka. Usiadł na ławce. Zapiął kurtkę. Założył kaptur. Owinął twarz szalikiem. I zasnął jak gołąb na zimnym parapecie.

**P**arę razy budził się z zimna. Wtedy spacerował. Wciągał zamarzającą w nosie wodę. Patrzył na dźwigi na placu budowy.

Przed świtem zasnął na dłużej. Obudził się koło ósmej. Rozjaśniało się. Otworzył oczy i kichnął. Obok siedział staruszek w palcie i berecie. Czekał na autobus. Nie patrzył na Gabriela. Miał za krótkie spodnie i było widać skarpetki, ściśnięte nad kostkami gumką recepturką, żeby nie spadały z kościstych, szykujących się na bezpowrotną podróż nóg.

- Zapalenie płuc murowane - powiedział starszek.

Gabriel nie odpowiedział. Wstał i ruszył przed siebie, przez pustą, zamarzającą dzielnicę. Nic nie czuł. Kaszlał i spluwał. Zostało z niego tylko idące naprzód ciało.

Doszedł do placu zabaw, otoczonego odrapanym murem. Na murku ktoś wypisał słowa. Pizda. Chuj w dupę policji. Gabriel usiadł na ławce, zwróconej w stronę placu. Ławkę przeznaczono dla rodziców, żeby mogli obserwować bawiące się dzieci.

Tylko że w ten szary poranek plac zabaw był pusty.

Gabriel zwiesił głowę. Zdjął plecak, rozsunął suwak, spojrzął na pistolet, potem podniósł głowę.

Plac zabaw jednak nie był pusty. Stał na nim jeden tylko chłopiec z twarzą bez uśmiechu. Chłopczyk miał na sobie pikowaną szarą kurtkę. Był sam, ale próbował bawić się mimo to.

Stał przy karuzeli i kręcił nią. Wreszcie ją puścił i spróbował szybko na nią wsiąść. Karuzela zatrzymała się po wykonaniu ćwierci obrotu. W ten sposób świat przekazywał cenną lekcję do zapamiętania: albo kręcisz karuzelą, albo na niej jedziesz.

Chłopiec wszedł na drabinkę, ale w ostatnim momencie zrezygnował ze zjechania po zjeżdżalni i niezdarnie zszedł tyłem z drabinki. Potem podbiegł do huśtawki w kształcie słonia umocowanej na sprężynie. Huśtał się na słoniu i coś mówił do siebie. Po paru minutach podszedł do zielonej konstrukcji, przypominającej krokodyla, i długo się zastanawiał, nie wiedział, jak się nią bawić.

Więc poklepał krokodyla po pysku i pobiegł do piaskownicy. Na piachu kilka śnieżnych plam. Chłopczyk

wylądował na kolanach i podrzucił do góry piasek, wydając z ust dźwięk wybuchu. Potem pochylił głowę i zaczął kopać dołki, ciągle coś mówiąc.

Gabriel przez chwilę myślał, że się rozplacze, patrząc na tę samotną, małą postać na placu zabaw. Dzieciństwo, które przestało istnieć. Więc wycelował do chłopca i zawołał:

- Hej!

Chłopczyk przestał się ruszać i spojrział na Gabriela.

Miał czujne spojrzenie, spojrzenie dziecka, które wyrosło wśród bloków. To źle, że dzieci muszą być czujne. Nad osiedlem wiał zimny wiatr. Po betonowym placu pędziła, koziółkowała pusta foliowa torba.

Gabriel przestał do niego celować. Przyłożył lufę do swojej skroni. Najpierw czuł, jaka jest zimna, potem czuł tylko ból, tak mocno przyciskał pistolet.

Chłopczyk patrzył. Zbyt pogrążony w swoim świecie, chyba się nie bał, a może był trochę głupi i dlatego musiał bawić się sam. Przesunął małą dłońią po policzku. Potem opuścił wzrok i podrzucił trochę piasku.

Na szczęście się nie odezwał.

- Dziękuję - powiedział Gabriel.

Wstał, schował pistolet i odszedł. Chłopczyk wrócił do samotnej zabawy w szarym piasku, otoczony przez kolorowe zwierzęta, pod popielatym niebem.

**P**ark był pusty. Bał się sprawdzać, czy ciało Mariusza wciąż tam leży, nad gołymi drzewami widział koronę jesionu, który rósł na miejscu zbrodni. Gabriel wyciągnął rower z krzaków i pojechał do domu.

Wszedł do windy i obejrzał się w lustrze. Patrzył na obcego. Splunął na chusteczkę i wytarł nią zaschniętą pod nosem krew. Zaletą krótkiej fryzury jest to, że człowiek nigdy nie jest rozczochrany.

Kiedy wszedł do mieszkania, otoczyło go ciepło kaloryferów, znajomy, stary zapach. Poczł wielkie zmęczenie. Ktoś był w kuchni.

- Wróciłeś? - usłyszał głos matki.

- Nie - odpowiedział. Oczy mu się zamykały. Rzucił plecak na podłogę i poszedł do siebie. Wszedł w ubraniu pod kołdrę.

Obudził się parę godzin później z uczuciem, że coś jest nie w porządku. W mieszkaniu panowała cisza. Ale był pewny, że przed chwilą usłyszał dziwny chichot. Odrzucił kołdrę ciężką ręką i podniósł się. Bolało go całe ciało. Znowu ten wysoki, upiorny śmiech, dobiegający z korytarza. Powoli, jak we śnie, podszedł do drzwi.

Rzeczywistość falowała. W korytarzu stał Strażnik Parku. Mała, koślawa figurka w czerwonych rajstopach i niebieskiej bluzie. Ubrudzony krwią pysk dziwnego zwierzęcia. Patrzył na Gabriela. Znowu zachichotał.

Gabriel osunął się na kolana.

- Nie gniewasz się? - spytał Strażnik Parku wysokim, dziecięcym głosem.

- Za co? - zdołał powiedzieć Gabriel.

- No za to - odpowiedział Strażnik Parku.

- Co się dzieje? - spytał bezgłośnie Gabriel.

- Mogę założyć na urodziny? - spytała Ola.



Gabriel zacisnął powieki, potrząsnął głową, wstał i zdjął z głowy dziewczynki maskę zwierzęcia. Odsunął siostrę od plecaka i zajrzał do środka. Pistolet jej nie zaintrygował.

- Gdzie rodzice?

- Mama poszła do cukierni po tort dla mnie, tatuś gdzieś wyszedł, pewnie po prezent!

- Nie baw się moimi rzeczami.

Ola obraziła się.

- Mam urodziny! Jesteś egoistą.

Uciekła do swojego pokoju. Dziecko nowego roku. Ojciec zawsze narzekał, że po świątecznych wydatkach od razu przypadają urodziny córki.

Gabriel zabrał plecak ze sobą do łazienki. Zamknął się i wziął długi, gorący prysznic. Miał wrażenie, jakby ciepło wody nie chciało rozgrzać kości.

**N**ie miał dla niej prezentu, ale poszedł na urodziny Oli. Rodzice ucieszyli się, że nie muszą sami pilnować jej gości. Nie wiedział, co innego ma robić. Siedział na dywanie wśród koleżanek z przedszkola, ciężki i pusty. Nie zdejmował plecaka. Włożył do ust kawałek tortu, ale nie dawał rady go przełknąć. Siedział i czekał, aż się rozpuści. Zastanawiał się, czy Ola zauważyła pistolet.

Ale chyba w ferworze zabawy zapomniała nawet o masce. Szmaciana Tekla jeździła na gwiazdkowym kucyku.

- Ojej, kupę zrobił! Śmieciaro, do roboty!

Piękna lalka Joanna zabrała się do uprzątnięcia łajna po kucyku. Dziewczynki śmiały się. Joanna sprzątała jednak niestaranie, więc Tekla ją zbiła.

- Na przyszłość lepiej się staraj, kocmołuchu! - zawołała, pełna słusznego gniewu, jak każdy człowiek z uciskanego ludu, kiedy po rewolucji nastaną wreszcie czasy sprawiedliwości.

Około osiemnastej zaczęli przychodzić rodzice dziewczynek. Gabriel dalej siedział bez ruchu na dywanie. Wpatrywał się w okno. Z wieczornego nieba, zabarwionego światłami miasta, opadały wielkie płatki śniegu.

- Synku, wszystko w porządku? - spytała mama.
- Chyba tak - odpowiedział i poszedł do siebie.

Wyłączył komputer. Uruchomił grę o elfie wojowniku, ale kiedy się załadowała, popatrzył tylko na ekran startowy i wybrał „Exit”. Wyłączył komputer i położył się na łóżku. Nawet łóżko nie należało do niego. Usiadł, podparł plecy poduszką i siedział. Wcześniej nie zauważył, że w przeciwległej ścianie tkwi mały gwóźdź. Co na nim kiedyś wisiało? Nie pamiętał.

Był obcy w tym mieszkaniu, nie wiedział, kim jest ten samotny chłopak.

Kiedy zabił, skończyła się stara samotność. Zaczęła się samotność nowa i świeża. Czuł się, jakby wszedł w krąg życia, który dotychczas kręcił się bez niego. Jakby przez te wszystkie lata patrzył z boku na diabelski młyn i dopiero teraz na niego wsiadł. Młyn przerażał go. Bał się wysokości.

Otworzył plecak i wyjął Glocka 17. Broń była zimna, choć plecak leżał przy kaloryferze. Wrócił do łóżka i przykrył się całym kołdrą. Trzymał w dłoniach pistolet.

Chciał go ogrzać. W ciemności pod kołdrą zaczął sobie przypominać dawno minione wakacje nad morzem, w Ostrowie, jedyne udane wakacje, kiedy się nie nudził i nie był samotny. Miał jedenaście lat. Miejscowe dzieci z domu, obok którego stanęli z przyczepą turystyczną, i dwie dziewczynki z namiotu bawiły się z nim, zapominał o szkolnych torturach. Grali w państwa-miasta na gruntowej drodze, biegnącej wzdłuż lasu, aż zrobiło się ciemno i prawie nic nie widzieli, ale bawili się dalej, gdy nagle nad drzewami przeleciał wielki, ciężki ptak.

Innego dnia siedział na huśtawce przywiązanej do gałęzi ogromnego dębu-lewiatana, wznoszącego się samotnie na porośniętym trawą wzgórzu, i patrzył, jak pyłki jakiegoś drzewa, przezroczystobiałe i wacikowate dusze, lecą przez niebo, odłamki nieskończenie delikatnego, powolnego wybuchu, a to wybuchało lato.

Czy to, co się zdarzyło, jest wieczne? Czy jedna dobra rzecz, która ci się przytrafiła, może rozjaśnić mrok przyszłości? Wieczne lato.

- Kolacja! - usłyszał spod kołdry wołanie matki.

**N**ie czuł smaku kanapek, ale zjadł dużo. Szynka i ser. Zauważył, że na niego patrzą.

- Bez mięsa mózg karleje - powiedział i opuścił głowę. Gdzieś w nim był chłopiec wegetarianin, który został w tyle, opuszczony w czasie ze swoimi pomysłami na życie, ulubionymi książkami i ideałami. Razem z innymi dziećmi, których nie było.

- Cieszę się, że wróciłeś do normalności - stwierdził

ojciec. - Ale szczerze mówiąc, spodziewałem się, że wytrwasz dłużej.

- Muszę coś załatwić - powiedział Gabriel. Wstał od stołu, wziął z pokoju plecak, włożył kurtkę.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem, kiedy wrócę.

**W** windzie wyjął magazynek z pistoletu i wysunął na dłoń pozostałe cztery naboje, złote jaja śmiercionośnych ptaków. Otworzył drzwi na dwór. Uderzenie styczniowego wiatru było przyjemne, odetchnął głęboko.

Podjechał na rowerze do śmietników i wyrzucił naboje. Potem pojechał do parku. Park zamienił się w bajkową krainę. Śnieg już nie topniał, wznosił się w białe, iskrzące wydmy. Gdy Gabriel przejeżdżał alejką wzdłuż trawnika, który teraz był białym, pofalowanym morzem, z gałęzi świerku zsunęła się śnieżna czapa i z głuchym odgłosem uderzyła o ziemię. Nowy wiatr przesunął niskie chmury i teraz nad parkiem otwierał się okrutny i nieskończony teatr gwiazd.

Gabriel zatrzymał się na alejce. Na tle granatowego nieba widział czarną koronę jesionu wyniosłego. Pokręcił głową. Zsiadł z roweru i przez trawnik poszedł w stronę postumentu. Nogi zapadały mu się w śniegu aż po łydki.

Doszedł do postumentu i zaczął odsuwać kamienną płytę. Konstrukcja była w środku pusta. Włożył do środka maskę dziwnego zwierzęcia i Glocka 17.

Znajdą to, kiedy zdecydują się coś wreszcie tu postawić.

Albo kiedy dojdą do wniosku, że nie potrzebują pomnika, i rozbiorą postument w cholerę.

Zasunął płytę i poszedł do roweru. Założył kaptur na głowę. Gwiazdy śniegu na rzęsach zaczęły topnieć, zamieniały się w krople wody. Wsiadł na rower i ruszył.

- Stój! Policja!

Wycie kilku radiowozów, ktoś oświetlał go latarką. Jechał dalej aleją, wyprostowany, nie odwracał się.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął inny głos. Huknął strzał, przepisowo oddany w powietrze. Z drzew zerwało się państwo wron, z wrzaskiem zakotłowały się na niebie.

Chudy chłopiec w czarnej bluzie westchnął, nacisnął mocniej na pedały i zawrócił. Uśmiechnięty, jechał powoli w stronę ciemnych postaci. Wsadził rękę do kieszeni kurtki. Zacisnął dłoń na plastikowym inhalatorze. Wyciągnął go i wycelował w policjantów.

- Bam! - zawołał.

Huknęło. Gabriel krzyknął, coś pchnęło go w prawe ramię, nagły, osłupiający ból. Przewrócił się razem z rowerem, błękitna gwiazdka zadrżała i zgasła.

Leżał na plecach na śniegu. Widział gałęzie, za nimi zimowe i rozgwieżdżone niebo. Zbliżały się głosy. Widział pochylające się nad nim twarze.

Potem zaczęły pojawiać się duchy jego pokoju, nocni obrońcy. Przesuwały się na tle nieba i krwawych powidoków. Czuł, że przychodzą się pożegnać. Duch szklanki, poduszki, ubrania. Duch żółtwa i noworodka, który nie mógł przełknąć mleka. Ale też demony drzew, wielki i smutny duch parku ze sterczącymi włosami, które wyglądały jak korona jesionu. Na ulicy wyły i błyskały światłami

demony radiowozów, agresywne i szybkie psy o chudych pyskach. Demon szorstkiej, odblaskowej kurtki pielęgniarza, który dotykał ciała Gabriela. Pomocny i zatroskany demon noszy z ambulansu. A przy ścianie drzew, daleko, stał i patrzył duch Strażnika Parku, który nie nazywał się Polman. Mściciel, który przywraca sprawiedliwość, ta odwieczna legenda wszystkich słabych ludów.

Brakowało mu ciepła.

- Słyszysz mnie?

Próbował odpowiedzieć, że wszystko dobrze, ale czuł, jakby musiał siłą wypychać słowa z ust.

- Zadzwońcie do Soni - próbował powiedzieć, ale słowa nie chciały opuszczać ciała i ulatywać w obce, zimne powietrze. Jego organizm stał się energetycznym skąpcem.

Spróbował wtedy wytłumaczyć, że słowa wypaczają prawdę. Język to gulgotanie, napięcie mięśni. Istniejemy i chcemy coś z tym istnieniem zrobić, skontaktować się z innym istnieniem, bo widzimy, że też chyba czuje i myśli. Stąd wysiłek. A jego nie stać na wysiłek. Robiło się ciemno.

## Rozdział 12

Obudził się w jadącym ambulansie. Nie mógł się ruszać. Leżał na noszach, podpięty do maszyn. Wnętrze karetki było plastikowe, wszystko białe, oprócz żółtego koca, którym go okryto, i niebieskiego fotela, na którym siedział sanitariusz. Ambulans był pełen śmierci. Wiele osób tam umarło.

Jakaś maszyna wydawała jednostajne piknięcia. Serce powinno uderzać od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu razy na minutę. Na minutę powinno przypadać od dwunastu do dwudziestu oddechów. Takie są ludzkie częstotliwości. Nie należy wypadać z rytmu.

Gabriel spojrzął na swoje ciało. Zobaczył, że koc unosi się i opada w miarę, jak oddycha. W jednym miejscu koc podskakiwał w innym rytmie. Tam biło jego serce.

Pomyślał o Soni i plastikowym sercu. Dziecko w brzuchu słyszy serce matki, bum bum, i szum jej organizmu od środka. Potem się rodzi, wpada w ogromną, pustą przestrzeń, gdzie nic nie otula, gdzie można spaść w lewo w prawo do góry i w dół, i są obce dźwięki, a ten dźwięk rytmiczny i głuchy, który towarzyszył od początku istnienia,

gwarant bezpieczeństwa, zniknął. Lekarze kładą krzyczącego, okrwawionego noworodka na piersiach kobiety i wtedy on się uspokaja, znów słyszy serce matki, ale jego głos dochodzi już przez ścianę. Przez żebra i skórę. Jest dalej, oddala się coraz bardziej. Teraz uderzenia oznaczają: do widzenia, do widzenia.

Pielęgniarz zobaczył, że Gabriel otworzył oczy. Pochylił się nad chłopakiem. Pielęgniarz był suchym, kościstym mężczyzną, miał zaczesaną na bok grzywkę i wąsy, które wyglądały, jakby pod nosem przycupnęła mu włochata gąsienica. Na bluzie naszywka z symbolem pogotowia.

Symbol wyglądał jak kółko zębate, w środku elegancka laska z gałką, na laskę wspina się wąż. Gabriel chciał spytać pielęgniarza, o co chodzi z tym wężem, czy to Szatan, ale znowu poczuł, że opada z wielkiej wysokości, i zamknął oczy.

O trzeciej nad ranem niewyspany, nieogolony ojciec stał w szpitalnej sali i patrzył na syna, podpiętego do kroplówki, nieprzytomnego na metalowym łóżku. Świetlówka przygasiała co chwilę, coś w niej tykało, jakby uwięziony owad uderzał skrzydłami o szklane ścianki. W sali były jeszcze trzy puste łóżka, ale ojciec czuł, że kiedy usiądzie, będzie musiał zasnąć. Więc stał i patrzył. Gabriel był tak chudy, że aż zapadały mu się policzki, miał krótkie, ciemne włosy. Sine powieki opinające gałki oczne, na powiekach cienkie żyłki. Długie rzęsy. Ojciec patrzył na młodą dziewczynę.

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś w nocy karmił go ze



strzykawki przez plastikową rurkę, trzeba było włożyć ją do ust na palcu i delikatnie wstrzykiwać specjalne mleko dla uczulonych dzieci. Jak Gabriel śmiał się w wanience do plastikowej kaczki albo jak śmiał się, kiedy ojciec chował się za krzesłem i nagle wystawiał głowę, wołając: „a kuku!”. Przypomnił sobie, jak przyginał mu nóżki do brzucha, kiedy Gabriel płakał od kolki, bólu, którego nie rozumiał, bo nic jeszcze nie rozumiał.

- Tak naprawdę nie miałem imprezy na osiemnastkę - powiedział ojciec. - Nie byłem zbyt lubiany przez rówieśników. Wiadomo, zawyżałem poziom.

Gabriel milczał. Ojciec stał jeszcze parę minut i patrzył na niego. W naczyniu pod kroplówką skapywał przezroczysty płyn. Plastikowa rurka, przypięta do nadgarstka syna, przypominała mu pępownię, którą osiemnaście lat temu przeciął podanymi przez lekarza nożyczkami. Pamiętał opór, jaki stawiała pod ostrzami, właśnie jakby była z gumy. Światłówka zamrugła. Gabriel poruszył się na łóżku, skrzywił się, wydał płaczliwy dźwięk.

- *It's alright* - powiedział ojciec. - *It's okay*.

Stał jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się i wyszedł.

**K**iedy Gabriel otworzył oczy, było jasno, siedziała przy nim matka. Kobieta, która dla jego prawidłowego rozwoju zakładała maskę potwora, żeby nauczyć go strachu, a potem chciała mu to wynagrodzić i zawsze była dla niego dobra. Może wszyscy powinni czuć wyrzuty sumienia,

żeby byli dobrzy. Na przykład wyrzut sumienia za to, że należą do gatunku, który zabił własnego boga.

- Co słyhać w świetlicy? - spytał Gabriel. Trudno mu się mówiło, usta odwykły.

- Już nie będę chodziła do świetlicy.

Przekrzywił głowę. Zabolało. Matka położyła dłoń na jego włosach. Krótka, kłująca szczecina.

- A co na to Pan Świetlica? - spytał.

- Wszystko już jest inaczej - powiedziała. - Przepraszam.

- Za co mnie przepraszasz?

Wzięła głęboki oddech, zamrugła oczami i powstrzymała płacz.

- Policjanci mówią, że złapią człowieka, który ci to zrobił.

Gabriel chciał się zaśmiać, ale zaczął kaszleć. Matka zaczęła go głaskać. Ta dłoń nie denerwowała go już, była dłonią człowieka, a nie matki, od której wstyd przyjmować pieśczoć.

Więc o to chodzi, pomyślał, zamykając oczy i wyciągając się na łóżku po skurczach kaszlu. Dłoń głaszcząca policzki, przesuwająca się po skórze, po gruczołach, keratynocytach, melanocytach, małych włoskach. Poczuł, jak jego pierś unosi się, jak rozszerzają się żebra, a płuca nadyniają się i znowu kurczą. Oddycham, pomyślał.

Zanim nadejdzie śmierć, gdy dusza idzie na ryby, nad jeziora odległe, ciała oddychają. Oddychają ludzie i zwierzęta jak łagodne ukwiały. Gdzie spojrzeć, oddychają nasi bliscy i wrogowie. Otaczają nas pompy. Otaczają nas miechy.

Życie to siła, która męczy i naciąga mięśnie, to prze-moc kwaśnawa, która twarz wykrzywia i skręca, aby powstał znany ludziom grymas: on się uśmiecha. Patrzcie, jak mi smutno.

Bez tego jest spokój, luźniej jest bez tego. Wszystko wtedy spada, miłe jest spadanie. To jedyny ruch dostępny umarłym. Jak rozluźnione zwierzęta, uśmiechnięte lwy morskie, oni spadają, spadają wśród mroku, wśród wiecznego powiewu od oceanu. Tu nie będzie kropki, to powolne spadanie, tu nie będzie dna.

- Siostró! Siostró! - zaczęła krzyczeć matka, ale jej głos był coraz dalej, a Gabriel spadał coraz niżej.

Teraż był sam. Wciąż jasno. Nie wiedział, czy to ten sam dzień, czy może następny. Poczul zimno, wlewające się w rękę. Uniósł ją i spojrzal. Pod skórą dłoni drżą niebieskawe żyły, biegną jak rzeki między wzgórzka knykci. Odwrócił dłoń. Z nadgarstka wyrastał plastikowy kranik, wbity w rękę i przyklejony plastrem. Plastikowa rurka biegła do umocowanego na metalowym stojaku worka z przezroczystym płynem. Widać wyjęli go prosto z lodówki i stąd ten chłód.

Odwrócił głowę i wyrztał za okno. Zobaczył niskie, żółte budynki szpitala na ziemi ściętej mrozem. Z wielkiego komina unosiły się kłęby białej pary, zimny wiatr przyciskał ją do ziemi, nie dawał wzlecieć w niebo.

Drzwi otworzyły się i wszedł kwadratowy komisarz policji, którego widział dawno temu, gdy próbował zgłosić sprawę swojego pobicia. Pokój wypełnił ostry zapach

wody po goleniu. Policjant uśmiechnął się do Gabriela i usiadł na łóżku naprzeciwko. Czekał, aż chłopak odezwie się pierwszy.

- Jak to się stało? - spytał Gabriel.

- Zawsze wracają na miejsce morderstwa - odpowiedział komisarz z zadowoleniem. - Zawsze.

Gabriel skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Natomiast kretyn, który cię postrzelił, pilnuje teraz ruchu. Mieli cię złapać, a nie polować na kaczki.

- Aha.

- Gdzie pistolet?

- Wyrzuciłem.

- A skąd go wziąłeś?

- Znalazłem.

Milczeli chwilę.

- Skąd wiedzieliście, że to ja? - spytał Gabriel.

- A wiedzieliśmy?

- Miał pan mój adres.

Komisarz złożył usta w dzióbek.

- Twój rower ma podobno bardzo rzadko spotykany model kierownicy. Którą widać na zdjęciu spod cmentarza. Swoją drogą, ten gość, od którego kupiłeś rower, to niezły czub. Powiedział, że chce nas poinformować, bo nie cierpi bezprawia, a Strażnik Parku dopuszcza się bezprawia.

- A niby taki anarchista z kolczykami.

- Nie było trudno cię znaleźć, jeździłeś po całej dzielnicy w biały dzień. A na dodatek chciałeś, żeby biedny Stachu z Inspectio odnalazł ci kolegę z podstawówki. Nie po to staruszek szedł na swoje, żeby mieć więcej kłopotów.

- Jeśli dopuszczałem się bezprawia, to czemu pan to zrobił?

- Co zrobiłem?

- Pan przysłał mi jego adres.

- Nic nie przysyłałem. - Komisarz teatralnie rozłożył ręce. Zachowywał się jak człowiek, który właśnie doprowadził do końca jakiś sprytny kawał, a puenta leżała przed nim na szpitalnym łóżku. - Nic o tym nie wiem.

- Aha. No to inaczej: czemu ktoś przysłał mi jego adres?

- Jak sądzę, bo gówniarz był bezkarny i ten ktoś nie mógł tego znieść.

- Nikt nie jest bezkarny.

- Tobie się upiekło. Co to było? Pobił was trochę i z wyzywał? Widzisz, inni mieli gorzej. Zgwałcił i pobił kobietę w ciąży, poroniła. Skatował włóczęgę, zgwałcił go kijem, włóczęga potem umarł w szpitalu. Ale chłopak miał znajomych. Pracował jako silna ręka w zorganizowanej grupie przestępczej. Więc nie miej za złe Stachowi, że cię spławił.

- Pan mnie nie spławił.

- Nie ja, tylko ktoś. Gnojek skrzywdził tylu ludzi, a ten ktoś, kto przysłał ci jego adres, nie mógł nic zrobić i bardzo go to męczyło. Ale nie sądził, że go zabijesz.

- A myślał, że co zrobię? Postraszę go i będzie lepszy?

- Nie wiem. Może przestrzelisz mu nogę. Nie sądził, że go zabijesz.

- Na przyszłość nie popełni pan takiego błędu.

- Ty też. Ty też.

Gabriel przyglądał się ciężkiemu, zmęczonemu mężczyźnie. Komisarz z kolei opuścił wzrok na szeroką dłoń, owłosioną i ozdobioną złotym sygnetem. Wskazującym palcem delikatnie gładził paznokieć kciuka, jakby pocierał grubego, różowego maluszka. Korzystając, że policjant nie patrzy, Gabriel niepostrzeżenie powtórzył tę czynność, chcąc ją wypróbować i sprawdzić, co czuje gość.

- Zastanawiałeś się kiedyś, czym jest zło? - spytał powoli komisarz, nie podnosząc wzroku.

- Nie, nigdy - odpowiedział Gabriel i przestał pocierać kciuk.

- Ha. No a ja się często zastanawiałem w twoim wieku. I później też.

- Wyszło coś z tego zastanawiania?

- Wyszło, wyszło. W ogóle warto się zastanawiać, co od lat próbuję wytłumaczyć tym moim kochanym podwładnym matolkom. Ktoś musi się zastanawiać, skoro nawet intelektualiści uznali, że do niczego i tak nie da rady dojść i każdy ma rację. No to kto się będzie zastanawiał?

Komisarz przestał głaskać paznokieć i wsunął go w usta, nadgryzł, wyjął i obejrzał. Mówił jakby do siebie.

Obojętnym tonem.

- Budziłem się rano, bo dzwonił budzik, i przed kawą i papierosem, a kawa i papieros uruchamiają mi pracę serca, rozumiesz, rzucałem okiem na łączącą po mieszkaniu żonę i chciałem ją zabić. Ot. Myślałem, że może to odzywa się moja podświadomość. Ma do niej o coś żal, że zołza, albo może potajemnie chciałyby spać z innymi kobietami, a ta przeszkadza, więc podświadomość chciałyby ją

usunąć. A mam dostęp do tych pragnień, bo jeszcze nie stłamsiła ich codzienna moralność, superego jeszcze się nie włączyło, rozumiesz. A po kawie i papierosie uśmiechałem się do żony, całowałem ją. I nawet czułem miłość.

- Powinien pan sobie stawiać przy łóżku termos z kawą i popielniczkę.

- Nie palimy w mieszkaniu - skrzywił się komisarz. - Zasłony śmierzdzą. Słuchaj, co dalej. Raz w nocy przez sen przewracałem się na drugi bok i niechcący walnąłem ją łokciem w twarz. Przebudziło mnie to, ale tylko troszeczkę, świadomość pojawiła się na chwilę w roli, powiedzmy, obserwatora, bez funkcji decyzyjnych, że tak powiem. Ona jęknęła i spała dalej, a ja, zanim znowu usnąłem, roześmiałem się. Rozumiesz? Uderzenie jej w twarz wydało mi się zabawne. Taki kawał.

- Obrzydliwy pan jest.

Komisarz chrząknął z rozbawienia.

- To fakt, ale wiesz, czemu jestem obrzydliwy? Bo nie udaję, że coś się nie stało, jak się stało. W dzień przypomniało mi się to, i uderzenie jej łokciem w twarz wydało mi się przykrą rzeczą. A przecież kiedy spałem, było to dla mnie zabawne. Więc znowu myślę, mam do niej utajony żal, moje prawdziwe ja, niezagłuszone rozsądkiem i konwenansami, wcale jej nie lubi. Pewnie dlatego zawsze się budzę w złym humorze, nie kocham jej po prostu, moje prawdziwe ja nie kocha jej i czuje do niej złość. Więc zacząłem myśleć o rozwodzie, po co mamy się męczyć, a tu nagle niespodzianka, będzie dziecko. Radość w domu i te de, poprzednie nam umarło w brzuchu jeszcze. Skaczemy

teraz rok naprzód. Urodził się zdrowy kawał chłopca, ale płacziwy, każde dziecko w sumie trochę płacziwe jest. Mniejsza. Co rano opiekujemy się nim na zmianę, to znaczy, jednego dnia ona wstaje, kiedy mały ryczy, drugiego ja. No i pewnego dnia obudził się o piątej rano, spałem jakieś cztery godziny chyba, zabieram go z sypialni do drugiego pokoju, ledwo stoję ze zmęczenia, próbuję mu podać butelkę, a ten wytrąca mi ją na ziemię i znowu ryczy.

Komisarz skrzywił się i ścisnął sobie nasadę nosa. Po chwili otworzył oczy.

- No i uderzyłem go wtedy. Nie robił tego na złość, coś tam po prostu było nie tak w jego małym świecie, ale nie mogłem się powstrzymać. To był odruch, pierwsza reakcja: fala wściekłości i otwarta ręka, bach. I od razu mnie to obudziło. Rozryczał się na całego, ululałem go jakoś, ale ciągle miałem wyrzuty sumienia. Nie minął kwadrans, a już uśmiechał się do mnie tą swoją bezzębną buzią, noworodki nie są pamiętliwe. Okropna sprawa, rozumiesz, kochałem go przecież, nawet jakbym nie kochał, dzieci biją tylko chuje. I wtedy zrozumiałem.

- Co takiego pan zrozumiał?

- Że każdy człowiek jest zły, zanim się obudzi.

- I to jest tajemnica zła?

- Dla mnie jest. Mogłem uwierzyć, że to, co uważam za swoje ja, nie cierpi żony, ale nie mogłem uwierzyć, że prawdziwy ja biję dziecko, bo jestem niewyspany, a ono źle się czuje.

Komisarz spojrział Gabrielowi w oczy.

- Ja nie jestem tym człowiekiem, który uderzył swoje dziecko.



- A niby kto? - spytał Gabriel.
- Możemy mówić o człowieku dopiero wtedy, kiedy się na dobre obudzi, dostanie swoją kawę i swojego papierosa. Niektórzy nigdy się nie budzą.

Komisarz czekał na odpowiedź, ale Gabriel nie wiedział, co mu powiedzieć.

- Miałem nadzieję, że bardziej rozmowny z ciebie kolega. Nie mam z kim rozmawiać. - Komisarz westchnął, odbiło mu się. Pomyślał o obiedzie zjedzonym w kantynie.
- W ogóle... coraz mniej mi się chce.

- Może czas na emeryturę.
- Taa...

Komisarz stłumił kolejne czknięcie i klepnął się po udach.

- A skoro o odpoczynku mowa, ty też sobie będziesz mógł odpocząć w więzieniu. Bo zabiłeś człowieka, nieprawdaż.

- Wiem.
- Ale ja chcę ci zaproponować umowę.
- Albo się zgodzę, albo pójdę siedzieć?
- Jesteś już pełnoletni, pewnie, że pójdziesz siedzieć.

Poznasz kolegów, którzy lubią młodych, szczupłych chłopców. A ludzie będą demonstrowali pod więzieniem, że głupie, leniwe psy męczą ich superbohatera. Rzeczywiście nie jesteśmy tacy efektowni. Jak każda instytucja. W telewizji zaczną ujadać, że strzelamy do młodzieży, która chce naprawiać świat. Ale dla ciebie marna to pociecha, bo pewnie będziesz miał właśnie spodnie na kostkach.

Zamyślony komisarz nadął policzki i uniół brwi, po czym wypuścił powietrze z sykiem.

- Ale widzisz, ja mam pomysł. Ocalisz analne dziewictwo. Nikt się nie dowie, że go zabiłeś. I nikt się nie dowie, że postrzelił cię policjant.

- A niby kto? Sam się postrzeliłem?

Komisarz rozejrzał się po pokoju i nachylił nad łóżkiem. Gabriel spojrział na wąskie usta w gładko ogolonej twarzy. Poczul duszący zapach wody kolońskiej.

- Postrzelił cię nieznany sprawca w masce zwierzęcia - powiedział komisarz i uśmiechnął się sympatycznie. - Był ubrany w bluzę z kapturem. Jechał na białym rowerze.

**S**trażnik Parku strzela do niewinnego”. Tytuł na pierwszej stronie „Wyborczej”. Wypowiadający się socjolog stwierdził, że tak zawsze się kończy, kiedy ktoś bierze sprawiedliwość w swoje ręce. Postrzelony chłopak ma się dobrze, ale nie chce rozmawiać z prasą.

W kronice policyjnej śmierć Mariusza B. została opisana krótko i bez emocji. Konkubina Mariusza twierdziła, że mordercą był Strażnik Parku, który po długiej i chaotycznej przemowie, z której nic nie można było pojąć, zastrzelił jej chłopaka. Ale policja w tym wypadku podejrzewała porachunki mafijne. Przebranie za Strażnika Parku stanowiło jedynie próbę zmylenia organów ścigania.

Gabriel odłożył gazetę. Siedział w parku na ławce i patrzył na postument. Nie wiedział, dlaczego zgodził się na propozycję komisarza. Nie miał do czego wracać.

Z nieobecną twarzą uczestniczył w rozmowach z dyrektorem liceum, który postanowił ukarać go za pobicie ochroniarza. Według słów dyrektora, w czynie tym objawiło się zepsucie młodzieży, której za długo pobłażano w imię liberalnych zasad. Ojciec obiecał, że porozmawia poważnie z synem i to się nigdy nie powtórzy. Zaległości w nauce, wynikające z nieobecności, Gabriel oczywiście nadrobi. To zdolny chłopak, tylko czasem leniwy. Przechodzi trudny okres dojrzewania.

Gabriel wrócił więc do szkoły i siedział w klasie z innymi uczniami. Szkoła przygotowywała ich do dorosłego życia. Dzięki niej wiedzą, co to korpuskularno-falowy dualizm materii i co wynika z transformacji Lorentza. Znają sytuację gospodarczą na ziemiach polskich w XVIII wieku i jej wpływ na układ sił politycznych. Na podstawie fragmentu *Pana Tadeusza* umieją scharakteryzować i porównać postacie Zosi i Telimeny. Potrafią wykazać, że dwusieczne kątów wewnętrznych równoległoboku przecinają się w punktach, które są wierzchołkami prostokąta.

W domu grał na komputerze, próbował się uczyć. Nie chciało mu się zakładać i zdejmować na noc soczewek, znowu nosił okulary. Nawet nie przecierał zaplamionych, tłustych szkieł. Matka nie chodziła do świetlicy, opiekowała się Olą i gotowała obiady dla zadowolonego z nowej pracy ojca.

Kiedy Gabriel wynosił śmiecie, zobaczył w plastikowym worku portret mistrza Sai Baby. Zrobiło mu się żal odrzuconego proroka. Otrząsnął pomarszczony wizerunek z ziemniaczanych obierków i mokrych torebek herbaty.

Położył zdjęcie na murku przy śmietnikach. Może komuś się przyda.

Wcale nie był pewny, czy cieszy się, że matka na dobre wróciła z morza do rodzinnego portu. Kiedy Gabriel zaczął się oddalać, została jej tylko Ola, tylko z nią mogła rozmawiać, a Ola nie mogła przecież zrozumieć jej problemów i tęsknot. Teraz niby ojciec spędzał z nimi więcej czasu i był sympatyczniejszy. Na jak długo to wystarczy? Morze i jego zew nie znikają, kiedy chowasz się w porcie.

Gabriel długo spał. Przestał czytać wiadomości. Wstał rower do piwnicy. Chodził pieszo. Nawet myć mu się nie chciało. Po południu leżał na łóżku i patrzył przez okno, jak za blokami osiedla zapada zmierzch. Jego życie to był zmierzch. Nie było życia.

Zajmował się małymi rzeczami. Na przykład z umiarkowanym zainteresowaniem badał, na czym właściwie polega różnica między dmuchaniem a chuchaniem. Wiadomo, dmuchanie jest zimne, a chuchanie ciepłe, ale jak się robi jedno, a jak drugie? Odpowiedź: chucha się powoli, przez szeroko otwarte usta, a dmucha się szybko, przez usta ściągnięte w ryjek. Ale czemu powietrze nie ogrzewa się, szybko przechodząc przez ściśnięte wargi? Przecież występuje tarcie.

Czasem zajmował się zamykaniem mocno powiek i naciskaniem ich palcami. Kiedy wreszcie otwierał oczy, widział świat przez mgłę, wszystko poprzecinane złotymi żyłkami.

Śmieszne, rozglądał się po pokoju i nieustannie miał wrażenie, że czegoś w nim brakuje. Ale nie mógł sobie przypomnieć, czego. Gitara na stojaku, biurko, książki,

łóżko. A jednak czegoś brakowało, było tu puste miejsce po czymś nienazwanym.

Najpierw było dawno niesłyszane szczeknięcie Gucia, potem krzyk i szloch Oli. Dziewczynka wypadła z dużego pokoju, trzymając się za krwawiącą dłoń, i wtuliła mokrą od łez twarz w bluzę matki. Zajście zaskoczyło matkę przy myciu kuchni, więc musiała obejmować córeczkę gumowymi rękawicami.

- Co się wydarzyło?! - zawołał ojciec i przybiegł z sypialni. Gabriel powoli wyszedł z pokoju.

- Gucio mnie pogryzł - wykrztusiła Ola.

Gucio uspokoił się, odkąd rodzina zaczęła stosować kurację weterynarza Marcina. Tolerował ludzi, choć wołał za dużo z nimi nie przebywać. Jednak dzieci źle znoszą zmiany w rzeczywistości, do której przywykły. Olę niepokoiło, że piesek już nie jest cholerykiem, i zaczęła go prowokować. Potrącała go, kiedy dreptał do miski, przydepływała mu łapę, niby przypadkiem zaczynała głośno śpiewać, kiedy był w pobliżu. I nadszedł dzień, kiedy Gucio nie wytrzymał.

- Znowu się schował za kanapą - zameldował ojciec, który poszedł ukarać winowajcę.

Patrzyli na siebie z matką.

- Oleńko, znowu denerwowałaś Gucia? - spytała matka.

- Tak nie może być - powiedział ojciec. - To wydarzenie już przeważało szalę. Gucio musi odejść. Schronisko albo uśpienie.

Ola zaczęła krzyczeć, żeby nie usypiać Gucia i że już nie będzie, ale ojciec był nieugięty. Przemysł rękę, potrząsał głową i patrzył na dziury, zostawione w ciele przez kły pieska.

- Kto go przypilnuje, kiedy będę w pracy?
- Ale on będzie smutny w schronisku - płakała Ola.
- Może znajdzie dobrych właścicieli, którzy się ucieszą z Gucia - powiedział ojciec niezbyt przekonującym tonem.

Gabriel poszedł do dużego pokoju i zajrzał za kanapę. W cieniu za oparciem lśniły wytrzeszczone, złote oczy przestraszonego zwierzęcia. Przesunął kanapę i podniósł psa. Gucio zaszcekał raz i zamknął oczy.

Gabriel zaniósł go do swojego pokoju i zamknął drzwi. Pies schował się pod biurkiem. Gabriel usiadł na łóżku, potem się położył.

Po godzinie poszedł do kuchni po karmę.

- A kiedy będziesz w szkole, to co będzie? - spytał ojciec.

- Nie wiem.
- Musimy go oddać.
- Jak nikt go nie weźmie, to uspią.
- Może i lepiej. Przecież on żyje ciągle zestresowany.

Nie ma mowy, żeby u nas został, Oli nic się nie stało, ale następnym razem może być gorzej.

- No to go zawieź do schroniska. - Gabriel wzruszył ramionami. - Co mnie to wszystko obchodzi.

- Jutro pojedziemy. Sprawdź w Internecie adres.

Gabriel postawił miskę na podłodze przy biurku. Piesek nie wychodził. Wciąż drżał przy kaloryferze.

- Nikt nie mówił, że po tamtej stronie jest gorzej - powiedział do niego Gabriel.

Po chwili wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer.

- Czego tam znowu? - spytała babcia Wala.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że Gucio będzie mieszkał z babcią.

- Rozum wam odjęło?

- Panująca u babci ożywiona atmosfera dobrze na niego wpłynęła.

- Mowy nie ma.

- Teraz są niebezpieczne czasy. Strzelają do niewinnych. A babcia mieszka sama.

- I wolę sama niż z tym kundlem cholernym. Wnusię, ty ciężkie przejścia miałeś i możesz mnie w granicach rozsądku o wszystko prosić, ale nie żeby starej, schorowanej kobiecie...

Odłożył słuchawkę.

Guciovi najbardziej podobało się w dawnym gabinecie dziadka.

**W** lutym po drodze ze szkoły spotkał kolegę z podstawówki, Maćka. Ledwo go pamiętał, ale on z niewiadomych przyczyn ucieszył się ze spotkania i bardzo chciał porozmawiać. Więc rozmawiali, idąc powoli po lodzie, pokrytym brudnym piaskiem. Kolega wychwalał liceum społeczne, w którym do nauczycieli mówił na ty. Gabriel nie okazał zainteresowania tą swobodą obyczajów, więc Maciek zmienił temat.

- Słyszałeś? Usunęli Mariusza - powiedział kolega z przeszłości. - Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

- Nie słyszałem.

- Miałem zbierać grupę z podstawówki, żeby zatańczyć na jego grobie, ale mi się odechciało, nawet to by było za dużo dla tego gnoja.

- Pewnie tak.

- A ja z Mariuszkiem nawet do przedszkola chodziłem.

- Państwo powinno dać ci order.

Kolega śmiał się, kiedyś Gabriel nie był taki fajny.

- Pamiętam taki obrazek, to chyba było już w starszakiach: ubrany w czerwoną, plastikową zbroję, to znaczy taką tylko na pierś, wiązaną na plecach na sznurki, Mariusz bije dzieci po nogach plastikowym mieczem, a one uciekają i płaczą.

- Jaki gladiator.

- No. Nie wiem, czemu te babki nic nie reagowały, pewnie same miały ochotę nas zdzielić i czekały tylko, aż będzie fajrant i do domu. A widzisz, teraz ciekawą scenkę sobie przypomniałem, bo szedłem gdzieś chyba z mamą, to też było w czasach przedszkola, a tu nasz gladiator stoi przy zarzyganym lumpie, ten leży jak orzeł na trawniku we własnych szczytach, a Mario płacze i powtarza taką mantrę: tato, wstań, idziemy, tato, wstań, idziemy.

Gabriel patrzył na kolegę z przeszłości, który naśladował cienki, płaczkliwy głos małego Mariusza, przyciskał do piersi dłonie zaciśnięte w pięści i przestępował z nogi na nogę. Tato, wstań, idziemy. W końcu kolega przestał i znowu się śmiał.



- Ależ to oryginalne, też miałem beznadziejne dzieciństwo i nikomu nic złego nie zrobiłem - powiedział Gabriel.

Kolega przestał się śmiać i spojrzał na niego ze zdziwieniem. Gabriel zorientował się, że to nie żadna próba wybielenia Mariusza, tylko zabawna anegdota.

- Pomyślałem wtedy, że ma za swoje - powiedział kolega.

- Czyli co, fajne to twoje liceum? - spytał Gabriel.

Miasto topniało. Z zalanej złotym światłem, mokrej ulicy komisarz wszedł do Coffee Heaven, rozejrzał się i skinął Gabrielowi. Patrzył dłuższą chwilę na zawieszony na ścianie menu, zajrzał do portfela i podszedł do długowłosego, dziarskiego chłopaka za ladą.

- Kawę proszę.

- Jaką pan sobie życzy?

- Normalną.

- Ale espresso, espresso doppio, latte...

- Chłopcze. Spójrz po prostu na mnie i pomyśl, jaką mogę chcieć kawę.

Młodzieniec skurczył się nieco i wybrał dla komisarza kawę americano. Policjant zapłacił i podszedł bez pośpiechu do Gabriela.

- Matko Boska, w moim barze tyle płacę za obiad - powiedział, wieszając płaszcz na oparciu. - Chcesz mnie zbankrutować.

Usiadł z westchnieniem i spojrzał wyczekująco na Gabriela.

- Nie chodzi pan do restauracji? - spytał Gabriel.
- Nieustannie. Dwa miesiące temu byliśmy z żoną w Krokociku.

Gabriel milczał. Komisarz też milczał. W końcu Gabriel zdjął okulary, położył na stoliku i zaczął pocierać powieki.

- Chciałem z panem porozmawiać, bo jest mi trudno - powiedział. - Pan zrobił coś obrzydliwego, wykorzystał mnie pan. Ale z nikim innym nie mogę porozmawiać.

- Ta, niezwykle trafnie mnie opisałeś przez telefon. Kolegom bardzo się podobało. Grubawy?

- Nie wiedziałem, jak się pan nazywa.
- Janusz.

Gabriel skinął głową. Komisarz wpatrywał się w niego. Odwrócił głowę na głos dziewczyny za kontuarem, ale okazało się, że to nie jego zamówienie. Wziął więc ze stołu serwetkę i zaczął ją skręcać w palcach.

- A więc ci trudno. Niesamowite. Trudno to służyć sprawiedliwości w kraju, w którym tłuką dzieci na śmierć. W domach dzieją się gorsze rzeczy niż na ulicy. Jak z tym Bartkiem, który urodził się w Wigilię na przystanku, taki polski Chrystus. Zakatował go kochanek matki, kiedy chłopiec miał trzy i pół roku, a mama nie przeszkadzała. Sąsiedzi widzieli, jak mały na podwórku przytulał się do psów. Albo jak z tym Oskarem z Piotrkowa. Gdybym ci podał szczegóły, dopiero by ci się trudno zrobiło.

- Właśnie o to chodzi. Chcę wiedzieć, skąd to wszystko się bierze.

- Americano dla pana! - powtórzył głośniejszym głosem chłopak.

- Zaraz ci powiem, moje pyszności gotowe - powiedział komisarz i poszedł po kawę.

Wrócił z tekturowym kubkiem, postawił na stoliku i wyspał trzy saszetki cukru.

- Skąd się bierze? - powtórzył, mieszając kawę. - Może kochankowie czuli agresję, bo to dziecko poprzedniego partnera, a matki pomagały, bo nie chciały mieć z poprzednim nic wspólnego. Kiedy wilczur zagryzie małe, nie przejmujemy się, to ich natura.

- Ale to przecież byli ludzie.

- Z punktu widzenia biologii zapewne. Ze zwierzęcia jest w nas agresja. Z człowieka jest dewiacja. Z marzeń, rozczarowań, poczucia krzywdy, całego tego pieprzonego zamętu w głowie.

Gabriel zaczął stukać knykциями o blat i rozglądać się po wnętrzu. Bez okularów wszystko rozplątywało się we mgle. Kanty świata zniknęły.

- Lepiej, gdyby ludzie byli robotami - powiedział. - Nie byłoby zła.

Komisarz łyknął kawy i skrzywił się.

- Dobra też nie byłoby za wiele - zauważył.

- Bite dzieci to pana obsesja?

- Ciekawostka, oni zawsze mówią, że dziecko było niegrzeczne. Obrażenia cielesne i psychiczne są więc ryzykiem wpisanym w proces wychowawczy.

- Musi pan przejmować się dziećmi, żeby ze spokojnym sumieniem bić dorosłych.

- Przyznam, że sumienie zazwyczaj mam spokojne.

- A pana bili?

- Tatko. Złamię ci rękę dla twojego dobra. No, ale

starczy już o tym, chciałem ci po prostu powiedzieć, że są rzeczy gorsze niż to, co przeżyłeś.

- Chcę zrozumieć.

- Mam dla ciebie dużo wytłumaczeń zła, drogi mścicielu. Jestem specjalistą od wytłumaczeń. Ponad dwadzieścia lat, żeby się zastanawiać. Poczujesz się lepiej, kiedy uznasz, że istnieje coś takiego jak źli ludzie.

- Co niby odróżnia dobrych od złych?

- Altruizm, jak u tych antylop, które wyrzucają tyłek w powietrze i dają sygnał ostrzegawczy, kiedy zauważą drapieżnika. Wróg wtedy wie, gdzie są, ale ostrzegły stado, które ma większą szansę przeżycia.

Gabriel milczał.

- No to takie wytłumaczenie: źli są ludzie, których rodzice byli dla nich źli. A dla tych rodziców źli byli dziadkowie. I tak dalej.

- Więc po prostu zabiłem dziecko, dla którego rodzice byli źli.

- Może głośniej, bo jeszcze nie wszyscy słyszeli? - Komisarz gwałtownie pochylił się nad stołem. Zaczął szeptać: - Krzywdził ludzi, robiłby to dalej. Potem miałby dziecko, które krzywdziłoby innych.

- Albo by nie krzywdziło. Nie czuję się z tym dobrze.

Komisarz odchylił się na krześle i westchnął.

- A kto powiedział, że masz się dobrze czuć? Tego nie ma w pakiecie. Choć miałem ochotę, nie rzucałem firmy, bo moja praca nie polega na naprawianiu świata. Mamy eliminować zepsute części, a nie myśleć, co by tu zrobić, żeby części się nie psuły. To bardzo wyzwalające. W Talmudzie napisali: kto ratuje jednego człowieka, ratuje cały świat.

- Chciałbym zapomnieć o tym wszystkim - powiedział Gabriel i zaczął płakać.

Komisarz odchrząknął. Znowu napił się kawy, nie spuszczać wzroku z chłopaka. W końcu zaczął szybko i delikatnie gładzić paznokcie kciuka lewej ręki.

- Możesz też uwierzyć w los - powiedział w końcu. - Że wszystko jest tak, jak musiało być.

- Tak, można zostać zadowolonym ze wszystkiego warzywem.

- Istotnie przypomina to leczenie syfa pudrem, ale ja podaję tylko możliwości. No i rozwiązanie ostateczne. Uwierzyć w Szatana. Problem w tym, że trzeba też uwierzyć w dobrego Boga i świętą duszę, którą mają wszyscy.

Szybkim, gniewnym ruchem Gabriel wytarł rękawem nos.

- Weźmie mnie pan za rękę? - spytał nagle.

- No, nie przesadzaj. Nie jestem może stuprocentowo stereotypowym policjantem, ale jakieś zasady obowiązują.

Kiedy Gabriel się śmiał, w nosie zabulgotały mu smaruki. Komisarz zmarszczył się i podał mu serwetkę ze stołu.

- Na świecie są też dobre rzeczy, nie jęcz jak baba. Zobacz, ile tam ciastek za szybką. Albo dobre są na przykład kawały. Nie wezmę cię za rękę, ale opowiem ci kawał. Bardzo pasuje do sytuacji.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Strach pomyśleć, jakie kawały opowiadają sobie policjanci.

Komisarz zachichotał, podniósł dwa tekturowe kubki i ustawił obok siebie.

- Idą dwa koty przez Saharę - powiedział. - Jeden mówi do drugiego...

- Kurwa, stary. Nie ogarniam już tej kuwety - dokończył Gabriel ponuro.

Święta i weekendy spędzał przed telewizorem. Nie zauważał upływu czasu. Zima zaczęła słabnąć. Jej czyste śniegi zamieniały się w brązową breję na ulicach miasta, skrapianych kapryśnymi deszczami. Ziemia, dotychczas zimna i twarda jak kość, stawała się wilgotna i miękka.

W pewną sobotę Gabriel włączył telewizor. Odbiornik był nastawiony na program TVN24. Gabriel nie zdążył go przełączyć na ulubione Cartoon Network, zobaczył coś, co go zainteresowało. Na ekranie przemawiał grubawy młodzieniec, owinięty czarnym materiałem. Na twarzy miał maskę jak Zorro, ale zamiast hiszpańskiego kapelusza głowę okrywała mu czapka z daszkiem. Według podpisu, był to zamaskowany mściciel Czarna Opończa z Białegostoku.

- Sta-ra-ra-rażnik Parku przeszedł na złą-ą-ą stronę - wyjąkał Czarna Opończa. - Ale ja-a-a się nie poddam.

Drugim superbohaterem, który pojawił się w ciągu ostatniego miesiąca, był Nocne Widmo z Wrocławia. Nocne Widmo odmówił udzielenia wywiadu. Poza tym, jak ogłosił prowadzący program, w Warszawie zaczęło powstawać coraz więcej patroli obywatelskich. Mieszkańcy osiedli zbierali się w grupy, które nocami pilnowały porządku na ulicach.

Może coś zmieniłem, pomyślał Gabriel. Teraz inni próbują przesiewać czarny piasek. Ale najpierw musiałem się poświęcić, przeżyć coś, czego nie zapomnę i co na zawsze będzie we mnie tkwiło jak zimna kula z Glocka 17. Wtedy w parku strzeliłem do siebie, do nikogo innego. Złożyłem siebie w ofierze.

Do pokoju wszedł ojciec, który zdecydował, że wybiorą się razem do cukierni. Ola miała ochotę na serniczek.

- Gabriel, tylko błagam, weź prysznic, bo czuć od ciebie - powiedział ojciec.

Gabriel poszedł do łazienki, zamknął się i rozebrał do naga. Czuł lepkość pod pachami. Chyba rzeczywiście śmierział. Na ramionach pojawiła mu się gęsia skórka. Spojrzał w lustro nad umywalką. Blizna koloru połędwicy. Tu go postrzelili. Odkręcił wodę w prysznicu, stał i czekał, aż się ogrzeje. Kiedy zziębnięte ciało poczuło pierwszy ciepły podmuch i już miał wstąpić pod gorący wodospad, zadzwonił telefon schowany w kieszeni brudnych spodni, ciśnięty na kosz z bielizną.

Gabriel znieruchomiał. Nie chciało mu się odbierać. Nie potrzebował rozmów z żywymi. Ale ten ktoś był uparty. Telefon milczał przez chwilę i znowu zaczął dzwonić.

Chrząknął ze złością i wyjął telefon ze spodni. Nieznany numer. Nacisnął przycisk z przekreśloną słuchawką, połączenie odrzucone. Rzucił telefon na stos brudnych ubrań, odłożył okulary na umywalkę i wszedł do kabiny. Umył odrastające włosy szamponem przeciwłupieżowym. Spojrzał na uśpiony członek. Od dawna używał go tylko

do siusiania. Nie mógł zrozumieć, że kiedyś szukał porno-  
grafii w Internecie, a prysznic często był areną wyimagi-  
nowanych orgii. Ile to razy jego nasienie spływało do  
miejskiej kanalizacji. Ile osób zapładnia płynące pod mia-  
stem ścieki.

Pod prysznicem zrozumiał, że jednego z tych jałowych  
dni umierającej zimy on też umrze. Powiesi się. Może  
właśnie w łazience. Łazienkę można zamknąć od środka.  
Powinien był zginąć tamtej nocy w parku.

Nie zepchnęli dziewczyny do rzeki. Nie zakatowali  
chłopaka w spódnicy. Nie zgwałcili kobiety w parku.  
Mariusz Bazik nikogo już nie skrzywdzi. Napisane jest:  
kiedy uratujesz jednego człowieka, jest tak, jakbyś urato-  
wał cały świat. Ale nigdzie nie jest napisane, jak ma odzy-  
skać świat ten, który ratuje innych.

Zaczął trzeć piętę pumeksem i wtedy usłyszał piknięcie  
telefonu. Ktoś zostawił mu wiadomość w poczcie głosow-  
wej. Musiał długo gadać, przecież Gabriel odrzucił połą-  
czenie dobre parę minut temu.

Kiedy wyszedł spod prysznic, ściany i sufit były wil-  
gotne od skroplonej pary wodnej. Czuł się jak w rzymskiej  
saunie. Kiedy stanął przed zaparowanym lustrem, pokaza-  
ło tylko różową plamę w miejscu głowy. Sięgnął po tele-  
fon. Rzeczywiście miał nagrany wiadomość.

Skrzywił się i połączył z pocztą głosową.

Po półgodzinie drzwi do łazienki otworzyły się i na ko-  
rytarz wyszedł Gabriel. Czysty i w świeżym ubraniu po-  
szedł do kuchni. Nie miał okularów, ale wszystko dobrze  
widział przez soczewki kontaktowe.

- Tato, nie pójde z wami do cukierni.



- No, wyglądasz jak człowiek! A dlaczego nie pójdziesz?
- Jadę do Gdańska.
- Dlaczego?
- Bo będziecie mieli wnuka.

Nagranie z poczty głosowej brzmiało tak: - Cześć. To ja - powiedział głos Soni. - Tadaam! Pamiętasz mnie? - Zaśmiała się. - Słuchaj, wypuścili mnie już od czubków. Nie chcesz ze mną rozmawiać, to nie musisz, wygadywałam różne pierdoły. Nic nie chcę od ciebie, jakby co. Ale musisz wiedzieć o jednej rzeczy po prostu. Taka drobnostka.

- Daj mi to - odezwał się w tle głos Drozia. Nastąpiła szamotanina i Sonia zawołała z gniewem: „Tadeusz”. Ale bratu udało się w końcu odebrać jej telefon.

- Słuchaj no, kozaku - zaczął szybko mówić swoim hiphopowym głosem. - Dodzwonić to się do ciebie można jak do handlarza z Allegro. Jak się nie zgłosisz natychmiast, to nogi z dupy powyrywam z ziemiakami z miasta, bo rozumiesz, będziesz tatą, tylko nie próbuj wciskać, że nie twoje, bo siora cnotka jest i z nikim innym nigdy nie poszła. Kiedy ten termin?

- Pod koniec maja - dobiegł słaby głos Soni.
- No. Jesteś, słyszę, pełnoletni, więc do roboty pójdziesz, a jak się będziesz próbował wykręcać, to ja wykręcę ci głowę i będziesz chodził do tyłu, i tyle.

Dalszego ciągu Gabriel nie słuchał. Rozłączył się z pocztą głosową i zadzwonił pod nieznaną numer. Stał nagi w łazience i czekał, aż odbierze jego dziewczyna, przyszła

matka jego dziecka, które na razie było tylko nieświadomym niczego astronauta, unoszącym się w ciemnym kosmosie ciała.

- Halo? - powiedziała Sonia. Jej głos drżał, jakby miała właśnie odbyć rozmowę o pracę. Czy o przyszłość.

Pociąg odchodził o 15.24. Gabriel wybiegł z bloku, przeszedł wydeptaną ścieżką przez wzgórze na środku osiedla, dobiegł do Grochowskiej i zamachał na taksówkę. Nie zatrzymała się, widać jechała na zgłoszenie. Rozejrzał się i zobaczył zaparkowanego starego, białego lincolna z napisem „Przewóz osób”. Podeszedł i otworzył drzwi samochodu.

Kierowca był stary, siwe włosy kontrastowały z opaloną twarzą. Blizna na policzku. Spojrzał na Gabriela zmrużonymi oczami.

- Wolny pan jest?

Kierowca wskazał zapraszającym gestem fotel pasażera. I ruszyli.

- Na dworzec proszę.

Radio grało jakąś nową polską piosenkę, kolejny na siłę wciskany hit z rozdzielnika, przebojowy produkcyjniak, o którym wszyscy za rok zapomną. Kierowca z wprawą wymijał samochody i próbujące zajechać mu drogę autobusy. Gabriel patrzył na sklepy, przechodniów, na miasto, w którym rósł i dojrzewał.

Ostatnie dźwięki przeboju ucichły, a wokalistka, wpadając w dyszkant, zakończyła utwór enigmatycznymi słowami: „bo miłość jeeest...”. Brzmiało to jak zgniatany,

anemiczny kotek. Zaczęła się audycja informacyjna. Spiker powiedział, że nastąpiła sensacja: wreszcie sam Strażnik Parku wypowiedział się w sprawie postrzelenia niewinnego osiemnastolatka. Za chwilę usłyszymy umieszczone w Internecie nagranie, które obiegało już całą Polskę.

- Tu mówi Strażnik Parku - powiedział niski, męski głos. Mówiący musiał być starszy od Gabriela o co najmniej dziesięć lat. - Dziękuję wszystkim, którzy nie przestali we mnie wierzyć. Postanowiłem wreszcie odpowiedzieć na pomówienia ze strony prasy. To oczywista bzdura. Nigdy, przysięgam, nigdy nie strzeliłem do niewinnego. Cała ta afera jest wynikiem działań zazdrosnej policji, a może nawet elementu kryminalnego. Elementu, który nie będzie spał spokojnie, dopóki ja pilnuję nocnych ulic! Chcą mnie skompromitować, choć nie mają dowodów. Mieszkańcy Warszawy, nie bójcie się. Nie opuszczę was. Działam nadal. I tam, gdzie ja jestem, zły człowiek boi się zmroku. Dobry żyje w spokoju. Bo to ten, który czyni zło, ma się bać, a nie odwrotnie. Gdzieś tam, nocą - do zobaczenia! Do zobaczenia.

Nagranie skończyło się.

- Brawa dla Strażnika, buuuu dla policji! - zawołał uradowany spiker. Rytmiczne uderzenia elektronicznej perkusji i okrzyki „jee... taa...” rozpoczęły solowy utwór Drozia dedykowany Strażnikowi Parku.

- Ależ patosem ten cały Strażnik poleciał - powiedział kierowca limuzyny i ściszył radio. - Poczulem się, jakby znowu miały być wybory.

- Widać jest człowiekiem czynu, a tacy nie mogą za dużo myśleć, bo to przeszkadza - odpowiedział Gabriel. - Gdyby umiał pięknie mówić, pewnie nigdy nie wziąłby się do rzeczy.

Kierowca zaśmiał się.

- Przepraszam, że spytam, pan się uczy? - zapytał Gabriela.

- Człowiek się uczy całe życie.

- Bo ja, widzi pan, często bawię się w pewną grę z pasażerami. Zadaję pytanie z ich dziedziny wiedzy. I jak odpowiedzą dobrze, mają kurs za darmo.

- Nie mam swojej dziedziny wiedzy. Uczę się w ogólniaku.

- To może pytanie natury ogólnej?

- Po prostu zapłacę panu za kurs. Nie mam głowy do zgadywanek.

- Plutarch podaje, że kiedy Spartanom rodziło się dziecko, które było chuderlawe i niekształtne, rzucali je z urwiska, bo wierzyli, że zarówno dla dziecka, jak i dla polis będzie lepiej, jeśli umrze, skoro brakuje mu zdrowia i siły. Pytanie brzmi: jak się nazywało to urwisko?

- Mój ojciec fascynuje się historią antyczną. Nieraz mnie zanudzał takimi opowieściami.

- A więc jak brzmi odpowiedź?

- Apothetai.

- Gratuluję!

- Ale teraz ja mam pytanie - powiedział Gabriel. - I zapłacę za kurs, jak pan odpowie.

- No, mnie zagiąć nie tak łatwo. Wie pan, ile razy

startowałem w „Wielkiej Grze”? Tylko że teraz to wielka gra, a małe pieniądze, odechciało mi się.

- Około pół roku temu, w nocy, z pana taksówki ktoś wyrzucił pistolet. Kto to był? Pan?

Stary taksówkarz uśmiechnął się i przekrzywił głowę.

- No, to niełatwe pytanie. Ale zabawa to zabawa. Otóż, młody człowieku, pistolet wyrzucił pewien gangster. Zagrałem z nim na pytania. Przegrał, więc według umowy musiał porzucić złą drogę życia.

- Zmyśla pan.

- Troszeczkę. Ale historia niezła?

- Niezła.

- W mieście nie takie się zdarzają.

- To kto wyrzucił pistolet?

Taksówkarz zatrzymał się przy szerokim budynku Dworca Wschodniego i spojrzał na Gabriela bladymi oczami starego człowieka.

- Nie wiem. Różnych wożę. Od czterdziestu lat. Nie takie rzeczy wyrzucali mi przez okna czy zostawiali na tylnym siedzeniu. Maszynę do szycia. Niemowlaka. Co to jest: pistolet?

**P**przed dworcem stała grupka bezdomnych. Kłócili się, machali rękami. Gabrielowi zawsze się wydawało, że bezdomni wzięli na siebie wszystkie emocje, których już nie doświadczają beznamiętni mieszkańcy miasta. Siedzą na przystankach, ale nagle wstają i wędrują w tajemniczych celach, rechoczą, płaczą głośno, całują się, biją, wrzeszczą,

godzą się i ściskają, i rozstają, miotani rozpaczą i wyrzutami sumienia. Czują więcej, bo są bezdomni, a może zostali bezdomnymi, bo nie pasują ze swoimi uczuciami do współczesnego świata.

Jeden włóczęga odłączył się od grupy i podszedł do Gabriela. Nieustannie poruszał bladymi ustami. Wyłupiały, mokre oczy wypatrywały zrozumienia.

- Takie czasy! - wybełkotał. - Czaszka, panie, kilka razy podpalona, z oczu leci gładź, tu proszę zobaczyć, gazy trujące owszem, i to gdzie, panie? Pod kościołem Świętego Zbawiciela, ha!

- Niedobrze - odparł Gabriel, unikając kontaktu wzrokowego. - Trzeba by się tym zająć.

Wysunął rączkę z walizki na kółkach i ruszył w stronę przeszklonego budynku. Walizka turkotała. Ale nie musiał już poruszać się bezszelestnie.

**P**ociąg drgnął i ruszył przez zmęczone, ale nieustające w ruchu miasto. Gabriel był sam w przedziale. Siedział przy oknie. Pomyślał, że jedzie nad zimne morze, które od lat przemierzają Polacy, aby zrywać truskawki w kraju ludzi, którym lepiej się powiodło.

Znajdę pracę. Mogę pracować jako kurier rowerowy.

Potem pomyślał o niewielkim przybyszu z innego wymiaru, który ruszał się powoli w ciele Soni. Będzie mu trzeba wszystko pokazać i wszystko wyjaśnić. Jego dziecko będzie żyło w świecie bez Mariusza. Jego dziecko będzie żyło w świecie miliona Mariuszów.

Może jego dziecko urodzi się z wadą, z przewodem oddechowym połączonym z przewodem pokarmowym, i będzie się dusiło, próbując napić się mleka.

Będzie się nim wtedy bardzo opiekował.

Pociąg zatrzymał się na chwilę na przedmieściach Warszawy. Gabriel zobaczył dwóch chłopców i psa, biegnących rozmokłą, gliniastą drogą wśród brzydkich i szarych domów. Na popielatym niebie, daleko, obracał się majestatyczny wir czarnych ptaków, opiłki żelaza podążające za kreślącym spirale niewidzialnym i wiecznym magnesem.

Chłopcy wyglądali jak bracia, jeden starszy, drugi młodszy, mieli długie, rozczochrane włosy, chyba ubodzy rodzice nie prowadzili ich do fryzjera, i może nie mieli matki, która sama by ich strzygła. Jeden trzymał czerwoną linkę, przywiązaną do obroży psa o lśniącej brązowej sierści.

Młody mężczyzna, który w ciągu jednego roku stracił dziewictwo, zabił człowieka i spłodził syna, patrzył na nich przez okno pociągu.

W rozpiętych kurtkach biegli razem z psem, przeskakowali przez kałuże, szarpali czerwoną linką, a wiatr rozwiewał długie włosy i długą sierść i powiewał szalikami. Pędzili przez nieskończone popołudnie dzieciństwa i jego wszystkie przygody. Trzy wesołe psy. Dzikie dzieci z dzikim psem. Śmiali się i było widać ich piękne zęby.